

CZARNA SERIA

**HÅKAN
NESSER**

KOMISARZ I CISZA

Sledztwa komisarza Van Veeterena

HÅKAN NESSER

KOMISARZ I CISZA

przełożyła Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2013

Tytuł oryginału
KOMMISSARIEN OCH TYSTNADEN

Redakcja
Małgorzata Denys

Projekt graficzny serii
Magda Kuc

Projekt okładki
Panczakiewicz ArtDesign

Zdjęcia na okładce
WIN-Initiative/Getty Images/Flash Press Media
Steven Bostock/Shutterstock

Korekta
Ewa Jastrun

DTP
Marcin Labus

Copyright © Håkan Nesser, 1997

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2013

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

ISBN 978-83-7554-564-7
Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51
Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:
www.czarnaowca.pl

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

Cykl kryminalny Håkana Nesslera o komisarzu Van Veeterenie:

Nieszczelna sieć
Punkt Borkmanna
Powrót
Kobieta ze znamieniem
Komisarz i cisza

W przygotowaniu:
Sprawa Münstera
Karambol
Sprawa Ewy Moreno
Jaskółka, kot, róża, śmierć
Sprawa G

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

Wyobraźcie sobie dwunastoletnią dziewczynkę.

Wyobraźcie sobie, że zostaje zgwałcona,
Pohańbiona i zamordowana.

Nie spieszcie się.

A potem wyobraźcie sobie Boga.

M. Barin, poeta

I

15 lipca

1

Dziewczynka w łóżku numer dwanaście obudziła się wcześniej.

Letni poranek. Przez cienkie firanki do sali sypialnej wkradało się łagodne światło brzasku. Zaczynało ostrożnie wypierać noc; wypychało mrok z kątów, obwąchiwało niczego nieprzeczuwające sny innych dziewcząt. Ich spokojne oddechy. Dziewczynka leżała i chwilę im się przysłuchiwała. Usiłowała je odróżnić. Kathrine jak zwykle spała na plecach i lekko chrapała przez otwarte usta. Belle syczała jak wąż. Marieke po prawej sapała, jej jedna ręka opadła bezwładnie z łóżka, a bujne czerwone włosy miała rozrzucone na poduszce niczym wachlarz. Kropelka śliny wisiała w kąciku jej ust. Dziewczynka przez moment zastanawiała się, czy nie wytrzeć jej rogiem prześcieradła, ale dała sobie spokój.

Powinna powiedzieć Marieke. Przynajmniej Marieke. Powinna była wspomnieć, zostawić wiadomość czy cokolwiek. Ale teraz już za późno, a wczoraj wieczorem jeszcze się nie zdecydowała. Długo się wahała. To nie była łatwa decyzja. Sama się wykluła, gdy tak leżała i przewracała się na skrzypiącym żelaznym łóżku z boku na bok do późna w nocy, aż w końcu Marieke i Ruth spytały, czy nie jest chora, a Belle kilka razy ją poprosiła, żeby przestała hałasować.

Belle była dosyć drażliwa, ale miała ojca w jakiś sposób bliskiego Jellinkowi i dlatego lepiej było z nią nie zadzierać. Tak przynajmniej mówiono. Tu, w Waldingen, mówiono wiele rzeczy.

Tak więc leżała w łóżku i walczyła ze sobą. Nie wiedziała, o której wreszcie przysnęła ani która jest teraz godzina, ale na pewno nie spała zbyt długo, dobrze to czuła. Tak czy inaczej, rozsądniej byłoby już wstać. Jej wewnętrzny zegar zwykle świetnie funkcjonował, lecz nie miała gwarancji, że nie pozwoli jej znowu zasnąć. Żadnej.

Ostrożnie zsunęła na bok ciężką kołdrę i usiadła. Wyjęła z szafy dżinsy, podkoszulkę i sportowe buty, po czym szybko się ubrała. Poczwała w brzuchu narastający niepokój, ale wyparła go wściekłością.

Wściekłością i poczuciem sprawiedliwości.

W kontrolowanym pośpiechu chwyciła resztę ubrania; trudno było wszystko zmieścić, ale się udało. Zasznurowała plecak i wymknęła się z sali. Drzwi skrzypnęły jak zwykle, kiedy je pchnęła, a niektóre stopnie schodów wydały z siebie żałosne skamlenie pod jej stopami, lecz po niecałych trzydziestu sekundach znalazła się już na zewnątrz.

Pobiegła szybko przez mokrą od rosy trawę do skraju lasu i zatrzymała się dopiero wtedy, gdy zostawiła za sobą niewielkie wzniesienie i znalazła się w pierwszej kotlinie. Niewidoczna z domu i poza zasięgiem.

Zatrzymała się na chwilę wśród jagodowych krzaczków. Drżąc w nocnym chłódzie, który jeszcze nie ustąpił, stała tak i zastanawiała się nad stronami świata. Zdała sobie sprawę, że szczęka zębami. Wiedziała, że jeśli pójdzie dalej przez las, wcześniej czy później dotrze do głównej drogi. Ale to całkiem spory kawałek. Nawet jeśli zdołałaby iść w miarę prosto przed siebie i zachować właściwy kierunek, zajęłoby jej to co najmniej pół godziny, a przecież wcale nie jest powiedziane, że nie zacznie chodzić w kółko. Nie miała takiej pewności. Przez całe życie mieszkała w mieście; las i natura nie były dla niej znajomym otoczeniem.

Obce środowisko, jak to mówiono.

W normalnej sytuacji mogłaby oczywiście odmówić modlitwę. Pomodlić się do Boga, żeby był przy niej i pomógł jej trochę w tej drodze, uznała jednak, że tego ranka nie byłoby to właściwe.

Niewłaściwe i w pewien sposób nieuczciwe.

Bóg w ostatnim czasie zmienił swoje oblicze. Tak, chyba można tak powiedzieć. Zrobił się wielki; trudny i niezgłębiony, i – choć nie podobala się jej ta myśl – trochę przerażający. Nad łagodnym wujkiem z jej dziecięcych lat, z długą brodą i dającym poczucie bezpieczeństwa, zaległ cień.

Coś mrocznego.

A kiedy się nad tym dokładnie zastanowiła, zrozumiała, że to właśnie z powodu tej mroczności stoi teraz wśród krzewów jagód i się waha.

Waha się i walczy z lękiem i wściekłością. I z własnym poczuciem

uczciwości.

Właśnie dlatego.

Po prawej teren schodził w dół. Opadał ku jezioru i krętej żwirowej dróżce prowadzącej do gospodarstwa Finghera, dokąd wieczorami chodzili na zmianę po mleko. A także po kartofle, warzywa i jajka.

Zawsze we czwórkę z dwoma rozklekotanymi drewnianymi wózkami i Jellinkiem na czele. Nikt do końca nie rozumiał, dlaczego za każdym razem on też musiał z nimi iść. Wystarczyłaby chyba któraś siostra? Ale może chciał je tylko uchronić przed niebezpieczeństwem. Pewnie tak. Gospodarstwo Finghera to ich jedyny kontakt z Innym Światem, jak Jellinek miał zwyczaj mówić w swoich kazaniach wygłaszanych przed południem i wieczorem.

Inny Świat?

Właśnie stoję w tym Innym Świecie, pomyślała. Jeszcze nie zdążyłam się w niego zapuścić nawet na dwieście metrów, a już nie wiem, w którą stronę mam iść. Może naprawdę jest tak, jak on mówi? Może to Bóg Jellinka jest rzeczywiście tym właściwym, a nie jej własny; jej dobry, wybaczący i niemal trochę dziecinny Bóg radości?

– Do diabła! – wymamrotała i znowu zadrżała, tym razem głównie z powodu tego mocnego wyrażenia. Na co komu Bóg, który nie jest dobry?

Ale co ona właściwie zamierzała zrobić, gdyby mimo wszystko zdołała dotrzeć do głównej drogi? No tak, na to pytanie nie znała odpowiedzi ani ona, ani żaden z bogów.

Czas pokaże, jak zwykła mawiać jej babcia. Przyjdzie czas, przyjdzie rada. Ostatni raz spojrzała na wzniesienie, aż po budynki w oddali; między drzewami wystawała jedynie najwyższa część spiczastej dachu nad salą jadalną.

I oczywiście duży czarny krzyż, który pomagały przybić pierwszego dnia. Westchnęła głęboko, odwróciła się plecami i zaczęła schodzić w stronę jeziora. Jednak najbezpieczniej będzie pójść znajomą żwirową dróżką.

Wyszła na nią na wysokości ogromnej brzozy, na której obie z Marieke zamierzały wyryć swoje imiona, zanim stąd wyjadą.

Pod warunkiem oczywiście, że uda im się wymknąć. Że zdołają zwędzić dwadzieścia minut Czystego Życia i przez nikogo niezauważone dadzą radę się wykraść i wrócić. Właściwie nie robiły sobie dużych nadziei, raczej tak tylko mówiły, ale oto teraz ona stoi tutaj i gładzi rękami białą, gładką korę.

Czyste Życie? – pomyślała. Trzoda Dobrego Światła?

Inne Życie?

Bzdurne gadanie.

Te słowa wymknęły się jej tak samo szybko jak wczoraj. Bzdurne gadanie. Nie potrafiła ich powstrzymać, wyleciały z niej jak zła, nieposłuszna letnia jaskółka i nagle rozrosły się w chmurę.

Tak, właśnie w coś takiego. W ciemną i złowrogą chmurę, która zawisała nad wszystkimi obecnymi w Sali Życia. Która dziewczynkom kazała wstrzymać oddech, a Jellinkowi skierować swe wyblakłe oczy przez kilka sekund długich jak całe dni właśnie na nią.

– Potem z tobą porozmawiam – powiedział w końcu i oderwał od niej spojrzenie, po czym mówił dalej swoim zwyczajnym spokojnym tonem. O Czystości, Bieli i Nagości, i wszystkich tych rzeczach.

Później, w Białym Pomieszczeniu.

Ale także tam nie strzepił sobie zbyt wiele języka. Tylko stwierdził fakt.

– Diabeł, dziewczyno. W tobie siedzi diabeł. Jutro go wypędzimy.

Następnie zmęczonym gestem dłoni odesłał ją do łóżka.

Słyszała o tym, że wypędza się diabła, ale nie wiedziała, jak się to robi. Myślała, że coś takiego dotyczy tylko dorosłych, ale okazuje się, że nie. Każdy może zostać opętany przez szatana, nawet dziecko, dowiedziała się wczoraj wieczorem.

No i teraz miał być wypędzony. To na pewno żadne przyjemne przeżycie. Na pewno dużo gorsze niż chłosta za grzechy. Chociaż jest tu już od ponad dwóch tygodni, ciągle jeszcze nie przyzwyczała się do różgi. Za każdym razem pochlipywała potem po kryjomu, ale nigdy nie zauważyła, żeby któraś z pozostałych dziewczynek reagowała tak samo.

Nagle płacz odezwał się w niej znowu. Bez ostrzeżenia zaczęło piec ją w gardle, a potem łzy potoczyły się po policzkach i aż musiała

przysiąc na skraju drogi. Po prostu przycupnęła na chwilę, żeby się wypłakać i poczekać, aż to minie. To dziwne tak iść środkiem drogi i beczeć. Nawet jeśli jest dopiero szósta czy wpół do siódmej i nawet jeśli istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że natknie się tu na jakiegoś człowieka – to jednak dziwne.

Wyciągnęła chusteczkę z plecaka i wytarła sobie nos. Na wszelki wypadek posiedziała jeszcze kilka chwil i akurat gdy chciała się podnieść, żeby ruszyć dalej, usłyszała blisko trzask łamanej gałęzi. Z szybko narastającą pewnością uzmysłowiła sobie, że wcale nie jest tak zupełnie sama, jak myślała.

II

17-18 lipca

2

– Kto tak twierdzi? – spytał Jung, otwierając puszkę coca-coli. – Że on chce odejść?

Ewa Moreno wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, skąd się to wzięło – rzekła. – Ale wczoraj Rooth i Krause rozmawiali o tym w kantynie... Swoją drogą, wcale by mnie to nie zdziwiło.

– Jak to? – odezwał się znowu Jung. – Co by cię nie zdziwiło? – Pociągnął parę dużych łyków i starał się nie dopuścić do tego, żeby mu się odbiło.

– Że ma wszystkiego po dziurki w nosie, oczywiście. Jest tu już co najmniej trzydzieści pięć lat. A ty jak długo chcesz jeszcze pracować?

Jung zastanawiał się, jednocześnie dyskretnie wypuszczając przez nos dwutlenek węgla.

– Czasami można iść na odstrzał trochę wcześniej – powiedział. – Jak się ma szczęście. Ja staram się trzymać w formie i o tym nie myślę. Masz ochotę?

Podał puszkę Moreno, która opróżniła ją do końca.

– Cholerny upał – powiedziała. – Od rana wypiałam chyba już ze trzy litry. Swoją drogą mógłbyś spytać Münstera. Jeśli w ogóle ktoś coś wie, to tylko on.

Jung skinął głową.

– Ile on ma lat?

– Kto? Münster?

– Nie, komisarz, rzecz jasna. Chyba jeszcze nie dobił do sześćdziesiątki?

– Nie wiem – odparła Moreno. – Jak długo mamy tu jeszcze sterzeć? Przecież nic się nie dzieje. Oprócz tego, że mózg zaczyna mi się przegrzewać.

Jung zerknął na zegarek.

– Zgodnie z rozkazem – godzinę.

– Zrób może jeszcze jedną rundkę – zaproponowała Moreno. – Przy-
najmniej trochę powieje. Bo chyba nie chodzi o to, żebyśmy tkwili tu
w miejscu i dostali porażenia słonecznego? Co pan inspektor na to?

– Człowiek powinien być gotów umrzeć na posterunku – rzekł
Jung, uruchamiając silnik. – Tak jest napisane w regulaminie. W każ-
dym razie według mnie byłoby cholernie szkoda, gdyby on zrezygno-
wał... Wprawdzie czasami nie jest z nim łatwo, ale mimo wszystko.
Gdzie chcesz pojechać?

– Do kiosku, po więcej coli – odpowiedziała Moreno.

– Pani życzenie jest dla mnie rozkazem – rzekł Jung. – Ale ja chyba
kupię tym razem coś bez bąbelków. Cholera, widziałaś! Wprawdzie
wisi w słońcu...

Jung wskazał na gigantyczny termometr na frontonie budynku kry-
tej pływalni.

– Trzydzieści siedem stopni – odczytała Moreno.

– Dokładnie! Tyle samo co krew, ni mniej, ni więcej.

– Chce mi się pić – rzuciła Moreno.

Komisarz Van Veeteren wsiadł do samochodu i zamknął oczy.

– Co za babsztyl – burknął. – I komuś takiemu poświęciłem swoje
życie.

Jęknął. Auto stało ponad godzinę w jaskrawym słońcu przy rynku.
Kiedy położył dłonie na kierownicy, odniósł wrażenie, że rozszedł się
zapach spalonego mięsa. Gehenna, pomyślał. Każdego kiedyś to cze-
ka.

Czuł, jak spływa po nim pot. Po twarzy, karku, pod pachami. Opu-
ścił szyby i starannie wytarł sobie czoło dosyć wątpliwej czystości
chustką.

Przyjrzał się wilgotnemu materiałowi. Pewnie jest w nim też kilka
kropli zimnego potu.

Dwadzieścia pięć lat życia! – poprawił się i przekręcił kluczyk. Wy-
jechał z zatoczki parkingowej. Ćwierć wieku!

A teraz ona usiłowała ukraść mu jeszcze dwa dodatkowe tygodnie.
Zaczął odtwarzać całą rozmowę.

Domek letniskowy pod Maalvoort. Tak, wielkie dzięki... Dużo miej-

sca. Cztery pokoje i kuchnia. Wydmy, plaża i morze... Renate i on. I Jess z bliźniakami...

Nie mógł się nadziwić, jak starannie to wszystko zaplanowała. Rozmowa trwała już dosyć długo, toczyła się pod dyktando sprzyjających wiatrów jego dobrej woli, przynajmniej tak mu się wydawało, gdy całkiem niespodziewanie padły pytania i ta propozycja... powinien bardziej mieć się na baczności! Że też on nigdy się nie nauczył! Powinien był się spodziewać! Czy on nie ma przypadkiem urlopu w sierpniu? Akurat kiedy Jess przyjedzie wreszcie na kilka tygodni do domu. Jakby to było pięknie, gdyby tak wnuki razem z dziadkiem i babcią... (diabeł i jego babka! – przyszło mu do głowy i nie mógł się powstrzymać od uśmiechu w całym tym swoim zakłopotaniu). Dom jest może trochę za duży, bo odrobinę za późno się do tego zabrała i większość domków letniskowych była już zarezerwowana. Ale jeśli on będzie chciał być sam i mieć spokój, nic mu w tym nie przeszkodzi, bo miejsca na zachowanie prywatności jest dość. I w środku, i na zewnątrz...

Nie ma wątpliwości, że za tym wszystkim kryje się jakiś plan. To klasyczne działanie przez zaskoczenie, uznał w duchu. Typowe, eleganckie podchody ze strony byłej żony, która próbuje łowić ryby w zastanej, mętnej wodzie. Niech to szlag!

Włączył radio, ale zaraz je zgasił.

Jess i dzieci...

– Niestety – powiedział.

– I Erich też obiecał przyjechać, przynajmniej na kilka dni.

Niestety, moja miła. Za późno przyszło ci to do głowy. Mam już coś zarezerwowane.

– Zarezerwowane? – Uniosła brwi w szczerym powątpiewaniu. – Ty masz coś zarezerwowane?

– Krete! – rzucił na chybił trafił. – Dwa tygodnie od pierwszego.

Nie wierzyła mu. Od razu to poznał; jej jedna brew wróciła na swoje miejsce, ale druga zawisła wysoko na czole niczym niema reprimenda.

– Krete – powtórzył zupełnie niepotrzebnie. – Rethymnon, ale mam zamiar wybrać się też na południe... i...

– Jedziesz sam?

– Czy sam? Jasne, że jadę sam. Co ty sobie wyobrażasz?

Lewym przednim kołem zawadził o skraj wysepki i zaklął siarczyście.

Czyli ćwierć wieku! Teraz pięć lat wolności, a ona wciąż jest, i na dodatek gotowa strzelić z ukrycia. O co jej właściwie chodzi? Mimo upału cały dygotał. Otarł sobie kark chustką. Skręcił na Rejmer Plejn i pod jednym z platanów znalazł wolne miejsce do zaparkowania.

Kreta? – przeszło mu przez głowę, kiedy wysiadał. Dlaczego by nie?

No właśnie: dlaczego by nie? Skoro można odtworzyć niewinność za pomocą nowej błony, to raczej prostą rzeczą powinna być zamiana kłamstwa z konieczności na prawdę o wstecznym działaniu.

Jak ja się dzisiaj elegancko wyrażam, stwierdził w duchu. A niech to szlag trafi! Prawda o wstecznym działaniu!... Jeszcze dziś powinienem zacząć pisać pamiętniki.

Przeciął rynek na ukos. Włożył między zęby wykałaczkę, po czym wszedł do biura podróży na rogu.

Kobieta siedząca przy biurku z przodu była odwrócona do niego plecami i dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, kto to jest. Jej kasztanowe włosy wydawały się jeszcze bardziej kasztanowe niż ostatnio, a głos przybrał zdecydowanie jaśniejszy ton.

Niech to diabli wezmą.

Ulrike Fremdli. Kiedy spotkał ją poprzednim – i jedynym – razem, właśnie zamordowano jej męża. Van Veeteren obliczył szybko i doszedł do wniosku, że to musiało być w lutym. W minionym lutym – tym przejmująco zimnym i zapomnianym przez Boga miesiącu. Obiecanym czasie beznadziei, jak zwykł nazywać go Mahler. Siedzieli w zwyczajnym, ale ładnym saloniku w zwyczajnym i też ładnym szeregowcu na przedmieściach Loewingen. On i Ulrike Fremdli, świeża wdowa. On zaserwował jej tradycyjne, klinicznie obojętne pytania i był pod wrażeniem, jak świetnie potrafiła sobie z nimi poradzić.

Z pytaniami i swoim nagłym smutkiem.

Kiedy od niej wszedł, uświadomił sobie, że oto spotkał kobietę, w której mógłby się zakochać. Trzydzieści lat temu. W czasach kiedy jeszcze się zakochiwał. Coś takiego przyszło mu do głowy już później.

Tak, to byłoby możliwe.

Oczywiście gdyby nie oddał swojego życia innej.

A teraz ona siedzi tutaj i rezerwuje jakąś podróż. Ulrike Fremdli. Tak na jego oko jest tuż po pięćdziesiątce. I ma nowy, kasztanowy odcięć włosów.

Istnieją pewne matryce...

Wziął numererek, usiadł na lekkim fotelu na stalowych nóżkach za jej plecami, żeby go nie rozpoznała. Oczywiście nic nie wskazywało na to, że ona pamięta go równie dobrze, jak on ją. Jeśli w ogóle go pamięta. Czekał. Zaczął przeglądać jeden z katalogów leżących obok na szklanym stoliku. Przesunął wykałaczkę w prawy kącik ust i starał się wyglądać tak, jakby w ogóle nic nie słyszał.

Jakby był po prostu najzwyczajniejszym klientem w biurze podróży. Albo jakimś dziwnym, zlanym potem elementem wystroju.

Jednak nasłuchiwał. Membrany w uszach były skrajnie napięte. Jednocześnie w jego wnętrzu zaczynało narastać tępe uczucie niepokoju. Zarówno w okolicach żołądka, jak i w tylnej części krtani, gdzie – o czym wiedział już od dłuższego czasu – miała siedzibę dusza. A przynajmniej w jego przypadku.

Mowa była o Krecie. To nie ulegało wątpliwości, Van Veeteren zorientował się od razu. Atrakcyjnie opalony pracownik biura mówił o Tezeuszu i Ariadnie, o wiosce wdów. Także o Spili i Matali, i winie Samaria.

A teraz o Rethymnonie.

Komisarz Van Veeteren przełknął ślinę. Wyciągnął chustkę i znowu wytarł sobie kark. Mimo leniwych wentylatorów, które mieszały powietrze pod sufitem, było gorąco jak w piecu.

– Nie wolno lekceważyć prądów – przestrzegał opalony mężczyzna. Słusznie, pomyślał Van Veeteren.

– Hotel Christos – zaproponował młody adonis. – Prosty, ale zadbane. Leży w samym środku starego miasta... zaledwie minutę od we-neckiego portu.

Ulrike Fremdli potaknęła. Półbóg naprzeciwko niej się uśmiechnął.

– Wyjazd pierwszego? Dwa tygodnie?

Van Veeteren poczuł, jak zakręciło mu się w głowie, ale zaraz prze-

szło. Zupełnie jak w okresie dojrzewania. Odłożył katalog i szybko zerwał się z fotela. Potrzebuję świeżego powietrza, pomyślał. Niech to szlag trafi. Znosi się na atak serca.

Stanął na chodniku w cieniu pod lipą. Wypluł wykałaczkę i mocno zagryzł wargi. Stwierdził, że się nie obudził, a zatem także to sprzed chwili wcale mu się nie przyśniło.

Cholera jasna, pomyślał. Za stary jestem na takie rzeczy.

Kupił w kiosku półlitrową butelkę wody mineralnej i od razu wypił całą. Potem stał jeszcze moment w miejscu i walczył sam ze sobą. Głupio tak się emocjonować, doszedł do wniosku.

A jeszcze głupiej nie ufać drobnym znakom, które zdarzają się człowiekowi po drodze, uznał. Poza tym skoro już tu jestem...

Wyszedł znowu na słońce. Przeciął szybkimi i zdecydowanymi krokami rynek i odbił w Kellnerstraat. Minał kilka antykwariatów, po czym zatrzymał się na rogu Kupinskis gränd. Otarłszy sobie czoło, popatrzył na szybę wystawową.

Ostrożnie, jakby chodziło o pokera.

A jednak. Tabliczka nadal tam wisiała.

Przyjmę współpracownika. Niewykluczona możliwość współudziału.

F. Krantze

Musiała być tam – zastanowił się – już z sześć tygodni. Odetchnął z ulgą. No tak, minęła już chyba z połowa lata od chwili, kiedy zobaczył ją pierwszy raz.

Znowu zawahał się nieco, po czym powoli ruszył z powrotem w stronę rynku. Żując kolejną wykałaczkę, przyglądał się ukradkiem starym secesyjnym fasadom z przełomu wieków. Zwiertzałym, ale nadal pięknym. Rozłożyste lipy rzucały na chodnik zwarty cień. Na rogu Yorrick's Café. Naprzeciwko Winderblatt's. Ogromny, zadyszany bernardyn leżał pod stolikiem z językiem zwisającym niemal do ziemi.

Tak, pomyślał. Tutaj dałoby się wytrzymać.

A kiedy wsiadł do auta, podjął decyzję. Jeśli ogłoszenie będzie wisiało jeszcze w sierpniu... niech się dzieje, co chce.

Po prostu.

A jeszcze prostsze okazało się pojechanie od razu do Klagenburga i zarezerwowanie przez telefon dwutygodniowego pobytu w Rethymonie na Krecie... w hotelu Christos, który polecił mu dobry przyjaciel. Pokój jednoosobowy. Wyjazd pierwszego sierpnia. Powrót – piętnastego.

Kiedy już to załatwił, spojrzął na zegarek. Była jedenasta czterdzieści. Siedemnastego lipca.

To nie najlepszy pomysł, żeby przed przerwą obiadową jechać na komendę, stwierdził, usiłując wzbudzić w sobie żal. Nie udało się. Zamiast tego zaczął chodzić po mieszkaniu w tę i w tę, wachlując się wczorajszą „Allgemejne”. To też niewiele dało. Westchnął. Ściągnął z siebie wilgotną koszulę, wyjął z lodówki piwo i nastawił Pergolesiego.

Życie? – pomyślał.

Czysty przypadek czy ustalony porządek?

3

– Upał odbiera ludziom ochotę do popełniania przestępstw – stwierdził deBries.

– Co za głupie gadanie – odparł Reinhart. – Jest dokładnie odwrotnie.

– Co macie na myśli? – spytał Rooth, ziewając.

– Nie mają siły – powiedział deBries.

– Nieprawda – zaprzeczył Reinhart. – Wraz z rosnącą temperaturą znikają wszelkie hamulce, a człowiek jest z natury zwierzęciem występny. Wystarczy przeczytać *Obcego*. Schopenhauera.

– Ja nie lubię czytać – rzekł Rooth. – Zwłaszcza w taki piekielny żar.

– I jednocześnie potęgują się żądze – kontynuował Reinhart, zapalając fajkę. – Nie ma w tym nic dziwnego. Przyjrzyjcie się choćby tym wszystkim kobietom, które chodzą półnagie po mieście. Potem trudno się dziwić, że zbiegają się do nich sfrustrowane samce.

– Sfrustrowane samce? – powtórzył za nim Rooth. – Co, do cholery...

– Tak, tak – burknął deBries. – To prawda. Przy takiej pogodzie powinni się obudzić wszyscy mordercy kobiet, ale jakoś do tej pory nie objawił się ani jeden.

– Tylko poczekaj – powiedział Reinhart. – W końcu ten wyż mamy dopiero od czterech dni. Właśnie, a gdzie, u diabła, podziewa się komisarz? Zdaje się, że mieliśmy się wszyscy spotkać po obiedzie. Zaraz będzie wpół do drugiej.

DeBries wzruszył ramionami.

– Pewnie gra z Münsterem w badmintona.

– Nie – zaprzeczył Rooth, gryząc jabłko. – Münster był u mnie przed chwilą.

– Nie mówi się z pełnymi ustami – rzekł Reinhart.

– To wtedy w ogóle nic by z siebie nie wydusił – rzucił deBries.

– Zamknij się – odparł Rooth.

– Dokładnie to miałem na myśli – powiedział Reinhart.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Van Veeteren, a za nim Münster.

– Dzień dobry, komisarzu – odezwał się Reinhart. – Dobrze się panu spało?

– Trochę się spóźniłem przez ten upał – wyjaśnił Van Veeteren i opadł na krzesło za biurkiem. – No?

Na chwilę zaległa cisza.

– Co pan komisarz ma na myśli? – spytał Rooth i odgryzł kolejny kęs jabłka.

Van Veeteren westchnął.

– Raport! – powiedział – Czym, do cholery, się zajmujecie? Na początek Reinhart. Ty pewnie pracujesz nad piromanem z Vallaste?

Reinhart, zmarszczywszy czoło, pociągnął fajkę. Niewyraźnie kiwnął głową. Od podpalenia w Vallaste minęło dwa i pół roku, dochodzenie w tej sprawie wstrzymywano już kilka razy, ale gdy tylko brakowało innych poważnych przestępstw, Reinhart znowu wyciągał ten przypadek na światło dzienne; to on trzymał wszystkie nici w swoim ręku i to jego honor cierpiał, dopóki sprawca pozostawał na wolności.

Co prawda raczej już niewiele osób z zespołu patrzyło na tę sprawę w taki sposób, do czego komisarz musiał się sam przed sobą przyznać, wiedział jednak, że Reinhart nadal tak uważał.

– Mam kilka luźnych tropów – powiedział. – Myślę, że dobrze byłoby zbadać je bliżej. Jeśli nie ma czegoś innego, co wymaga tej głowy...

– Hmm – chrząknął Münster.

– Niektóre części ciała nabrzmiewają w ciepło – powiedział deBries.

– Jak chcesz – mruknął Van Veeteren. – Rozejrzyj się.

Odchylił się do tyłu na krześle i ogarnął swoich podwładnych przenikliwym spojrzeniem. Nie stanowili jednolitej trzódki, przynajmniej z zewnątrz. DeBries był od miesiąca rozwiedziony i pierwsze tygodnie wolności wykorzystał na odmłodzenie swojej garderoby – efekt kojarzył się z obudzonym ze snu zimowego i zdegenerowanym yuppie z lat osiemdziesiątych. Albo, jak wyraził się Reinhart, z przeżywają-

cym *comeback* i nędznie opłacanym artystą rockowym z lat sześćdziesiątych. Mumia z Woodstock. Rooth z kolei zdecydował się – być może z powodu panujących upałów – zgolić w końcu swoją rzadką brodę i teraz dolna część jego twarzy, gładka jak pupcia niemowlaka, mocno odcinała się od opalonych policzków, czoła i skroni.

Przypomina brakujące ogniwo w łańcuchu, pomyślał komisarz.

Münster natomiast wyglądał jak Münster, z mokrymi plamami od potu pod pachami, Reinhart zaś od zawsze kojarzył się komisarzowi z kimś, kim w głębi ducha przypuszczalnie był: inteligentnym robotnikiem portowym.

Jego samego też na pewno trudno uznać za przystojniaka. Jakie to szczęście, że człowiek ma też wewnętrzne piękno, skonstatował i ziewnął.

– A kiedy panowie wybierają się na urlop? Po kolei – spytał. – Może to lepsza alternatywa niż zdawanie sprawozdania.

– Ja piątego – powiedział Reinhart.

– Ja w przyszłym tygodniu – rzucił deBries. – Byłbym wdzięczny, gdyby udało się już w nic mnie nie włączać.

– Mnie też – rzekł Münster. – Jung i Heinemann dadzą sobie radę ze wszystkim, gdyby coś zdarzyło się w sierpniu. Oczywiście razem z Roothem i Moreno.

– *Sure* – potwierdził Rooth.

– Znasz francuski? – spytał deBries. – Zrobiłeś kurs zaoczny?

Rooth podrapał się po swojej widmowej brodzie.

– *Fuck off* – odparł. – To stare niemieckie przysłowie. Czy będziemy tak dalej bić pianę, czy pan komisarz ma jeszcze coś do nas?

– Spadajcie – powiedział Van Veeteren. – Tylko postarajcie się usadzić Pompersa i Luthersona. Każdy wie, że to byli oni.

– Dzięki za wskazówkę – rzekł deBries.

Razem z Roothem wyszedł z pokoju.

– W upał ludzie robią się drażliwi – zauważył Münster, kiedy zamknęły się drzwi. – Ale w gruncie rzeczy trudno się dziwić.

– Właśnie to przed chwilą chciałem powiedzieć – odezwał się Reinhart. – Czy jest coś jeszcze, czy mogę już iść? Możecie w każdej chwili do mnie zadzwonić, jakby się coś działo.

– Spadaj – powtórzył komisarz, na co Reinhart począł powoli do drzwi.

Münster podszedł do okna i popatrzył przed siebie. Na miasto i na rozgrzane powietrze, które pulsowało ponad dachami.

– Żeby nam się tylko nie zważyło na głowy jakieś morderstwo czy coś w tym rodzaju – powiedział, opierając czoło o szybę. – Pamiętam, jak tuż przed wakacjami, dwa lata temu...

– Cicho bądź – przerwał mu komisarz. – Nie wywołuj wilka z lasu. Nawiasem mówiąc, na pierwszą połowę sierpnia mam zaplanowany wyjazd... nieodwołalnie. Więc każde zwłoki w te dwa tygodnie oddeleguję do ciebie i Reinharta.

A może i wszystkie następne, pomyślał po chwili. Zsunął ze stóp buty i zaczął bez entuzjazmu przewracać papiery, których cały stos leżał na biurku.

– Wielkie dzięki – powiedział Münster. – W każdym razie od poniedziałku mnie tu nie ma.

Komisarz sięgnął po nową wykałaczkę, a potem splótł ręce na karku.

– Właściwie nie miałbym nic przeciwko jakiejś sprawie na dwa tygodnie – powiedział. – Najchętniej gdzieś poza miastem i tylko dla mnie.

– Wyobrażam sobie – rzekł Münster.

– Co?

– No, jestem w stanie w to uwierzyć – sprecyzował.

– Co pan kolega ma na myśli?

– Nic specjalnego – odparł Münster. – Może gdzieś nad morzem?

Van Veeteren zastanowił się.

– No cóż. Cholera wie, nie, myślę, że chyba lepiej nad jakimś niedużym jeziorem. W końcu czeka mnie jeszcze Morze Śródziemne... Czy pan kolega ma może przy sobie rakietę?

Münster westchnął.

– Oczywiście. Ale czy przypadkiem nie jest za gorąco?

– Za gorąco? – prychnął Van Veeteren. – Na Krecie o tej porze roku średnia temperatura wynosi około czterdziestu stopni. Co najmniej. To co, jedziemy?

– Skoro pan komisarz tak ładnie prosi – westchnął znowu Münster i cofnął się od okna.

– Potem zapraszam na piwo – oznajmił wielkodusznie komisarz. Wstał z krzesła i wykonał kilka uderzeń w powietrzu. – Naturalnie jeśli wygrasz – dodał.

– Z góry dziękuję – odpowiedział Münster.

Jest w wyjątkowo dobrym humorze, pomyślał, kiedy czekali potem na windę, żeby zjechać do garażu. I nagle taki ludzki. Chyba musiało mu się dzisiaj przydarzyć coś wyjątkowego.

Spili, przemknęło z kolei komisarzowi przez głowę. Źródło młodości... pół godziny jazdy wynajętym samochodem w góry z Rethymnu... wiatr w jej włosach, a potem się okaże...

Dlaczego nie?

I jeszcze antykwariat Krantzego.

4

Patrząc z czysto fizycznego punktu widzenia, poranek osiemnastego lipca był perfekcyjny.

Niebo bezchmurne, powietrze klarowne i jeszcze chłodne; ciemne wody morza błyszcząły jak lustro, gdy aspirant Merwin Kluuge swoją siedmiokilometrową trasę brzegiem porośniętym przez olchy pokonywał w nowym rekordowym czasie – dwudziestu sześciu minut i pięćdziesięciu pięciu sekund.

Przy pomoście dla małych łodzi odetchnął z zadowoleniem, po czym rozciągnął się i już w spokojnym rytmie pobiegł do swojego segmentu, gdzie wziął prysznic, nastawił wodę na herbatę i obudził swą jasnowłosą żonę, głaszcząc ją delikatnie po brzuchu, w którym od sześciu miesięcy nosiła jego owoc i nadzieję.

Segment należał do niego jeszcze krócej. Minęło zaledwie osiem tygodni, od kiedy – przy łaskawym wsparciu oszczędności teściów – weszli w jego posiadanie. Dlatego wciąż ogarniało go uczucie dziewiczego zadziwienia, gdy budził się tu każdego ranka, gdy stawiał stopy na czerwonej wykładzinie w sypialni, kiedy krążył po pokojach i przesuwiał ręką po strukturalnych tapetach i drewnianych panelach, kiedy czuł zapach świeżego drewna, który unosił się niczym obietnica nieprzewidzianych możliwości i w pełni zasłużonego powodzenia. A gdy podlewał kwiatowe rabaty lub kosił nieduży trawnik sięgający lasu, nie mógł oprzeć się uczuciu gorącej i intensywnej wdzięczności wobec samego życia.

Które bez jakiegokolwiek uprzedzenia nagle się przed nim otworzyło. Przystawilo się na nowy, słoneczny tor, na którym on i Deborah byli jedynymi wagonami mającymi w ogóle jakieś znaczenie w bezpiecznym i dosyć stabilnym pociągu zmierzającym ku przyszłości. Wszystko zaczęło się od stwierdzenia ciąży – albo raczej od podania jej do wiadomości. Ślub odbył się zaledwie dwa tygodnie później i kiedy Merwin Kluuge w ten piękny letni poranek ostrożnie bawił się

delikatnymi – niemal niewidocznymi gołym okiem – włoskami na pękatym brzuchu swojej żony, ogarnęło go uczucie niemal religijnego uniesienia.

– Herbaty czy kawy? – spytał pieszczotliwie.

– Herbaty – mruknęła ona, nie otwierając oczu. – Przecież wiesz, że nie piję kawy już od trzech miesięcy. Więc po co pytasz?

No tak, oczywiście, pomyślał Kluuge i wyszedł do kuchni, żeby przygotować śniadanie.

Potem zjedli je razem w łóżku, oglądając poranny program w nowym, dwudziestosiedmiocalowym telewizorze. Kluuge opuszkami palców znowu głaskał napiętą skórę na brzuchu żony, czekając na kopnięcie lub inne namacalne oznaki życia Merwina juniora, po czym dokładnie o siódmej czterdzieści pięć opuścił dom i swe pachnące ciepłem szczęście.

Wyprowadził z garażu rower z dwunastoma przerzutkami, spiął klamerkami nogawki spodni, położył aktówkę na bagażniku i ruszył przed siebie.

Dokładnie dwanaście minut później zahamował na Kleinmarckt. Na rynku prawie nie było jeszcze ludzi, trzech czy czterech właścicieli straganów właśnie otwierało klapy i wykladało owoce oraz warzywa na stoiskach pod ratuszem, a dookoła tryskającej fontanny spacerowały tłuste gołębie znudzone własną bezczynnością. Kluuge zostawił rower w stojaku przed komisariatem, zabezpieczywszy go podwójną kłódką, i otarł z czoła kroplę potu. Potem wszedł do środka przez drzwi z matowego szkła, pozdrowił pannę Miller z recepcji i wkroczył do służbowego pokoju komendanta policji.

Usiadł za solidnym biurkiem, odpiął klamerki ze spodni, po czym otworzył notes, który leżał przy telefonie.

Zaginęła dziewczynka??? – widniało na pierwszej stronie.

Wyjrzał przez okno, które panna Miller lekko uchyliła, i zaczął się przyglądać kwitnącemu krzakowi dzikiego bzu. Że to jest dziki bez, powiedział mu szef, a że kwitnie – każdy mógł zobaczyć.

Pod względem czysto fizycznym ranek był więc przepiękny, jeśli natomiast chodzi o pracę Merwina Kluugego w roli pełniącego obowiązki komendanta policji, który odbywał urlop, niewątpliwie poja-

wiły się pewne chmury zapowiadające niepogodę.

A przynajmniej jedna.

Dokładnie licząc: jedna.

– Urlop – powiedział szef policji Malijsen i stuknął go dwoma palcami w obojczyk. – Chyba jeszcze, do cholery, wiesz, co to znaczy? Spokój i cisza. Samotność i harmonia. Iglasty las, świeże powietrze i nowe łowisko. Wynająłem ten piekielny domek za swoje ciężko zarobione pieniądze i mam zamiar siedzieć tam trzy tygodnie, nawet gdyby mieli nas zaatakować Japończycy. Czy pan aspirant zrozumiał?

To, że Japończycy wcześniej czy później zgotują światu nowe – tym razem lepiej zaplanowane – Pearl Harbor, szef policji Malijsen powtarzał od trzydziestu lat i nie przepuścił żadnej okazji, by o tym wspomnieć.

– Dasz sobie radę. Najwyższy czas, żebyś stanął na własne nogi, jeśli kiedyś ma być z ciebie coś więcej niż tylko gryziپیórek.

Lwią część obowiązków Kluugego stanowiło rzeczywiście sporządzanie miesięcznych raportów z policyjnego okręgu Sorbinowo i wysyłanie ich dalej. Zajmował się tym, od kiedy dobre trzy lata temu objął służbę, i pewnie nic by się nie zmieniło pod tym względem aż do dnia, gdy Malijsen, korzystając z praw swego wieku, zwolniłby stanowisko, aby oddać się słodkiemu nicnierobieniu i siedzeniu przed telewizorem. Albo wiązaniu muszek. Czy budowaniu umocnień obronnych przed coraz bardziej nieuchronnym atakiem skośnookich żółtków.

Według widzenia świata i jego mieszkańców przez Kluugego szef policji Malijsen nie był całkiem normalny; niewykluczone, że jego pogląd podzielał ten i ów obywatel Sorbinowa, ale na pewno nie wszyscy. Panowała bowiem opinia, że Malijsen – mimo pewnej oryginalności – jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i że potrafi jak nikt odróżnić sprawiedliwość od niesprawiedliwości i łobuza od uczciwego obywatela jak okrąg długi i szeroki. Nawet tak wątpliwej reputacji figura jak Edward Marcks – podpalacz, krewki rzezimieszek i zabijaka – pewnego razu, chyba w związku z którymś aresztowaniem, wyraził swe osobliwe uznanie dla szefa policji:

– Dosyć odrażający typ, ale ma serce i tyłek na właściwym miejscu! Kluuge chyba byłby gotów podpisać się pod tą skondensowaną charakterystyką.

Malijsen zatrzymał się jeszcze na kilka sekund w drzwiach i spoważniał. Przerwał swoje kazanie i uniósł do góry jedną brew.

– Chyba dasz sobie radę?

Kluuge wydobył z siebie umiarkowane westchnięcie. Niezbyt gwałtowne. Żadnej nerwowości.

– Oczywiście.

Malijsen nie wyglądał jednak na przekonanego i wyjął z portfela wizytówkę.

– Tylko nie zawracaj mi głowy bez potrzeby! Na dole we wsi naturalnie jest telefon, ale chcę mieć tych parę tygodni dla siebie, żeby uwolnić się od Lilian.

Lilian była jego chorą na raka żoną, która po kilku latach cierpień w końcu dostała łaski i opuściła ziemski padół. Nafaszerowana narkotykami, cień samej siebie... to stało się w połowie marca. Kluuge był na pogrzebie razem z Deborah, która zauważyła, że szef policji wprawdzie uronił parę łez, ale nie płakał jakoś nadmiernie.

– Gdyby wydarzyło się jakieś gówno, możesz zawsze zwrócić się do VV – oznajmił Malijsen. – To mój dawny kolega i jest mi winien przysługę.

Podał mu wizytówkę, a Kluuge wetknął ją sobie do kieszeni na pierś, nawet nie rzuciwszy na nią okiem. Kwadrans później usiadł za dosyć wysłużonym biurkiem, odchylił się do tyłu i ujrzał przed sobą trzy tygodnie spokojnego pełnienia służby cieszącej się powszechnym uznaniem.

To było sześć dni temu. W ubiegły piątek. Dzisiaj jest czwartek. Pierwsza rozmowa odbyła się we wtorek.

Druga wczoraj.

Cholera jasna, pomyślał Kluuge, gapiąc się na wizytówkę z dobrze znanym mu nazwiskiem. Nie ruszając się z miejsca, obracał ją chwilę w palcach i jednocześnie odtwarzał w pamięci dwa ostatnie dni.

– Jakaś kobieta chce z tobą rozmawiać.

Odnotował, że panna Miller unikała używania w stosunku do niego określenia „szef policji”. Cały czas tak robiła. Początkowo trochę go to irytowało, ale teraz już nie zwracał na to uwagi.

– Przez telefon?

– Tak.

– Połącz.

Podniósł słuchawkę i przycisnął biały guzik.

– Policja?

– Tak.

– Zniknęła dziewczynka.

Głos był tak cichy, że musiał bardzo wyęźać słuch, aby cokolwiek zrozumieć.

– Dziewczynka? A kim pani jest?

– Nie mogę powiedzieć. Ale z Waldingen zniknęła dziewczynka.

– Z Waldingen? Czy mogłaby pani mówić trochę głośniej?

– Z obozu Czystego Życia w Waldingen.

– Ma pani na myśli tę sektę?

– Tak. Z ośrodka confirmacyjnego w Waldingen zniknęła dziewczynka. Nie mogę nic więcej powiedzieć. Musicie zająć się tą sprawą.

– Proszę poczekać. Kim pani jest? Skąd pani dzwoni?

– Muszę kończyć.

– Chwileczkę...

Rozmowa została przerwana. Kluuge zastanawiał się przez dwadzieścia minut. Potem polecił pannie Miller, aby znalazła mu numer telefonu do Waldingen – przecież w tej okolicy nie było nic poza tymi starymi budynkami kolonijnymi – i nieco później zadzwonił tam osobiście.

Po drugiej stronie odezwał się łagodny głos kobiety. Kluuge wyjaśnił, że otrzymano informację, jakoby z obozu zniknęła jedna z jego uczestniczek. Kobieta sprawiała wrażenie szczerze zdziwionej i powiedziała, że jeszcze dwie godziny temu podczas obiadu nikogo nie brakowało.

Kluuge podziękował i odłożył słuchawkę.

Drugi telefon odebrał wczoraj. Mniej więcej pół godziny przed końcem dnia pracy. Panna Miller poszła już do domu i dlatego połączenia

z centralki były przerzucane bezpośrednio na numer szefa policji.

– Komendant policji Kluuge. Słucham.

– Nic pan nie zrobił.

Tym razem głos wydawał się trochę mocniejszy. Ale była to niewątpliwie tamta kobieta. Wyczuwał ten sam pełen napięcia, wymuszony spokój. Według niego mogła być między czterdziestką a pięćdziesiątką, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest najlepszy w ocenie wieku innych ludzi.

– Z kim rozmawiam?

– Dzwoniłam wczoraj z informacją, że zniknęła dziewczynka. Nic nie zrobiliście. Ona chyba została zamordowana. Jeśli nie zaczniecie działać, będę musiała zwrócić się do gazet.

W tym momencie Kluuge poczuł lekką panikę. Przełknął ślinę i zaczął gorączkowo myśleć.

– Skąd pani wie, że zniknęła jakaś dziewczynka? Sprawdziłem to. W Waldingen nikogo nie brakuje.

– Dzwonił pan tam i pytał, tak? Było przecież jasne, że zaprzeczą.

– Przeprowadziliśmy kontrolę.

Uznał, że to dobre sformułowanie, jednak kobieta nie dawała się zbyć.

– Jeśli nic nie zrobicie, oni zabiją jeszcze więcej.

Potem rozległo się kliknięcie. Kluuge siedział chwilę ze słuchawką w dłoni, po czym ją odłożył i zaczął tępo patrzeć na zdjęcie Lilian Malijzen w welonie stojące w złotej ramce na samym brzegu biurka.

Boże drogi, a jeśli ona mówi prawdę! – przeszło mu przez głowę.

Słyszał to i owo o tym Czystym Życiu. I trochę czytał. O ile dobrze rozumiał, zajmowali się różnymi dziwnymi rzeczami.

Mówieniem językami.

Wypędzaniem szatana.

Seksualnymi obrzędami.

Chociaż to ostatnie to na pewno tylko plotka. Wymyślona przez niezycziwych i drobnomieszczkańskich zawistników. Złe gadanie! – pomyślał Kluuge i znowu zajął się obserwowaniem krzewu bzu, mimo że coś w nim w środku – pewnie gdzieś głęboko w samym jądrze intuicji, używając jednego z ostatnich ulubionych sformułowań Deborah – mó-

wiło mu, że to prawda.

Prawda. Coś było w głosie tamtej kobiety. I w całej tej sytuacji: jego własne bezwstydnie poukładane życie, Deborah, segment, zastępstwo na stanowisku komendanta policji, piękne poranki... to wszystko wydawało się jedynie poprawne, jeśli pojawiała się coś takiego jak teraz.

Bo zawsze musi być zachowana równowaga, mawiał jego ojciec. Między plusem i minusem. Między sukcesami i niepowodzeniami. W przeciwnym razie nie sposób żyć.

Wsunął ołówek do ust. Pograżony w myślach, zaczął go gryźć, próbując wyobrazić sobie reakcję Malijsena, jeśliby się okazało, że w jego okręgu znaleziono zamordowaną dziewczynkę i że policja otrzymała pewne informacje, ale on je zignorował. Następnie usiłował przewidzieć skutki, jakie mógłby wywołać, gdyby niepotrzebnie zakłócił niebiański spokój nad świętą wodą pełną ryb. Ani w jednym, ani w drugim przypadku wizje, które Merwin Kluuge ujrzał oczami wyobraźni, nie były wesołe. I niezbyt budujące dla ewentualnej przyszłej kariery.

Czyste Życie? – pomyślał. Zginęła dziewczynka?

I trudno by się było dziwić.

Na pewno.

Zdecydowanym ruchem sięgnął po telefon i wybrał numer komendy policji w Maardam.

5

– Granat ręczny? – spytał szef policji.

– Niewątpliwie – odpowiedział Reinhart. – Czterdziestkapiątka. Wrzucił go przez otwarte okno, granat poturlał się po podłodze i wybuchł pod sceną. Co za piekielne szczęście: tylko osiem osób rannych i wszystkie się wyliżą. Gdyby eksplodował na parkiecie tanecznym, mielibyśmy z kilkanaście zwłok...

– Co najmniej – wtrącił deBries, poprawiając swoją bordową jedwabną apaszkę, która się trochę przekreśliła.

– Pomóc ci z tą chusteczką? – rzucił Rooth.

– I co dalej? – szybko włączył się Münster.

– Ostrzelał samochody z broni automatycznej – podjął na nowo Reinhart. – Miły gość, nie ma co. Raczej nie cierpi na zahamowanie agresji.

– Boże drogi – odezwała się Ewa Moreno. – I on wciąż jest na wolności?

– Może moglibyśmy się zmobilizować na dzisiejszy wieczór – powiedział Rooth. – Powinniśmy go dopaść.

– To zawodowy żołnierz? – spytał Jung.

– Niewykluczone – potwierdził Reinhart.

– Przepraszam – rzucił Heinemann, który właśnie wszedł spóźniony. – Czy nie moglibyśmy zacząć od początku, bo ja słyszałem o tym tylko w radiu.

Szef policji Hiller odchrząknął i wytarł sobie skronie higieniczną chusteczką.

– No dobrze – rzekł. – Reinhart tam był, więc chyba możesz nam przekazać wszystkie potrzebne informacje. No a potem trzeba oczywiście rozdzielić zadania...

Reinhart skinął głową.

– Dyskoteka Kirwan – zaczął. – Na dole, w Zwille, na wysokości Grote tong. Pełno ludzi. Tuż po wpół do trzeciej nad ranem – lokal jest

czynny do trzeciej – nieznanomy sprawca wrzucił do środka przez otwarte okno ręczny granat. Wybuch było słycać w całym śródmieściu, ale, jak wspomniałem, obyło się bez ofiar, bo granat eksplodował pod sceną. Scena oczywiście już nie istnieje. Zespół, który dzie sięć minut wcześniej na niej stał i grał, na szczęście istnieje... chociaż bywało, że czuli się lepiej.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Van Veeteren.

– Kontynuujcie – powiedział i usiadł na krześle. Komendant spojrział na zegarek. Reinhart uniósł jedną brew i mówił dalej:

– Osiem osób rannych, ale bez zagrożenia życia. Około dwudziestu z drobnymi obrażeniami zabrano do Rumford i Gemejnte, ale większość wróciła już do domu. Jest kilku świadków, którzy widzieli, jak jakiś mężczyzna uciekał z miejsca...

– Nie bardzo jest od czego zacząć – stwierdził Jung. – Było ciemno i świadkowie widzieli go z daleka. Ale są przynajmniej pewni, że to mężczyzna.

– Kobieta nigdy by czegoś takiego nie zrobiła – zauważył Rooth. – Przynajmniej żadna z tych, które znam.

– Typowo męskie zachowanie – potwierdziła Moreno. – Też jestem tego zdania.

Szef policji Hiller z irytacją stukał ballografem o stół.

– No a potem? – spytał Münster. – Co z tymi samochodami?

Reinhart westchnął.

– Mniej więcej pół godziny później ktoś – prawdopodobnie ten sam wariat, w przeciwnym razie mielibyśmy dwóch do złapania – strzelał do aut stojących na parkingu przed Keymerkyrkan. Przypuszczalnie ukryty gdzieś w Weivers Park. To też było słycać w całym centrum... wszystko trwało piętnaście–dwadzieścia sekund i też nikt nic nie widział. Broń automatyczna. Dwie–trzy serie. Około trzydziestu strzałów, z grubsza licząc.

– Klempje, Stauff i Joensuu kręcą się jeszcze między tymi samochodami – wyjaśnił Jung. – A Krause zajmuje się ich właścicielami.

– Dobra robota – rzekł deBries.

– Niewątpliwie – potaknął Reinhart. – Ale Krausemu przydałoby się jakieś wsparcie. Ma dwanaście osób do przepytania, w tym dwie nie-

mieckie rodziny w podróży.

– Białe mercedesy – dodał Jung.

Van Veeteren podniósł się z miejsca.

– Przepraszam. Zostawiłem wykałaczkę w swoim pokoju na dole. Zaraz wrócę.

Kiedy zniknął za drzwiami, w salce zaległa cisza.

– No tak – odezwał się Hiller. – To wszystko jest irytujące. Jeszcze na dodatek w czasie wakacji.

Nikt z zebranych nie zmienił wyrazu twarzy. Jung wstrzymał oddech.

– No tak – powtórzył Hiller. – Musimy oczywiście przydzielić do tej sprawy więcej niż jedną osobę. Zmobilizować wszystkie dostępne zasoby, w końcu chodzi prawdopodobnie o jakiegoś szaleńca, który w każdej chwili może znowu zaatakować. Gdziekolwiek. No? Kto może się tym zająć?

Reinhart przymknął oczy, a Münster zaczął przyglądać się swoim paznokciom. DeBries wyszedł do toalety.

– Cholera jasna – powiedział Rooth.

– W porządku – rzekł Reinhart dwadzieścia minut później, z ponurą miną mieszając swoją kawę. – Zajmę się tym. Na wszelki wypadek wezmę ze sobą Junga i Rootha. I Münstera, przynajmniej na początek.

– Dobrze – odparł Van Veeteren. – Dasz radę.

Reinhart prychnął.

– Czego chce od ciebie ten nasz ogrodnik? Coś mi się obilo o uszy.

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie. Chyba najpierw zjem obiad i dopiero do niego pójde.

– Obiad? – spytał Reinhart. – A co to takiego?

Van Veeteren przyjrzał się rozgryzionej wykałaczkę, po czym wrzucił ją do pustego plastikowego kubka.

– Znasz majora Greubnera?

Reinhart zastanowił się.

– Nie. A powinienem?

– Od czasu do czasu grywam z nim w szachy. Rozsądny gość. Może warto byłoby pozwolić mu trochę pospekulować...

– Na temat tego wariata?

Van Veeteren skinął głową.

– W końcu w mieście jest tylko jedna jednostka wojskowa. A nie wydaje mi się, żeby w sklepach spożywczych zaczęli sprzedawać granaty.

Reinhart przez chwilę wpatrywał się w resztkę kawy na dnie swojego kubka.

– Ale może jestem niedoinformowany? – dodał Van Veeteren.

– Nigdy nie wiadomo – rzekł Reinhart. – Masz jego numer?

Komisarz zapisał go na kartce.

– Dzięki – powiedział Reinhart. – No cóż, obowiązki wzywają. Pozwoli pan komisarz, że będę życzył mu smacznego obiadu.

– Oczywiście – odparł Van Veeteren.

– Wejdz! – krzyknął Hiller.

– Już wszedłem – rzekł Van Veeteren i usiadł.

– Siadaj, proszę. Zgadza się wszyscy, żeby Reinhart przejął sprawę tego obłąkańca?

– Oczywiście.

– Hmm. A ty idziesz zaraz na urlop?

Komisarz potaknął. Hiller wachlował się jakimś dokumentem z pieczątką ministerstwa spraw wewnętrznych.

– A potem? Chyba nie mówiłeś poważnie?

Van Veeteren nie odpowiedział.

– Już wcześniej miałeś kilka razy takie napady. Dlaczego akurat teraz miałbym ci wierzyć?

– Zobaczymy – odparł komisarz. – Powiem ci ostatecznie w sierpniu, ale raczej wszystko na to wskazuje... chciałem cię tylko wcześniej uprzedzić. Zawsze lubisz być poinformowany.

– Hmm – bąknął szef.

– A co tak naprawdę ode mnie chcesz? – spytał Van Veeteren.

– Jest pewna sprawa.

– Reinhart coś mi wspomniał.

– Dzwonił komendant z komisariatu policji w Sorbinowie.

– W Sorbinowie?

– Tak.

– Malijsen?

– Nie, on jest chyba na urlopie i ktoś go zastępuje.

Hiller wyjął jakąś kartkę z teczki.

– ...Kluuge. Sprawiał wrażenie niezbyt doświadczonego, a właśnie dostał zawiadomienie o zaginięciu.

– O zaginięciu?

– Tak.

– A co my mamy do tego? Powinien poszukać pomocy trochę bliżej.

Hiller przechylił się przez biurko, próbując zmarszczyć czoło.

– Masz rację. Ale ten Kluuge dostał wyraźne polecenie, że w razie czego ma się zwrócić do nas... tak mu kazał jego szef, zanim wyjechał na urlop. Wilfred Malijsen... znasz go?

– Owszem, trochę.

– Tak myślałem – powiedział Hiller i wyprostował się na krześle. – Bo właśnie o ciebie chodzi temu Kluugemu. Szczerze mówiąc... szczerze mówiąc, mam wrażenie, że tu coś śmierdzi, więc skoro namówił Reinharta, żeby przejął tamtą sprawę, to może jednak byś się tam wybrał?

Van Veeteren nic nie powiedział. Złamał wykałaczkę i z wściekłością spojrzał na swojego przełożonego.

– Mówisz... zawiadomienie o zaginięciu? – burknął.

– Tak – potwierdził Hiller. – O ile dobrze zrozumiałem, przepadła jakaś mała dziewczynka. O co, u diabła, ci chodzi? Trudno o bardziej idylliczne miejsce o tej porze roku niż Sorbinowo...

– A co miałeś na myśli, mówiąc, że coś tu śmierdzi?

Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że szef policji się zaczerwienił.

Ale może to tylko te jego zwyczajne uderzenia gorąca, pomyślał Van Veeteren. Doszedł do wniosku, że jego szef przyswoił sobie to powiedzenie od Reinharta. Wstał z miejsca.

– *All right* – powiedział. – Pojadę tam i się rozejrzę.

Hiller podał mu kartkę z danymi. Van Veeteren popatrzył na nią

przez dwie sekundy i wsunął ją sobie do kieszeni.

– Ta hortensja ponuro wygląda – stwierdził na koniec.

Hiller westchnął.

– To nie jest hortensja – wyjaśnił. – To jest aspidistra... właściwie powinna dobrze znosić upały, ale widocznie jest inaczej.

– Być może nie znosi czegoś zupełnie innego – rzekł Van Veeteren i odwrócił się na pięcie.

6

Wśród danych był nawet prywatny numer telefonu aspiranta Kluugego, ale komisarz zadzwonił do niego dopiero z domu. Odebrała młoda kobieta i oznajmiła mu bez ceregieli, że zastępca komendanta policji właśnie bierze prysznic, po czym zaproponowała, żeby spróbował trochę później. Van Veeteren wyjaśnił, kim jest, i poprosił, żeby to aspirant niezwłocznie się do niego odezwał, jeśli rzeczywiście leży mu coś na sercu.

Kluuge oddzwonił trzy minuty później. Rozmowa była krótka. Van Veeteren od dawna nie znosił gadania przez telefon, toteż gdy doszedł do wniosku, że w całej tej historii jest być może przynajmniej ziarenko prawdy, umówił się na spotkanie następnego dnia.

Ostatecznie co najwyżej przekona się na własne oczy, czy faktycznie jest tam tak idyllicznie, pomyślał i chytrze się uśmiechnął.

– Przyjadę samochodem – powiedział. – Będę około dwunastej. Możemy porozmawiać przy obiedzie.

– Oczywiście – odparł Kluuge. – Dziękuję, że jest pan gotów pomóc.

– Nie ma za co – rzekł Van Veeteren i odłożył słuchawkę.

Potem siedział przez kilka chwil niezdecydowany. W końcu postanowił zostać w domu. Wyjął chleb, piwo, kiełbasę, ser i oliwki, następnie usiadł pod markizą na balkonie. Po pierwszym łyku piwa wstał i wszedł z powrotem do mieszkania. Znowu się zawahał i wreszcie znalazł wśród płyt CD Satiego. Nastawił *Gymnopédie* i wrócił na zewnątrz.

Wilfred Malijsen, pomyślał. Ten cholerny idiota.

I kiedy tak siedział, czując, jak zapach kwitnących lip wpełza przez barierkę balkonu, i widząc, jak słońce chowa się za dachem browaru Kroelsch, cofnął się myślami do swojego jedyne go spotkania z tym odległym kolegą.

Obliczył, że od tamtej pory musiało minąć co najmniej dwadzieścia lat, ale może mimo wszystko warto było wyłowić dawne wspomnienie

ze studni niepamięci.

1978 – uznał. Albo 1979.

Tygodniowa konferencja dla wyższych funkcjonariuszy policji i policji kryminalnej, którym zależało na rozwoju swojej kariery. Czas: późna jesień, październik albo listopad. Miejsce: hotel z taką czy inną gwiazdką w okolicy portu w Lejnice. Cel: zagubiony w mrokach czasu.

Wydarzenie, które sprawiło, że cały tamten tydzień zapadł mu w pamięci bardziej niż inne podobnie koszarne przedsięwzięcia, nastąpiło – jeśli dobrze sobie przypominał – w środę, po trzech czy czterech dniach wypełnionych seminariami z brodatym psychologiem w sandałach, nudną pracą w grupach i coraz dłuższych wieczorach w barach i knajpach. Jakiś młody desperado, który zatrzymał się w tym samym hotelu co policyjny zespół, zabarykadował się w swoim pokoju razem z młodą kobietą, grożąc użyciem przeciwko niej broni.

Tą bronią – jak się dosyć szybko okazało – był kałasznikow, a warunek owego mężczyzny polegał na tym, aby policja przywiozła mu jego byłą przyjaciółkę oraz milion guldenów, bo jeśli nie, to zrobi miazgę ze swojej jasnowłosej zakładniczki (która jeszcze na dokładkę była w trzecim miesiącu ciąży), a także z każdego, kto tylko odważy się do niego zbliżyć.

Wyznaczony przez desperata czas nie pozostawiał policji wielu możliwości na strategiczne rozważania: dwie godziny – i ani sekundy dłużej.

Ponieważ żądania były praktycznie nie do spełnienia – choćby dlatego, że dawna narzeczona akurat spędzała urlop we Włoszech i raczej nie była zainteresowana jakąkolwiek współpracą – szefostwo miejscowej policji w porozumieniu z grupą wyższych rangą uczestników konferencji postanowiło przeprowadzić próbę odbicia zakładniczki. W największym pośpiechu wymyślano najrozmaitsze scenariusze. Van Veeterena uznano za osobę właściwą do odegrania jednej z głównych ról, toteż po kilku mniej lub bardziej udanych szachowych posunięciach komisarz znalazł się nagle razem z napastnikiem i jego zakładniczką w ich pokoju. Plan był następujący: Van Veeteren miał zwabić młodzieńca w poblizsze okna i pertraktować z nim tam

przynajmniej przez dziesięć sekund, czyli wystarczająco długo, by któryś ze snajperów na dachu naprzeciwko zdążył wziąć go na muszkę i unieszkodliwić za pomocą dwóch czy trzech precyzyjnych strzałów w głowę i klatkę piersiową.

Chodziło oczywiście o owego desperata, a nie o Van Veeterena.

Tymczasem młody człowiek nie miał najmniejszego zamiaru uczestniczyć w owej inscenizacji. Zamiast podejść do okna, wepchnął komisarza w najdalszy kąt pokoju, po czym kazał mu zamknąć oczy i odmówić ostatnią modlitwę do swojego stwórcy, jeśli sądzi, że udało mu się go przechytrzyć.

Van Veeteren w tym rozgorączkowaniu nie znalazł żadnego odpowiedniego bóstwa i zaczął po prostu liczyć do dziesięciu, a kiedy doszedł do siedmiu, na balkonie powstał rumor i do środka wparował Malijsen – zgodnie z jakimś planem, w który nikt inny nie był włączony i o którym nikt nie miał pojęcia. Van Veeteren otworzył ostrożnie oczy i zdążył jeszcze zauważyć, jak Malijsen wypala ze swojej broni, a głowa młodego mężczyzny zamienia się w coś, co trudno nazwać słowami, a co jeszcze wiele lat później budziło go w środku nocy, bo ten obraz często mu się śnił.

– Masz szczęście, że akurat wtedy przechodziłem – skomentował Malijsen na poczekaniu.

W kolejne wieczory spędzili wiele godzin razem. Van Veeteren coraz bardziej odnosił wrażenie, że jego wybawiciel jest zupełnym beztalenciem i głupkiem mającym w gruncie rzeczy na każdy temat kilka – traktowanych mniej lub bardziej serio – powierzchownych, wyświechtanych poglądów. Niestety. Harcerzyk w średnim wieku, jak powiedziałyby pewnie Reinhart. Na dodatek bezczelny, ograniczony i zafiksowany na wojnie. Komisarz miał go szczerze dość już po półgodzinie spędzonej w jego towarzystwie, ale jeśli rzeczywiście to właśnie jemu, temu opasłemu inspektorowi policji, zawdzięczał swe życie, musiał się wykazać i zaprosić go raz czy drugi na piwo.

Podczas następnych dni konferencji część dyskusji poświęcona była kompetencjom i zakresowi indywidualnej inicjatywy w zaawansowanych działaniach policji, a zaledwie kilka miesięcy później po incydencie w Lejnice Van Veeteren przeczytał w branżowej gazecie, że

Wilfred Malijsen objął stanowisko komendanta policji w Sorbinowie.

Nie można wykluczyć, że między oboma wydarzeniami istniał związek.

Malijsen? – powtórzył w duchu jego nazwisko Van Veeteren, sięgając po oliwki. Może pora spłacić dawny dług.

Następnie zaczął myśleć o czymś zupełnie innym. Najpierw o Kreście, a potem o modelu skandynawskiej obrony, o której niedawno czytał i która być może była warta bliższego przyjrzenia się.

W lokalu stowarzyszenia przy Styckargränd panowała wakacyjna pustka. Kiedy komisarz stanął w drzwiach, poczuł, że powietrze pod okrągłymi sklepieniami jest przyjemnie chłodne. Mahler siedział jak zwykle w głębi, pod sztychem Dürera, i miał zaskakująco ponurą minę. Van Veeteren przypomniał sobie, że jego znajomy wrócił właśnie z Chadowa, z pogrzebu swojej ciotki.

– Brakuje ci jej? – spytał zdziwiony. – O ile pamiętam, mówiłeś, że za nią nie przepadałeś.

– Spory majątkowe – powiedział Mahler. – Ponura historia. Biorąc pod uwagę to, z jakimi idiotami jestem spokrewniony, nie ma dla mnie wielkiej nadziei.

– Też tak uważam – rzekł komisarz, siadając na krześle. – Ale ja tymczasem zamówię sobie piwko, a ty rozstaw figury. Mam zamiar cię dzisiaj wykończyć nowym otwarciem.

Mahler jakby lekko się rozchmurzył.

– Kto zabija ostatni, zabija najskuteczniej – powiedział i poprawił szachownicę.

Rozegranie pierwszej partii zajęło im półtorej godziny i zakończyło się remisem po mniej więcej osiemdziesięciu ruchach.

– To pierwsze posunięcie gościem było dobre – stwierdził Mahler, skubiąc brodę. – Niewiele brakowało, a byś mnie zaskoczył.

– Miałeś szczęście – odparł komisarz. – Uważam się za moralnego zwycięzcę... ale á propos moralności: co ci wiadomo o Czystym Życiu?

– Czystym Życiu? – Mahler popatrzył na niego zaskoczony. – Chyba

nie masz na myśli tej przeklętej sekty?

– Właśnie o nią mi chodzi.

Mahler zastanowił się przez chwilę.

– A dlaczego pytasz? Mam nadzieję, że z powodów zawodowych? Chyba nie zamierzasz do niej wstąpić?

Van Veeteren nie odpowiedział.

– Ohyda – rzekł Mahler po kolejnej chwili namysłu. – Nie żebym specjalnie dużo o niej wiedział, ale nie chciałbym tam mieć przyjaciół. Na jej czele stoi sprytny hochsztapler, przyciąga niestabilnych emocjonalnie i wylęknionych ludzi... robi z nich marionetki i ma, zdaje się, sporo za uszami. Chociaż formalnie rzecz biorąc, działają zgodnie z przepisami prawa i oczywiście wszyscy mają spojrzenia łagodne jak niewinne anioły. A zwłaszcza po tym, co się ostatnio stało.

– Hm – odezwał się Van Veeteren. – Widzę, że czytasz w moich myślach.

– A konkretnie?

Komisarz wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Może to tylko fałszywy alarm. Tak czy siak, wyjeżdżam na kilka dni. Do Sorbinowa.

– Ach tak – rzekł Mahler. – O tej porze roku może być tam bardzo przyjemnie. Tyle jezior w okolicy i w ogóle.

– Jadę służbowo – sprecyzował Van Veeteren.

– Mam nadzieję – uśmiechnął się Mahler. – Ale gdybyś znalazł wolne pół godziny... znam tam dosyć dobrego pismaka.

– Co ty powiesz?

– Recenzował moje pierwsze tomiki. Mądrze i przychylnie. Sprawia wrażenie, że wie, o co chodzi w tym przeklętym życiu. Chyba nadal jest redaktorem naczelnym.

Van Veeteren skinął głową.

– A jak się nazywa? Na wypadek gdybym potrzebował jakiegoś jasnego umysłu?

– Przebuda. Andrej Przebuda. Dzisiaj pewnie jest już po siedemdziesiątce, ale przypuszczam, że będzie trwał na barykadach kultury, dopóki wiatr nie rozwieje jego prochów na cztery strony świata.

Van Veeteren zapisał sobie nazwisko dziennikarza i opróżnił swoją

szklanke.

– No cóż. Może warto czasami ruszyć się z miejsca – powiedział.

– Na pewno – odparł Mahler. – Tylko trzeba unikać pogrzebów.

– Postaram się ich unikać – obiecał Van Veeteren. – Zdążymy jeszcze jedną partyjkę?

Mahler spojrział na zegarek.

– Chyba tak – rzekł. – A czy ty przypadkiem nie powinienes iść niedługo na urlop? Czy też tego rodzaju zdobycze socjalne u was cofnięto?

– Pierwszego sierpnia – wyjaśnił komisarz i przekreślił szachownicę na stole. – Wybieram się na Krete. I to z pewnymi nadziejami.

– Do diabła! – rzucił Mahler. – Z jakimi znowu nadziejami?

Ale komisarz z niezgłębioną miną tylko przyglądał się swojej czarnej królowej.

– Chociaż muszę przyznać, że mam złe przecucia – stwierdził po chwili.

– Dotyczące Krety?

– Nie, Sorbinowa. Podobno chodzi o jakieś zaginione dziecko. A ja nie lubię takich historii.

Mahler dopił piwo do końca.

– No tak – potaknął. – Dzieci nie powinny znikać. A przede wszystkim nie powinny umierać. Dopóki Pan Bóg nie zdoła zapanować nad takimi detalami, nie jestem skłonny w niego uwierzyć.

– Ja też – odparł Van Veeteren. – Proszę, twój ruch.

III

19-23 lipca

Sonata na skrzypce Elgara dobiegła końca sto metrów przed znakiem zapowiadającym miasto. Wyłączył płytę i wjechał na parking z tablicą informacyjną dla turystów i z ładnym widokiem na okolice poniżej. Zaczął grzebać w skrytce pod przednią szybą i znalazł pół paczki wstów, o której przypomniał sobie pół godziny temu. Zapalił papierosa i wysiadł z samochodu.

Rozprostował plecy, a potem zrobił kilka dyskretnych skrętów tułowia, ogarniając jednocześnie spojrzeniem roztaczającą się panoramę. Łańcuch jezior – a właściwie rzeka Meusel, która w trzech czy czterech miejscach rozciągała się w podłużne ciemne jeziora – przecinał w kierunku południowo-wschodnim płaską, pokrytą polami uprawnymi dolinę. Miasto Sorbinowo leżało między jeziorami numer dwa i trzy, patrząc z jego perspektywy, i rozlewało się także wokół nich. Naliczył aż sześć mostów ponad wodą, która jakieś pięć kilometrów dalej zniknęła z pola widzenia między porośniętymi lasem wzniesieniami. Żaglówki, łódki i wszelki inny sprzęt pływający kołysał się na lekkim wietrze; tuż poniżej stało kilku rybaków i zarzucało wędki ze starego murowanego pomostu, a kilkadziesiąt metrów dalej na zachód dzieciaki wrzeszczały i wesoło baraszkowały w kąpielisku.

Prawdziwa idylla, Hiller i Mahler mieli rację. Ciemna, lśniąca tafla wody. Pola dojrzewających zbóż. Tu i ówdzie grupki drzew liściastych i pojedyncze zabudowania w na wpół otwartym krajobrazie. A wszystko to otoczone bezgłośnym lasem iglastym. Armiami milczenia.

I wibrujący letni żar, który sprawiał, że delikatnie pomarszczona woda wydawała się nęcąca nawet tak opornemu pływakowi jak komisarz Van Veeteren.

Idylla, tak, pomyślał i zaczerpnął głęboko powietrza. Na odległość i zanim się zdrapie wierzchnią skorupę, niemal wszystko wydaje się i piękne, i doskonale uporządkowane. To stara, dobrze znana prawda.

Kiedy tak stał, nasłuchując znajomych sygnałów swojego kręgosłupa po długiej podróży samochodem, odezwał się w nim wielokrotnie przeżuwany chaos myśli – tych dotyczących dystansu i starzenia się. Bo kiedy pewnego dnia (w sierpniu? antykwariat Krantzego?), korzystając z niepodważalnego prawa mijających lat, wycofa się... kiedy raz na zawsze skończy z tym swoim rozpaczliwym grzebaniem po śmietnikach życia, to chyba właśnie osiągnie dystans – zajmie wyniosłą pozycję chłodnego oddalenia, do której zmierzał i którą chciał sobie zapewnić. Perspektywę obserwatora. Żeby w końcu zadowolić się tym, co zewnętrzne – niezależnie od tego, czy to będzie błyszczyć, czy nie – i odczytywać wszystkie znaki jako pozytywne. Albo może nie wszystkie. Tak by wzorzec pozostał wzorcem. Dać spokój światu i sobie samemu.

Jedynie siedzieć i gapić się przed siebie. Przy piwku i szachownicy w Yorrick's czy Winderblatt's. Cnota jako zapłata po całym życiu po stronie cienia?

Kto w to uwierzy, będzie święty, pomyślał i zdeptał niedopałek papierosa.

Pora uchylić zasłonę zakrywającą rozleniwione latem Sorbinowo.

Zniknęła dziewczynka?

Czyste Życie?

Czysta bzdura, oczywiście! – podsumował w duchu i wypił resztkę ciepławej wody mineralnej z butelki, która zbyt długo leżała na siedzeniu pasażera. Paranoidalne urojenia przewrażliwionego aspiranta na zastępstwie i nic ponadto... ale jeśli uda mu się przeciągnąć sprawę na kilka dni i jednocześnie spłacić swój dług wobec głupka Malijsena, to tak naprawdę nie będzie miał powodu, by narzekać.

Bywały gorsze rzeczy niż zmarnowany czas – może właśnie coś takiego stanowi perspektywę obserwatora? Przynajmniej między innymi.

Komisarz pomyślał tak w duchu i wytarł sobie pot z czoła. Następnie wsiadł z powrotem do samochodu i nie spiesząc się, zjechał w dół między zabudowania.

Od komisariatu policji przy Kleinmarckt do restauracji Florian's było

tylko pięć minut spacerem. Van Veeteren od razu zrozumiał, że lokal ten nie jest codziennym miejscem stołowania się aspiranta Kluugego. Białe obrusy, dyskretni kelnerzy we frakach i klimatyzacja, która wydawała się działać wszędzie poza otwartym tarasem, gdzie akurat Kluuge zarezerwował stolik.

I ani żywego ducha.

– No, to zobaczymy, co tu dają – powiedział uprzejmie komisarz, zajmując miejsce.

– Jest pan naszym gościem – oznajmił Kluuge trochę zmieszany i zupełnie niepotrzebnie. – Proszę wybierać!

Van Veeteren spojrział w stronę wody, która rozpościerała się podstępnie i wciąż lśniła dwadzieścia metrów niżej, i znowu pomyślał o tym, co zewnętrzne. W końcu skupił się na studiowaniu karty, z którą niepostrzeżenie podszedł jeden z pingwinów.

– Może porozmawiamy trochę o... o tych telefonach – odezwał się Kluuge, kiedy zjedli już po kawałku rolady z łososia. – W końcu po to pan przyjechał.

– Mhm – potaknął Van Veeteren. – To opowiadaj. Ja potrafię jednocześnie jeść i słuchać, to jest umiejętność, którą wykształciłem z wiekiem.

Kluuge roześmiał się grzecznie i odłożył sztucce.

– No więc to były tylko dwa telefony, ale odniosłem wrażenie, że... że...

Van Veeteren skinął zachęcająco głową.

– ...że to może być coś poważnego. W głosie tej kobiety było coś takiego. Nie brzmiała jak jakaś nawiedzona czy ktoś w tym rodzaju.

A jakie ty masz doświadczenie z nawiedzonymi? – pomyślał Van Veeteren, lecz nic nie powiedział.

– Zadzwoiłem do Waldingen, żeby sprawdzić, czy to prawda, ale oni tam o niczym takim nie słyszeli. Potem próbowałem dowiedzieć się trochę więcej, czym właściwie się zajmują, jednak niewiele wskórałem. Waldingen należy do jakiejś fundacji, która wynajmuje ośrodek większym grupom, oczywiście przeważnie w okresie letnim. Czyste Życie było tam już w ubiegłe wakacje i także w tym roku zrobili

rezerwację prawie na całe lato. Od połowy czerwca do pierwszego września, o ile dobrze zrozumiałem...

– Hm – odezwał się Van Veeteren i pociągnął łyk piwa.

– Wybrałem się tam wczoraj po południu, żeby rzucić okiem. To około trzydziestu kilometrów stąd. Tylko przejechałem, nawet się nie zatrzymywałem. Obóz leży faktycznie prawie na odludziu, naokoło jedynie lasy i jeziora, do najbliższego sąsiada jest jakiś kilometr... dla kogoś, kto chce mieć spokój, to wprost idealne miejsce. Zdaje mi się, że kiedyś organizowano tam wycieczki szkolne, ale ja nigdy tam nie byłem.

– A ta kobieta – przerwał mu Van Veeteren – ta, która dzwoniła. Kto to mógł być twoim zdaniem?

Kluuge spojrział na niego zaskoczony.

– Nie mam pojęcia.

– Spróbuj zgadnąć.

Aspirant wzruszył ramionami.

– Jeśli ona rzeczywiście mówi prawdę – kontynuował komisarz, wycierając sobie usta serwetką – to znaczy, że w jakiś sposób dowiedziała się o tym. Tak?

– No tak, tak myślę...

– A wy nie macie tu takiego telefonu, na którym dałoby się sprawdzić numer, z którego dzwoniło?

Kluuge pokręcił głową i znowu sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Mamy dostać taki jesienią. Malijsen już go zamówił, ale jest jakieś opóźnienie w realizacji.

Van Veeteren zmienił temat.

– A wiesz, ile osób jest na tym wakacyjnym obozie?

– Niezupełnie. To jakiś obóz przygotowujący do confirmacji czy coś takiego. Chyba same dziewczynki... oprócz tego kilka opiekunek, no i ksiądz.

– Ksiądz?

– Oscar Jellinek. Jeśli dobrze zrozumiałem, to on założył całą tę sektę. Wczoraj trochę poczytałem na jej temat. Wszystko zaczęło się jakieś dziesięć–dwanaście lat temu, sekta działa głównie w Stambegu, właściwie prawie tylko tam. Ma w sumie nie więcej niż dziewięć-

ciuset członków, no i jedyny ich kościół, czy jak to nazwać, znajduje się też w Stambergu. Był też przez krótki czas jeszcze jeden w Kaalbringen, ale go zamknięto. Trochę pisali o nich w gazetach, parę lat temu doszło podobno do jakiegoś skandalu. Ten Jellinek nawet siedział przez kilka miesięcy, ale ostatnio jest o nim cicho...

Van Veeteren przełknął ostatni kęs łososia, popijając go połową szklanki piwa. Kaalbringen? – przypominał sobie. Komisarz Bausen? Zabójstwo siekierą...

Odsunął to wspomnienie. Spojrzał na jezioro i gromadkę dzieci barszkujących na brzegu. Pewnie jakaś kolonia, pomyślał. W całym regionie wszędzie było ich pełno... na moment w jego głowie ożywiły się zupełnie inne mroczne obrazy z własnego dzieciństwa, ale i te udało mu się wyprzeć.

– A nie wstąpiłeś tam i nie rozejrzałeś się? – spytał. – Skoro już tamtędy przejeżdżałeś.

– Nie – odparł Kluuge – nie zrobiłem tego.

– Dlaczego?

– Pomyślałem, że poczekam z tym na pana komisarza. Wcześniej zadzwoniłem do nich i spytałem, ale powiedzieli mi, że nikogo nie brakuje.

Świetnie, pomyślał Van Veeteren. Fantastyczna operatywność.

– Rozumiem – rzekł. – Wobec tego może najlepiej będzie, jak się tam obaj wybierzemy i trochę się rozejrzemy. W jaskini lwa i być może jeszcze w jednej czy drugiej dziurze.

Kluuge z zapalem skinął głową. Wyprostował się na krześle i zrobił taką minę, jakby chciał ruszyć natychmiast.

– Powoli, powoli – powstrzymał go komisarz. – Co nagle, to po diabie. Najpierw sprawdzimy, czy uda nam się dostać w tym lokalu jakiś porządny deser.

– A tak w ogóle to masz tutaj dużo do roboty? – spytał komisarz, kiedy już wrócili do morelowego pokoju komendanta policji. (Morelowy kolor? – pomyślał Van Veeteren. Dałbym sobie głowę uciąć, że on sam pomalował te ściany!)

– No, są różne raporty do zrobienia i takie tam rzeczy – odpowie-

dział Kluuge.

Van Veeteren wyrzucił wykałaczkę za kaloryfer.

– Proponuję, żebyś spróbował dowiedzieć się trochę więcej o tej sekcji. Zadzwoń na policję w Stambiegu i po prostu ich wypytaj. Waldingen biorę na siebie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Daj mi numer, to najpierw tam zadzwonię.

Kluuge zapisał go na kartce.

– Chyba zostanę tu na noc... wtedy będziemy mogli dokładniej przyjrzeć się sprawie. Co byś mi polecił?

Kluuge zawahał się chwilę.

– Hotel Miejski albo Grimm's – powiedział. – Miejski jest chyba ciutkę lepszy, za to Grimm's leży nad samym jeziorem. Jakies sto metrów za restauracją, w której jedliśmy. Może ma trochę niższy standard, ale...

– No to niech będzie Grimm's – postanowił Van Veeteren i wstał. – Zadzwoń do mnie, jeśli coś odkryjesz. Jak nie, widzimy się jutro przed południem.

Kluuge też podniósł się z krzesła i uściśnął dłoń komisarzowi.

– Dziękuję – powiedział. – Jestem wdzięczny, że pan przejmie tę sprawę.

– Nie ma za co – odparł Van Veeteren i pozostawił aspiranta Kluugego własnemu losowi.

Pokój stanowił dosyć mało udane połączenie nowego i starego, ale za to wanna była obszerna i z balkonu roztaczał się widok na jezioro i domy, które na drugim brzegu wznosiły się coraz wyżej, aż po samą granicę lasu. Van Veeteren rozgościł się, wstawił swoją torbę do krzywej dębowej szafy, po czym wybrał numer do Waldingen.

Gdy po dziesięciu sygnałach wciąż nikt się nie zgłosił, odłożył słuchawkę i zaczął studiować mapę, którą dostał od Kluugego. Jak wyjaśnił aspirant, Waldingen to nawet nie wieś, a jedynie nazwa dawnego ośrodka kolonijnego – powstałego w latach dwudziestych – mimo to było zaznaczone na mapie. Nieduży czarny kwadracik na końcu dróżki odchodzącej od większej drogi i biegnącej wkoło dwóch niewielkich jezior, a potem wracającej w to samo miejsce.

Mniej więcej trzydzieści–czterdzieści kilometrów przez las. Tak to wyglądało. Van Veeteren złożył mapę i drugi raz wybrał numer.

Brak odpowiedzi. Spojrzał na zegarek. Pięć po trzeciej. Słońce wciąż paliło nad jeziorem. W pokoju, mimo cienia, było około trzydziestu stopni. Komisarz siedział przez chwilę niezdecydowany, zastanawiając się, co dalej.

Czym się tu, do cholery, zająć?

Wtedy przypomniało mu się, że na brzegu jeziora widział coś w rodzaju plażowej kawiarenki z pękatymi parasolami. Wyciągnął z torby *Rozważania bez perspektywy* Klimkego, wziął papierosy i wyszedł z pokoju.

Dwa ciemne piwa i cztery papierosy później podjął kolejną próbę dozwonienia się do Waldingen, z tym samym rezultatem.

Co, u diabła, oni tam wyprawiają? – zastanowił się. Skoro opiekują się całym tabunem nastolatek, to powinni raczej starać się przynajmniej odbierać telefony.

A może Kluuge ze zdenerwowania dał mu zły numer?

Zadzwoił do informacji, żeby sprawdzić. Okazało się, że numer jest właściwy.

Zerknął na zegarek.

Wpół do piątej. Co robić?

Najpierw prysznic, a potem spokojny spacer po Sorbinowie, postanowił. Najchętniej zacienionymi zaułkami, jeśli tu takie w ogóle są. Żeby nabrać apetytu na kolację, skoro nie ma innego powodu. Wizytę u wybranych owieczek Pana Boga wolał przesunąć jednak na jutro. Nie miał specjalnej ochoty zapuszczać się dzisiaj w tamten las, nie nawiązawszy wcześniej żadnego kontaktu.

Ale co tam. Skoro miał to być, tak jak chciał, przypadek na dwa tygodnie, to nie było potrzeby się spieszyć.

Rozebrał się i wszedł do niebiesko-żółtej łaźienki.

A niech to szlag, pomyślał.

Przez dziesięć minut stał pod prysznicem po ciemku.

Jazda do Waldingen zajmowała trzydzieści pięć minut. Ostatnie pięć kilometrów jechało się przez las wąską i wyboistą drogą, która wydawała się równie niewykorzystana, jak jego własny popęd seksualny. Las był gęsty i pachniał, a zabudowania zdarzały się rzadko; kiedy dotarł do jeziora i zobaczył budynki ośrodka, naliczył nie więcej niż cztery gospodarstwa od chwili, gdy odbił z głównej drogi. Nie spotkał też ani jednego pojazdu. Skierował swój samochód między dwie oświetlone słońcem sosny i tam go zatrzymał.

Zanim zdążył wysiąść z auta, w jego stronę ruszyła już kobieta w szarobiałym sari. W każdym razie jej strój przypominał coś na kształt sari, ale po bliższym przyjrzeniu się komisarz stwierdził, że jest to po prostu kawał grubego, niefarbowanego lnianego sukna. Jej skóra, włosy, wargi i oczy miały mniej więcej tę samą barwę, która Van Veeterenowi skojarzyła się z kaszą na mleku stojącą całą noc na stole.

Czterdzieści pięć lat, oszacował. Lekko nawiedzona. Nienawidzi mężczyzn.

– Komisarz Van Veeteren? – spytała, wyciągając jednocześnie ku niemu bezwładną dłoń.

– Van Veeteren. To ja dzwoniłem wczoraj wieczorem. Chodzi o rozmowę z panem Jellinkiem.

– Proszę za mną.

Ruszyła pierwsza w stronę budynków, które stały zgrupowane w kształcie podkowy wkoło opadającego w dół zaniedbanego trawnika z wysepkami krzaczków jagód i dzikiego bzu. Ciemnobrązowe, starannie rzeźbione drewniane domy pokryte świeżą blachą: jeden większy, dwupiętrowy z werandą i kominami, oraz dwa mniejsze po prawej i po lewej; proste, kanciaste szopy wyraźnie świeższej daty. Jezioro zaczynało się dokładnie po drugiej stronie drogi, zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, a kiedy sięgnął tam spojrzeniem, zauważył nagie

ciała na brzegu.

Z tuzin dziewczynek, które spokojnie się przechadzały albo siedziały na ręcznikach i suszyły się w słońcu, rozmawiając cicho ze sobą.

Ale nikt się nie pluskał w jeziorze. Żadnego zgiełku, żadnych krzyków i opryskiwania się wodą, żadnego radosnego śmiechu. W samym środku grupki zauważył też dwie kobiety ubrane tak samo jak ta, która go prowadziła. Zatrzymał się w pół kroku i zaczął przyglądać się temu malowidłu – bo to było bardziej malowidło niż cokolwiek innego – a przez głowę przemknęło mu kilka skojarzeń.

Żadnego z nich jednak nie zapamiętał. Pozostało jedynie uczucie lekkiego niepokoju i zadziwienia, a kiedy za jego plecami na werandzie rozległo się chrząknięcie mężczyzny, Van Veeteren odwrócił się i o tym zapomniał.

– Witamy u nas.

– Dzień dobry.

– Jesteśmy przeciwni pańskiej wizycie, mimo to przyjmujemy pana i jesteśmy gotowi odpowiedzieć na pytania.

– Doskonale – odparł Van Veeteren. – Domyślam się, że mam przyjemność z Oscarem Jellinkiem?

Mężczyzna skinął głową, nie odpowiadając. Był starszy, niż komisarz się spodziewał, prawdopodobnie miał w przybliżeniu tyle lat co on. W każdym razie na pewno niewiele mniej. Szczupły i trochę przygarbiony. Włosy mysiego koloru, do ramion, nosił zebrane gumką na karku. Broda zwisała w kosmykach do piersi, a jego ubranie pochodziło przypuszczalnie z tego samego źródła, co strój trzech kobiet. Obszerna, szarawa koszula i szerokie spodnie kończące się nieco powyżej kostek. Na stopach sandały.

Bez dwóch zdań prorok, pomyślał Van Veeteren, wchodząc za nim do domu. Usiedli naprzeciw siebie przy dużym, okrągłym drewnianym stole obstawionym mniej więcej dziesięcioma prostymi krzesłami. Jellinek założył na nos okulary ze sklejonymi taśmą zausznicami i spojrzał na komisarza.

– Ma pan piętnaście minut – powiedział. – O jedenastej zaczynamy godziną modlitwę.

Van Veeteren uniósł brew i przez kilka sekund pozostał z taką

miną.

– A więc – zaczął – jestem z policji kryminalnej i zostanę tu tak długo, jak długo to będzie konieczne. Ale jeśli wykaże pan wolę współpracy, nie widzę powodu, aby nasza rozmowa miała trwać dłużej niż kwadrans.

Oscar Jellinek nic nie powiedział.

– Jak opisałby pan waszą wspólnotę?

Mężczyzna zdjął okulary i włożył je do brązowego skórzanego futerału.

– Nie przypuszczam, by chciał pan zostać członkiem naszego Kościoła, panie komisarzu. Dlatego proponowałbym, abyśmy wykorzystali ten czas na rozmowę o tym, co pana do nas sprowadza.

– Czy miał pan już kiedyś styczność z policją?

– Niestety.

– Czy uznaje pan naszą zwierzchność?

– Tylko jeśli to nie pozostaje w sprzeczności z wolą bożą. Czy mógłbym prosić, żebyśmy przeszli do rzeczy?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Przecież pan wie, o co chodzi. Otrzymaliśmy informację o zniknięciu z obozu jednej z dziewczynek. Chcę to tylko zweryfikować.

– Od nas nikt nie zniknął.

– Ile jest uczestniczek obozu?

– Dwanaście.

– Same dziewczynki?

– Jesteśmy przeciwni niekontrolowanym kontaktom między płciami w młodych latach.

– Rozumiem – rzekł Van Veeteren. – A więc macie tutaj tuzin dziewczynek. W jakim są wieku i jaki jest cel ich pobytu?

Jellinek splótł dłonie przed sobą na stole.

– Od jedenastu do czternastu lat – wyjaśnił. – A naszym celem jest przygotowanie ich do wstąpienia do Czystego Życia.

– Czyli do swego rodzaju confirmacji?

– Można tak powiedzieć.

– Jak długo tu będą?

– Siedem tygodni.

– Wynajmujecie ten ośrodek na całe lato?
– Tak. W sierpniu organizujemy też dwa tygodnie modlitw dla dorosłych. Nasze dziewczynki mają już mniej więcej połowę turnusu za sobą.

– Jest ich dwanaście?

– Tak, dwanaście.

– A czym się zajmujecie?

– Modlitwą, wyrzeczeniami, czystością. To są nasze podstawy, ale nie sądzę, aby był pan zainteresowany tego rodzaju duchowością, panie komisarzu.

Tere-fere. Należałoby raczej zapytać, co to naprawdę znaczy i czy normalna trzynastolatka przejmuje się takimi rzeczami.

– A ile jest osób dorosłych?

– Czwooro. Ja i trzy współpracownice, które pomagają mi w praktycznych sprawach.

– Same kobiety?

– Tak.

Van Veeteren zamyślił się przez chwilę.

– Czy mógłby mi pan dać listę dziewczynek, które teraz tu przebywają?

Jellinek pokręcił głową.

– Dlaczego nie?

– Bo to nie leży w naszym interesie. Ani w interesie uczestniczek i ich rodziców.

– Co pan ma na myśli?

– Mamy za sobą pewne doświadczenia z policją, jak sam już pan nadmienił.

– Zdaje pan sobie sprawę, że mogę pana zmusić?

Jellinek zachował kamienną twarz. Zamilkł na chwilę i przyglądał się swoim splecionym kciukom.

– Oczywiście. Jednak nie zamierzam podać panu tych nazwisk, chyba że użyje pan siły.

– Pan sprzeciwia się prawu.

– Istnieje coś więcej niż prawo, panie komisarzu.

– Gadanie.

Van Veeteren odchylił się do tyłu na krześle i zaczął szukać w kieszeni na piersi wykałaczki. Znalazł jakąś, wyjął ją i na sekundę uniósł dla sprawdzenia pod światło, po czym wsunął ją między przednie zęby na dole. Jellinek obserwował jego poczynania z wyraźnym sceptycyzmem.

– Czyli pan uważa, że powinienem się zadowolić pańskim zapewnieniem?

W brodzie proroka błysnęło coś żółtawego. Niewykluczone, że był to uśmiech.

– Tak, właśnie tak uważam.

– Chciałbym porozmawiać z którąś z dziewczynek. A właściwie z kilkoma.

Jellinek pokiwał w odmownym geście palcem i pokręcił głową.

– Nie pozwalamy im na kontakty dla nich niekorzystne. Zależy nam na tym, aby w tym okresie miały całkowity spokój. To ważne.

– Chce pan powiedzieć, że trzymacie je tu przez siedem tygodni w całkowitej izolacji?

– Pan tego nie zrozumie, komisarzu. W pewnych sytuacjach trzeba chronić sferę duchową. Nie narażać jej na kolce i wstrząsy. Właśnie w tej fazie ich edukacji jest to po prostu nieuchronne.

– Odmawia mi pan możliwości porozmawiania z nimi? Przez dwie minuty?

– Bardzo łatwo jest zburzyć to, co przez długi czas budujemy. Wiem, że to może brzmieć brutalnie, ale musi pan zrozumieć, komisarzu, że moje zamiary są jak najlepsze. My wierzymy w to, co robimy, i trwamy przy naszej religii. Łatwo jest to wyszydzić i wydrwić, jednak mamy do niej ustawowo zagwarantowane prawo... a pan przecież tak dużą wagę przykładają do prawa i praworządności.

Spojrzał na zegarek. Van Veeteren schował wykałaczkę z powrotem do kieszeni. Minęło mniej więcej pięć sekund.

– A ten telefon? – spytał. – Ta nieznajoma kobieta twierdziła, że jedna z dziewczynek została zamordowana. Co pan na to?

– To złe języki. Podłość – odpowiedział Jellinek. – Nie pierwszy raz jesteśmy na nią narażeni, komisarzu. Jak już wspomniałem, mamy za sobą trochę doświadczeń.

Van Veeteren zastanowił się.

– A te kobiety – zaczął. – Mam na myśli pana współpracownice. Jeśli zajmę parę minut którejś z nich, czy to też zburzy pana duchową budowlę?

– Bynajmniej – rzekł Jellinek. – Ale teraz muszę już pana opuścić, bo czas na modlitwę. Jeśli pan chwilę zaczeka, poproszę jedną z pań, aby do pana przysłała.

Wyszedł z pokoju. Van Veeteren zamknął oczy i zacisnął pięści. Po chwili złożył razem dłonie.

O, święta naiwności, pomyślał. Boże, daj mi siłę!

W drodze powrotnej podjął decyzję.

Na razie nie rozpocznie jakiegoś bardziej intensywnego dochodzenia i nie staranuje duchowego wehikułu Jellinka. Ale zostanie w Sorbinowie jeszcze kilka dni.

Może tylko jeden. A może więcej.

Bo coś w tym wszystkim jest. Nie do końca wiadomo co, lecz w całej tej historii – która przypuszczalnie nie jest nawet żadną historią – jest coś, co przypomina mu... no właśnie, co?

Nie wiedział. Podstępna i nieuzasadniona ofiarę ciemnego chłopca? Jakieś monstrum ukryte w głupocie? Dlaczego nie?

A może tylko mu się wydawało? Około dziesięciu minut rozmawiał z kobietą, która wcześniej przyprowadziła go od samochodu. Przedstawiła się jako siostra Madeleine i nie powiedziała mu wiele więcej poza tym, co już usłyszał od Jellinka.

Jedynie to, że ona jest w Czystym Życiu od początku. W odróżnieniu od siostr Ulriche i Mathilde, które dołączyły trochę później.

I że są kolektywem, ale Jellinek jest ich duchowym przywódcą.

Oraz że jej życie zmieniło się jedenaście lat temu i że od tamtej pory żyje w świetle i czystości.

Że trzy siostry dzielą się pracą na obozie i że dziewczynki – wszystkie dwanaście – wciąż jeszcze błądzą w ciemnościach, lecz wstąpiły już na właściwą drogę ku światłu, i że wszystko jest w rękach Boga.

No i Oscara Jellinka.

Dodała jeszcze, że to wszystko są sprawy, których komisarz pewnie

nie jest w stanie pojąć, bo przecież nie został wtajemniczony.

Van Veeteren wypluł przez okno zmaltretowaną wykałaczkę i zaklął siarczyście pod nosem. Próbował zrozumieć, co to za mroczne i nieznanne uczucie przyczaiło się w nim od chwili, kiedy wycofał samochód spomiędzy sosen.

A właściwie już wcześniej. W czasie rozmowy z Jellinkiem. Kiedy tam siedział i czekał, i patrzył, jak grupka dziewczynek w porządnym szeregu wraca znad jeziora. Kiedy przysłuchiwał się wynurzeniom siostry Madeleine.

Stopniowo uświadomił sobie, że to bezsilność.

Czysta, naga bezsilność.

Z wielkim wysiłkiem woli zdławił ją i zapalił papierosa.

W tej zupie jest wiele nieznananych przypraw, stwierdził. Zdecydowanie za dużo. A tak naprawdę nie wiadomo, czy to zupa.

Co za bzdura, chyba przestałem myśleć, stwierdził po kilku sekundach. Jedynie składam słowa. Jak jakiś cholerny celebryta telewizyjny albo ktoś taki.

– Słowo w słowo? – spytał Kluuge i zmarszczył czoło. Komisarz odnotował, że jest to dosyć wysokie czoło, z miejscem na wiele zmarszczek, więc postanowił nie lekceważyć tego, co mogło kryć się w środku.

– Jeśli to możliwe – potwierdził. – Najdokładniej, jak pamiętasz.

– Za pierwszym razem poinformowała tylko, że zniknęła dziewczynka – wyjaśnił Kluuge. – I że musimy coś zrobić. Za drugim razem powiedziała trochę więcej.

– Co?

– Twierdziła, że nic nie zrobiliśmy. I że może wobec tego powinna pójść z tym do gazet, i że oni są gotowi zamordować jeszcze jedną...

– Zamordować?

– Tak.

– Jesteś pewien, że tak powiedziała?

– Na sto procent.

Kluuge kilka razy kiwnął głową, aby wykluczyć jakiegokolwiek wątpliwości.

– Coś jeszcze? – spytał komisarz.

Aspirant zastanowił się.

– Chyba nie.

– Wiek?

– Trudno określić. Między czterdziestką a pięćdziesiątką, ale nie dam sobie uciąć głowy... może starsza. Nie za bardzo umiem oceniać po głosie.

– A jak brzmiała?

– Jak wspomniałem, mówiła dosyć cicho, zwłaszcza za pierwszym razem, ale sprawiała wrażenie bardzo przejętej, jakby była mocno przekonana o tym, o czym opowiada. Dlatego potraktowałem to poważnie i zadzwoniłem do komisarza.

– Hmm. Dowiedziałeś się czegoś więcej o tej sekcji? – spytał Van Veeteren.

Kluuge podrapał się nerwowo w szyję.

– Rozmawiałem z kolegami ze Stambergu... mieli zebrać trochę informacji i nam przefaksować, ale na razie jeszcze nic nie przyszło.

Van Veeteren skinął głową.

– *All right* – rzekł. – Pojadę teraz do hotelu. Jeśli coś się wydarzy, daj mi znać. Tak czy inaczej, zostanę tu kilka dni.

– To dobrze – odparł Kluuge z lekko zażenowaną miną. – Jak już mówiłem, jestem panu bardzo wdzięczny.

– Nie musisz mi wciąż dziękować – rzekł komisarz i wstał z miejsca.

– Mam przecucie, że coś tu śmierdzi, no a poza tym mam do spłacenia pewien dług.

– Rozumiem – powiedział Kluuge.

Kiedy komisarz znalazł się w swoim hotelowym pokoju, dochodziło już wpół do trzeciej po południu i promienie słońca wpadały ukośnie przez otwarte okno. Zaciągnął zasłonki, a potem wziął długi, chłodny prysznic, tym razem nie zwracając sobie głowy zestawieniem kolorów.

Kiedy schłodził się do znośnej temperatury, wyciągnął się na łóżku i zadzwonił na komendę w Maardam. Po chwili usłyszał w słuchawce głos Münstera.

- Jak leci? – spytał Van Veeteren.
- Ale z czym? – rzekł Münster.
- Żebym to ja, cholera, wiedział. Na przykład z tym wariatem od granatu?
- Złapaliśmy go dzisiaj rano. Nie słucha pan komisarz radia?
- Mam tu trochę do roboty – wyjaśnił Van Veeteren.
- Ach tak.
- Wobec tego może dostałbym jakieś wsparcie? – rzucił retoryczne pytanie komisarz. – Skoro chwyciliście tego ptaszka.

Münster kaszlnął nerwowo, komisarz zaś przypomniał sobie o czekającym go urlopie. Opowiedział o swoich ustaleniach, na co tamten obiecał mu zrobić wszystko, co w jego mocy – znaleźć jak najwięcej przydatnych informacji na temat Czystego Życia i bezzwłocznie prze-faksować je do hotelu Grimm's w Sorbinowie.

- Im szybciej, tym lepiej – dodał Van Veeteren i odłożył słuchawkę. Nie zaszkodzi zarzucić kilka wędek, pomyślał i zaczął się ubierać.

Na wypadek gdyby Kluuge trafił na kogoś mało skutecznego albo coś w tym rodzaju.

Kwadrans później siedział znowu w samochodzie, wyposażony w nową paczkę papierosów i kilka fug. Nie miał jakiegoś konkretnego celu podróży – chyba że uznać za taki godzinną powolną jazdę wokół jezior i przez pachnące lasy.

I przy akompaniamencie nieskończonych a logicznych wariacji Ba-cha.

Wrócił o godzinie piątej. Znowu wziął prysznic, a zanim wyruszył z hotelu, aby znaleźć jakieś sensowne miejsce na zjedzenie kolacji, spytał w recepcji, czy nie ma dla niego żadnych wiadomości.

Nie było.

Nic od Kluugego.

Nic od Münstera.

No tak, pomyślał. Każdy dzień przynosi nowe zmartwienia.

Kiedy szedł do centrum miejscowości, zastanawiał się, co, u diabła, tak naprawdę miał na myśli.

Mimo zmasowanego napływu wczasowiczów – Van Veeteren przypuszczał, że w tym okresie przebywało tu dwa razy więcej ludzi niż w miesiącach zimowych – Sorbinowo miało jednak swoje ograniczenia. Liczba przyzwoitych lokali (zaliczał do nich wszystkie miejsca, w których można usiąść przy stoliku i coś zjeść, nie będąc zmuszonym do słuchania elektronicznej muzyki o mniej lub bardziej nieznośnej głośności) wynosiła dokładnie pięć. Włącznie z Florian's, gdzie był na obiedzie z Kluugem, i hotelem, w którym mieszkał.

Drugiego wieczoru komisarz wybrał lokal numer cztery ze swojej listy: prostą, quasi-włoską knajpkę w jednym z zaułków, który prowadził od Kleinmarckt do kościoła i dalej do dworca. Makaron trochę się kleił, a piwo, jak się potem okazało, było letnie, ale w środku panowały spokój i cisza i człowiek mógł bez problemu skupić się na własnych myślach.

Które wydawały się nieco obce, temu nie dało się zaprzeczyć.

Modlitwa? – pomyślał.

Wyrzeczenie? Czystość?

Zastanawiał się nad tym już w samochodzie, słuchając fug.

I od razu powrócił obraz niemych dziewczęcych postaci na brzegu jeziora. I błądych kobiet w lnianych szatach.

O co, u diabła, w tym wszystkim chodzi?

Bez wątplenia uzasadnione pytanie. Wewnętrzny głos – całkiem mocny – uporczywie wzywał go do zrobienia porządku. Mówił mu, żeby nie czekał ani sekundy, tylko wrócił do Waldingen – najlepiej w towarzystwie umundurowanego Kluugego – rozprawić się z tamtymi ludźmi.

Wziąć do galopu Oscara Jellinka i rozbić tę jego przekłętą obłudną pobożność drewnianym młotkiem. Dowiedzieć się, jak nazywa się każda dziewczynka, a potem odesłać je do domu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Mocny głos.

Ale było coś jeszcze. Pociągnął łyk piwa i próbował dokładniej określić, co oprócz tego nie dawało mu spokoju.

Chodziło chyba o prawa i wolność.

O prawo do praktykowania w spokoju i bez niczyjej ingerencji własnej religii. Bez policji węszącej po wszystkich kątach i bez obawy o jej pojawienie się, gdy tylko coś nie mieści się w przyjętych konformistycznych ramach.

O to, żeby bronić, a przynajmniej nie niszczyć mniejszości.

Tak, zdaje się, że mniej więcej o to chodziło, na pewno.

Mimo intuicyjnej niechęci do Jellinka nie mógł nie przyznać mu racji. Bo jakie on ma prawo do tego – on, niewierzący – aby osądzać tych przyniesionych tu przez wiatr sekciarzy?

Dwa anonimowe telefony. Zaginiona dziewczynka? To miał być wystarczający powód?

Ktoś nie bez racji mógł twierdzić, że należałoby stać na mocniejszym gruncie, mieć lepsze oparcie pod stopami.

Kelnerka o pszeniczo jasnych włosach przyniosła mu kawę i koniak. Zapalił papierosa.

Nie mówiąc już o wysiłku!

Pociągnął mały łyk koniaku. Być może właśnie to najbardziej go powstrzymywało. Wysiłek. Na drugim końcu skali znajdowały się wygoda i upał – bo jeśli rzeczywiście zdecyduje się działać, to bardzo prawdopodobne, że wtedy Jellinek i jego kobieca trojka przerzucą na niego wszelkie konsekwencje. I zmuszą go, żeby przejął odpowiedzialność za całą tę gromadkę uczestniczek obozu i zadbał o to, aby każda z osobna bezpiecznie trafiła do domu.

Na dodatek raczej niewiele przemawiało za tym, by rodzice owych dzieci byli zdecydowanie przychylniej nastawieni do władz policyjnych niż do ich duchowego przywódcy. W końcu to oni sami posłali swoje pociechy na ten obóz i niezależnie od tego, czy nie mają o niczym pojęcia, czy mają, trudno się spodziewać, by po prostu tylko stali i uprzejmie dziękowali, odbierając swoje na wpół przygotowane do confirmacji córki trzy tygodnie przed czasem. To chyba każdy mógł sobie wyobrazić. Nawet Kluuge. Nawet agnostyczny komisarz policji

kryminalnej, który zbliżał się już do kresu.

Szlag by to trafił, podsumował Van Veeteren w duchu i poprosił o rachunek. Siedzę tu jak jakiś niezdecydowany osioł i łamię sobie głowę.

Nad przypadkiem, którego nie ma!

Przynajmniej wiele na to wskazuje, pomyślał jeszcze. To pewnie wszystko przez tę pogodę.

I mój zawansowany wiek i coraz większą ocieężałość.

Zapłacił i opuścił El Pino. Przyszło mu do głowy, że może porządny kieliszek wina trochę rozjaśni mu współrzędne. Oczywiście białego, przy tych temperaturach. Dochodziło wpół do dziewiątej i nad Klein-marckt po całym dniu wciąż wisało rozgrzane powietrze. W zapadającym zmierzchu spacerowali jeszcze pojedynczy turyści (albo i miejscowi).

Może mersault? Albo tylko kieliszek zwykłego rieslinga? Pewnie łatwiej będzie go dostać.

Czuł, jak już poprawia mu się humor.

W końcu znalazł się tu tylko dlatego, że chciał jakoś przeczekać do wyjazdu na Krete. Hotel Christos, źródło młodości i tamte kasztanowe włosy.

I to wszystko.

Kino nazywało się Rymont i już samo istnienie takiej instytucji w Sorbinowie wydawało się równie zaskakujące, jak jego repertuar. Najwyraźniej w czasie wakacji odbywało się coś, czemu można by nadać nazwę Festiwal Dobrych Filmów, toteż kiedy Van Veeteren odkrył, że dosłownie za dwie minuty rozpocznie się seans *Chaosu* braci Tavianich, ani chwili się nie zastanawiał.

Wszedł do sali w momencie, gdy zaczynało przygasać światło, ale zdążył jeszcze rzucić okiem na resztę wieczornej publiczności. Składała się z pięciu osób, swobodnie rozsianych w ostatnich rzędach – czterech mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy byli już trochę posunięci w latach, ale o szlachetnym, dystyngowanym wyrazie twarzy, jaki zwykle obserwuje się u prawdziwych kinomanów, co z zadowoleniem stwierdził Van Veeteren.

Westchnąwszy z ulgą, zajął miejsce parę rzędów bliżej ekranu. Ulgą była tym większa, gdy okazało się, że nie puszczono ani cala reklamy i że dokładnie o podanej godzinie zaczął się film.

Czyli trafiają się jeszcze ziarenka jakości na tym świecie, pomyślał. Nawet takiej ślepej kurze jak ja.

Po seansie żadnemu z widzów nie spieszyło się szczególnie, aby opuścić widownię. Dwóch z mężczyzn od razu zaczęło z wyjątkowym ożywieniem rozmawiać o filmie. Dokonywali porównań z tekstami Pirandella i z innymi obrazami włoskich braci, toteż Van Veeteren szybko się zorientował, że nie znalazł się w byle jakim towarzystwie. Kiedy wstał z fotela, podszedł do niego inny widz: niewysoki, nieco posiwiały mężczyzna o pulsującej energią aurze wokół siebie.

– Nowa twarz w naszym kręgu. Moje uszanowanie.

Wyciągnął rękę, a Van Veeteren ją uścisnął.

– Przebuda. Andrej Przebuda. Prezes koła filmowego w Sorbinowie.

– Van Veeteren. Jestem tu z wizytą, właściwie przypadkiem...

Komisarz szukał w pamięci.

– Życie jest szeregiem przypadków.

– Naturalnie – potwierdził komisarz. – Niewątpliwie, hmm... to miło widzieć, że sztuka filmowa żyje także poza wielkimi metropoliami.

– Cóż – rzekł Przebuda – staramy się, ale jak pan widzi, nie jest nas tu wielu...

Wskazał gestem na pozostałych.

– ... no i nie jesteśmy też najmłodszy.

Uśmiechnął się szeroko i niemal przepraszająco pogłaskał się po swej prawie łysej czaszce.

– Andrej Przebuda? – przypomniało się wreszcie komisarzowi.

– Tak.

– Chyba mamy wspólnego znajomego.

– Doprawdy? Któż to taki?

– W.F. Mahler.

– Ten poeta?

Van Veeteren potaknął.

– On twierdzi, że pan rozumie jego wiersze.

Przebuda roześmiał się i z entuzjazmem pokiwał głową. Musiał być już po siedemdziesiątce, ocenił komisarz. Lecz żar w jego ciemnych oczach wydawał się ponadczasowy i dwudziestoletni, a kiedy Van Veeteren przyjrzał mu się bliżej, stwierdził, że jego twarz ma lekko żydowskie rysy. Zrozumiał – albo przynajmniej wyczuł – że ma przed sobą jednego z tych niezwykłych ludzi, którzy szlachetnieją przez cierpienie. Którzy przeszli przez ogień i zamiast się złamać, tylko się zahartowali.

Choć oczywiście mógł coś takiego jedynie przypuszczać. To była spekulacja, która rozgorzała na krótko i wymagała potwierdzenia.

– Piekielnie dobry poeta z tego Mahlera – odezwał się Przebuda. – Ma wyśmienity smak i jest klarowny jak woda w górskim jeziorze. Wydaje mi się, że recenzowałem każdy jego zbiorek, od samego początku. Jak to możliwe, że...

Van Veeteren mógł opuścić kino Rymont dopiero po kolejnych dziesięciu minutach, i to pod warunkiem że przyjmie gorące zaproszenie Andreja Przebudy na dłuższe spotkanie w któryś z następnych dni; albo w redakcji gazety, albo u niego w domu w tej samej dzielnicy.

Jeśli to prawda, że komisarz przybył do Sorbinowa służbowo, a nie jako turysta, nie jest wykluczone – przy całej skromności – że on, Andrej Przebuda, będzie mógł mu służyć taką czy inną informacją.

Pod warunkiem, że okaże się to konieczne. W końcu on mieszka tu już od czterdziestu pięciu lat.

A jak nie, to przecież zawsze mogą porozmawiać sobie o filmie i poezji.

Właściwie dlaczego nie? – pomyślał Van Veeteren, kiedy już pożegnał się i z Przebudą, i z pozostałymi członkami koła filmowego w Sorbinowie. Takie spotkanie może okazać się cenne zarówno pod jednym, jak i pod drugim względem.

Ogólnie rzecz biorąc, nie był to zmarnowany wieczór, stwierdził, zmierzając w stronę hotelu, ale potem, kiedy już leżał w łóżku, jego świadomość opanowały obrazy z przedpołudnia. I nie pozwoliły mu zasnąć przez długie godziny.

Młode, nagie dziewczęce ciała.
Blade kobiety.
Broda proroka.

Informacje dotyczące Oscara Jellinka i jego działalności dotarły w niedzielny poranek. Zarówno od Münstera, jak i ze Stambergu. Po solidnym śniadaniu w hotelowym pokoju przy lekturze dwóch lokalnych gazet Van Veeteren poświęcił godzinę przed południem na studiowanie tych materiałów w miejscowym komisariacie.

Jednocześnie zastanawiał się, co zrobić w następnej kolejności.

Jeśli w ogóle jakikolwiek dalszy ciąg miałby tu sens. Kluugego wysłał do domu, żeby zajął się swą ciężarną żoną, która podobno minionej nocy nie czuła się najlepiej.

Komisarz oblewał się potem. Słońce właśnie wyszło zza rogu i zaczęło stopniowo nagrzewać pokój komendanta Malijsena tak niemiłosiernie, że jeszcze chwila, a przebywanie w nim stanie się tak niestrawne jak suszona morela. Nie było zmiłowania, mimo żaluzji i zasłon.

Czy Czyste Życie jest bardziej strawną historią, co do tego zdania mogły być podzielone.

Oscar Jellinek urodził się w 1942 roku w Groenstadt. Studiował teologię i w 1971 w Aarlach zdał egzamin na księdza. Działał jako duszpasterz i kaznodzieja pomocniczy w wielu miejscach, aż wreszcie w sierpniu 1984 porzucił Kościół i stworzył wspólnotę Czyste Życie. Z główną siedzibą w Stambergu, gdzie od początku lat osiemdziesiątych mieszkał i działał.

W pierwszych latach Czyste Życie prowadziło właściwie anonimową egzystencję, tak wynikało z materiałów. W gruncie rzeczy niewiele dało się powiedzieć na jego temat; liczba członków (nie istniały żadne wiarygodne dane) nie przekraczała trzydziestu duszyczek; w większości były to kobiety, co również później pozostało cechą charakterystyczną ruchu. Spotkania i nabożeństwa odbywały się w wielu rozmaitych lokalach, które często wynajmowano tylko na tydzień albo wręcz na jedno zgromadzenie.

Stopniowo jednak ruch przyjął bardziej populistyczny charakter. Razem z dawnym kolegą ze studiów, Wernerem Wassermannem (który później opuścił sektę po wewnętrznym rozłamie), Jellinek zaczął organizować otwarte spotkania w miejscach publicznych i występował przy mniej lub bardziej oficjalnych okazjach.

Przesłanie było proste, ton sugestywny:

Porzućcie grzeszny, materialistyczny świat! Chodźcie do nas! Żyćcie w czystości i harmonii z jedynym Bogiem!

Liczba członków rosła, napływały pieniądze i w 1988 roku Czyste Życie miało już swój pierwszy budynek kościelny. Później go rozbudowano, aby pomieścić w nim między innymi własną działalność edukacyjną, która z czasem nabrała takiego rozmachu, że obejmowała – zgodnie z powszechnym systemem oświaty – siedem klas szkolnych.

Od samego początku krążyły plotki o osobie Jellinka, na jego temat pojawiały się też artykuły w gazetach i toczyły dyskusje w lokalnym radiu. Wachlarz zarzutów był szeroki: od prania mózgow i faszyzmu po pogardę dla kobiet i seksizm, a w grudniu 1989 roku matka siedemnastoletniej dziewczyny, która wystąpiła z sekty, oskarżyła Jellinka o nierząd i molestowanie seksualne.

Przypadek ten wzbudził ogromne zainteresowanie i był niewątpliwie doskonałą pożywką dla mediów. Mówienie językami. Przymusowe umartwianie się. Ogromne zgromadzenia, podczas których wszyscy uczestnicy byli nadzy, a Jellinek kolektywnie wypędzał z nich diabła. Chłostanie dziewcząt po gołych pośladkach. I jeszcze kilka innych posunięć o silnym podtekście seksualnym. Czyste Życie przedstawiano w gazetach raz jako sektę seksualną, raz jako związek wyznawców szatana, aż w końcu cała historia skończyła się tym, że Jellinek został skazany na sześć miesięcy więzienia za molestowanie i lekki nierząd.

Lekki nierząd? – pomyślał komisarz, wachlując się starą gazetą. Czy istnieje taka kwalifikacja prawna? On w każdym razie nie przypomniał sobie, aby wcześniej zetknął się z czymś takim.

W związku z wyrokiem i zniknięciem Jellinka za kratkami paradoksalnie odnotowano wyraźny zwrot w postawie opinii publicznej, tak przynajmniej wynikało z materiałów Münstera. Uwięziony ksiądz stał się męczennikiem, a Czyste Życie zdawało się częściowo uwalniać –

przynajmniej na razie – od złej sławy. W oczekiwaniu na powrót swego przywódcy większość członków sekty przeszła do podziemia, ale ona sama się nie rozwiązała i tylko nieliczni postanowili opuścić wspólnotę.

Po półrocznej diasporze pasterz wrócił w końcu do swej trzody i, o ile wiadomo, podjęta na nowo działalność prowadzona była w gruncie rzeczy według tych samych wzorów co wcześniej. Nie dało się raczej zauważyć żadnych innowacji, co najwyżej jeszcze bardziej widoczne odsunięcie się od społeczeństwa i życia publicznego – wyraźnym i jasnym celem było odcięcie się i niedawanie do siebie dostępu nikomu, ani dziennikarzom, ani innym. Liczba członków rosła co prawda powoli, lecz niepowstrzymanie, w połowie lat dziewięćdziesiątych wynosiła podobno tysiąc osób. Pozycja Oscara Jellinka jako wyłącznego duchowego przywódcy chyba nigdy nie była tak silna jak wtedy.

Jeśli chodzi o stosunek innych organizacji wyznaniowych do Czystego Życia, był on w stu procentach krytyczny; w naukach Jellinka nigdy nie było miejsca na zainteresowanie prawdziwą wspólnotą czy kwestiami ekumenicznymi, a poważni obserwatorzy oceniali sektę jako dosyć chaotyczne i w sumie bardzo wątpliwe przedsięwzięcie.

Wśród informacji Kluugego otrzymanych z policji w Stambiegu znajdowało się też kilka sugestii dotyczących tak zwanego syndromu odszczepieńczego, mówiących o tym, że dawni członkowie sekty po odejściu z niej bywali na różne sposoby szykanowani. Zjawisko jako takie nie było niczym nietypowym w podobnych okolicznościach, ale jeśli chodzi o Czyste Życie, wszystko sprowadzało się głównie do plotek i pojedynczych wzmianek w lokalnej prasie. W żadnym wypadku nie doszło do złożenia zawiadomienia na policji czy do jakiegokolwiek formy ingerencji władz.

Nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, że nie brakowało krytycznych głosów na temat Oscara Jellinka i jego wspólnoty. Powszechna opinia była mimo wszystko taka, że jest to dosyć nieszkodliwa grupa – skupisko zagubionych marzycieli, których ostatecznie można tolerować, dopóki nie przeszkadzają normalnym, porządnym obywatelom w spokojnym życiu.

I do czego się najwyraźniej stosowano od chwili wyjścia Jellinka z więzienia. Nie było żadnych publicznych zgromadzeń. Żadnych ogłoszeń w gazetach czy gdziekolwiek indziej. Żadnej działalności misyjnej. Ewentualna świeża rekrutacja odbywała się prawdopodobnie wewnątrz, w ramach ukrytej sieci kontaktów.

Nikt nie był w stanie stwierdzić, że dysponuje jakimiś bliższymi i wiarygodnymi informacjami o poczynaniach Czystego Życia i jego ideach.

Ani informatorzy Münstera, ani Kluugego.

Tak się zatem rzecz miała. Van Veeteren odsunął na bok papiery i wytarł sobie czoło. Rozejrzał się za czymś nadającym się do picia, ale komendant Malijsen wyraźnie nie miał w zwyczaju częstować swoich rzadkich gości czymkolwiek. Albo też zamknął wszystko w jakimś bezpiecznym miejscu, niedostępnym dla swego zastępcy i innych potencjalnych pieczeniarzy.

– Boi się własnego cienia – mruknął komisarz.

Czy miał na myśli Jellinka, czy Malijsena, trudno powiedzieć. Prawdopodobnie obu. Westchnął. Podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer Kluugego, ale zrezygnował. Lepiej niech poświęci swoje siły rodzinie, postanowił.

Poza tym może lepiej wykorzystać okazję i na tarasie hotelu przy zimnym piwie przedyskutować z samym sobą dalsze kroki.

O ile w ogóle dalsze kroki będą konieczne.

W razie czego – przy dwóch piwach. W taki dzień jak ten zacieniony hotelowy taras nie był złym pomysłem. Van Veeteren uświadomił to sobie już rano, kiedy przechodził obok niego w drodze na komisariat. Całkiem dobre miejsce.

Wstał z krzesła. Czystość? – przeszło mu przez głowę chyba z pięćdziesiąty raz, od kiedy pożegnał się z Jellinkiem w Waldingen. Również tego popołudnia to słowo nie budziło w nim żadnych dobrych skojarzeń.

Chyba zbyt długo grzebałem się w brudach, uznał komisarz Van Veeteren.

Dwaj mężczyźni wycinali zarośla ze skraju drogi. Komisarz zahamo-

wał i wysiadł z samochodu.

– Dzień dobry. Gorąco dzisiaj, co?

Starszy z nich wyłączył motorową piłę i dał znak ręką drugiemu, aby zrobił to samo.

– Gorąco dzisiaj – powtórzył komisarz, ponieważ zorientował się, że ci dwaj nie byli w stanie usłyszeć jego pierwszego pozdrowienia.

– Można tak powiedzieć – odparł mężczyzna i odłożył piłę.

– Nazywam się Van Veeteren. Jestem z policji kryminalnej. Czy mógłbym zadać panom kilka pytań?

– Proszę? Tak... jasne.

Starszy wyprostował się i machnął do młodszego, by podszedł bliżej.

– Mathias Fingher. A to mój syn, Wim.

Obaj podali komisarzowi ręce, wytarłszy je najpierw o spodnie.

– A co chodzi?

Van Veeteren odchrząknął.

– Hm. O Czyste Życie.

Jeśli nawet ojciec i syn byli zaskoczeni, to nie dali tego po sobie poznać.

– Aha.

– Czy macie z nimi jakiś kontakt? Jesteście jakby ich najbliższymi sąsiadami.

– Hm – bąknął Mathias Fingher, zsuwając do tyłu czapkę z daszkiem. – Co pan ma na myśli?

Najwyraźniej on był tym, który został wyznaczony do prowadzenia konwersacji. Syn wyczekująco trzymał się kilka kroków dalej, żuł gumę i przyglądał się komisarzowi.

– Spotykacie czasami kogoś od nich?

Fingher potaknął.

– No jasne. Kupują u nas kartofle i mleko. A co jakiś czas jajka, marchew i inne warzywa. Co wieczór po to przychodzą.

Aha, pomyślał Van Veeteren. Wreszcie jakiś bliższy kontakt.

– I kto przychodzi po te rzeczy?

– Różnie.

– To znaczy?

– Za każdym razem czwórka. No i ten Jellinek.

– Każdego wieczoru cztery dziewczynki?

– I Jellinek. A te małe się zmieniają.

Van Veeteren zastanowił się chwilę.

– Rozmawia pan z nimi czasem?

– Nie, nie, raczej nie. A dlaczego pan o to wszystko pyta?

Komisarz przyłożył sobie palec do ust, co chyba wystarczyło jako wyjaśnienie. Jak zawsze. Może wynikało to z szacunku dla przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, ale za każdym razem ludzie rzeczywiście zdawali się akceptować tę poufność jako coś niepodważalnego. Van Veeteren poczynił to spostrzeżenie już wiele razy.

Głupota rozwija się najlepiej w ciemności, zwykł mawiać Reinhart.

– A z tymi dziewczynkami też w ogóle nie rozmawiacie?

Fingher zadumał się, a potem pokręcił głową.

– Nie, one... one zawsze trzymają się tak jakby z tyłu.

– Z tyłu?

– Tak, za każdym razem stoją i czekają przy furtce, a Jellinek zabiera, co im potrzebne. Te małe są bardzo ciche, takie...

– No?

– Sam nie wiem. Ale czasami człowiek się zastanawia, czym oni się tam tak naprawdę zajmują.

– To znaczy?

– Nie żebym chciał rozpowiadać jakieś plotki. Ale w końcu ludzie mają prawo mówić, co myślą. A oni za każdym razem płacą jak się należy, czego nie można powiedzieć o niektórych innych.

Van Veeteren skinął głową, zastanawiając się jednocześnie, jakich innych mógł mieć na myśli.

– A pan sam co o tym sądzi? W końcu krążą różne rzeczy o nich... – spróbował na chybił trafił.

Fingher podrapał się po karku i niechcący stracił sobie czapkę z głowy. Podniósł ją i wetknął do tylnej kieszeni.

– Nie mam pojęcia. W każdym razie ja nie oddałbym im swoich dzieci. Ale mnie nic złego nie robią. Już powiedziałem.

– A Oscar Jellinek?

Nagle Fingher zaczął wyglądać na zakłopotanego.

– Ja nic nie wiem. Nic zupełnie.

– Pewnie słyszał pan, co inni o nim mówią?

Było wyraźnie widać, że mężczyzna, mając na względzie własne interesy, nie bardzo wie, jak się zachować.

– No więc – zdecydował się jednak – mówią, że on żyje z tymi swoimi trzema kobietami, no.

Aha, sprawa zaczyna powoli nabierać kształtów, pomyślał komisarz.

– No właśnie – powiedział. – A co z tymi dziewczynkami?

Fingher wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ale kąpią się nago i też robią takie rzeczy...

– Tak?

– Tylko tak słyszałem. Ja nic nie wiem... najlepiej zostawić ich w spokoju i zająć się własnymi sprawami.

Pewnie tak, uznał Van Veeteren, jednak skoro już odbyłem tę drogę aż tutaj...

– Ile ich tam jest? – spytał.

Fingher zdawał się liczyć w myśli.

– Nie wiem dokładnie – rzekł. – Chyba jakoś tak od dziesięciu do piętnastu. Tak naprawdę nie wiem.

– Chodzi pan czasami do Waldingen?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Rzadko. Jeśli czasami potrzebują przy czymś pomocy. Parę tygodni temu był jakiś problem z pompą, więc poszliśmy tam na dwa popołudnia. Ale tak to oni przychodzą do nas.

Van Veeteren wyjął paczkę papierosów i wyciągnął ją w stronę ojca i syna, lecz jeden i drugi odmówili ruchem głowy. Zastanowił się, czy on sam ma zapalić, jednak po chwili zdecydował się na wykałaczkę.

– Jak często rodzice przyjeżdżają odwiedzić swoje dzieci?

– Nigdy – odparł Fingher. – Ani razu nie widziałem tam nikogo dorosłego... oprócz tego Jellinka i trzech kobiet. Ale jak już mówiłem, nam nie zawadzają. A czy oni coś przeszkrobali?

Van Veeteren nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy ma dalej zadawać pytania na chybił trafił, czy rozsądniej zachować je na później. Jeśli okaże się to konieczne.

– Możliwe, że jeszcze wrócę – oznajmił w końcu. – Dziękuję za rozmowę, panie Finger.

Ojciec z synem skinęli głowami, wyjąwszy ręce z kieszeni. Van Veteren wsiadł do samochodu i ruszył dalej wąską drogą przez las. Kiedy dotarł do pierwszego zakrętu, znowu usłyszał warkot motorowej piły.

A niech to szlag, pomyślał. Ze wszystkimi trzema?

Że też on sam od razu na to nie wpadł?

Jego świat wyobraźni seksualnej z biegiem lat trochę się skurczył. Jednak czy co innego byłoby bardziej naturalne? – spytał sam siebie z przygnębiającą szczerością.

Nie, dosyć już tego fantazjowania! Pora na jaskinię lwa.

A może to raczej kryjówka węża?

Co jak co, ale kreatywności w sformułowaniach na razie jeszcze mi nie brakuje, stwierdził, gdy skręcił między te same dwie sosny co poprzednim razem. Zawsze to jakieś pocieszenie. Jeśli nic nie wyjdzie z Krantzem, może zacznie pisać pamiętniki. Najważniejsze, że jest jakiś alternatywny ruch... niezależnie od tego, czy będzie miał przed sobą królową, czy podstępного gońca.

Alternatywny ruch?

Właśnie zbliżała się do niego jakaś wyblakła lniana szmata, więc postarał się sprowadzić swój metaforyczny język do poziomu zerowego.

Na wysłużonym nocnym stoliku było dosyć miejsca na wszystko, co niezbędne. Dwie butelki piwa, razowy chleb, nieduży plastikowy pojemnik marynowanych ząbków czosnku oraz kilka średnich plasterków pasztetu z dziczyzny. Wszystko to znalazł u Kemmelmann & Synowie, w niewielkim sklepiku zaledwie pięćdziesiąt metrów od hotelu. Kiedy stwierdził, że wypróbował już wszystkie jadłodajnie w mieście, poddał się... Wieczór we własnym hotelowym pokoju nie był wcale złym pomysłem. Już dawno nie jadł marynowanego czosnku, a przecież nic nie stało na przeszkodzie, aby później jeszcze wyszedł gdzieś na kieliszek wina czy szklanę piwa.

Oczywiście po zakończeniu pracy.

Zadowolony z tego treściwego toku myślenia rozsiadł się wygodnie na łóżku i włożył do ust odrobinę czosnku. Uzupelniał go kawałkiem chleba, kęsem pasztetu i porządnym łykiem piwa, a potem włączył magnetofon i zaczął przesłuchiwać efekty swoich wysiłków dzisiejszego popołudnia.

Jako pierwszy był Jellinek.

VV: Pana nazwisko proszę.

OJ: Oscar Jellinek, rzecz jasna. Dlaczego jest pan nagle taki formalny?

VV: Proszę mówić trochę głośniej, panie Jellinek. Im bardziej mętna treść, tym ważniejsza forma. Wydawało mi się, że co do tego się zgadzamy.

OJ: Słowa, panie komisarzu. Żyje pan w świecie pustych słów.

VV: Głupie gadanie. Moje warunki są proste. Chcę dostać listę z nazwiskami, adresami i numerami telefonów wszystkich uczestników obozu. Chcę porozmawiać z pana pomocnikami i dwiema z dziewczynkami. Jeśli nie znajdę nic podejrzanego, obiecuję zostawić pana w spokoju.

(Pięciosekundowa cisza)

VV: Czy mógłby pan potwierdzić, że zrozumiał pan warunki, panie Jellinek? Chyba nie zamierza się pan zachowywać dalej jak uparty osioł?

(Skąd mi się to bierze? – pomyślał Van Veeteren ubawiony i sięgnął po kolejny kawałek pasztetu).

OJ: Pan, komisarzu, jest narzędziem władzy, a nie sprawiedliwości. To pan trzyma miecz w dłoni, a nie ja. Ale pewnego dnia i pan...

VV: Dziękuję, wystarczy. Proszę prawić kazania swoim owieczkom. Najpierw chcę zadać panu parę pytań... jako osobie odpowiedzialnej za obóz w Waldingen i jako duchowemu przywódcy Czystego Życia. Czy to prawda, że utrzymuje pan stosunki seksualne ze wszystkimi trzema swoimi współpracownikami?

(Brak odpowiedzi)

VV: Czy chce pan, abym powtórzył pytanie?

OJ: Powinien się pan wstydzić. Lepiej będzie, jeśli się pan stąd zabierze. Pan nie ma najmniejszego pojęcia, o czym...

VV: Czy tego rodzaju postępowanie byłoby zgodne z głoszonym przez pana Kościół pojęciem moralności i rolą kobiety?

OJ: Reprezentuje pan zepsute i dekadencckie społeczeństwo, panie komisarzu. Proszę pozwolić mi powiedzieć swoje zdanie. Jeśli szuka pan wskazówek i drogowskazów wiodących do innego sposobu życia, może pan napisać do naszej wspólnoty w Stambergu, a pana pismo zostanie rozpatrzone jak każde inne.

VV: Coś takiego nigdy nie przyszłoby mi do głowy.

OJ: Nie nalegam.

VV: Wiele osób uważa pana za szarlatana, panie Jellinek.

OJ: Istnieje różnica między liczbą wielu a liczbą sprawiedliwych. To głos Boga mnie prowadzi, nic innego. Jeśli chce mnie pan dalej znieważać, jestem do usług, w przeciwnym razie czekają na mnie obowiązki.

VV: Ile dziewczynek uczestniczy w obozie?

OJ: Dwanaście, już mówiłem.

VV: A ile było od początku?

OJ: Dwanaście.

VV: Dziękuję. Uważam, że pan kłamie, ale to pana sprawa. Chciałbym pana teraz prosić, aby wrócił pan do swoich obowiązków i przysłał do mnie po kolei swoje współpracownice.

OJ: Moje sumienie jest czyste, panie komisarzu. Ale pańskie będzie pana prześladować. Niech pan uwierzy moim słowom.

VV: Puste gadanie. Aha, jeszcze jedno. Czy w związku z oskarżeniem przeciw panu w 1990 roku poddano pana swego rodzaju badaniu poczytalności?

OJ: Oczywiście, że nie.

VV: Przepraszam pana, jasne, przecież w przeciwnym razie nie siedzielibyśmy teraz tutaj.

OJ: Przekracza pan swoje kompetencje, panie komisarzu.

VV: Słucham wewnętrznego głosu, który mną kieruje.

OJ: Proszę pamiętać, że pana ostrzegałem.

VV: Niech pan już idzie. Ale niech pan przyśle tutaj te kobiety, z którymi chcę porozmawiać.

OJ: W dzień Sądu Ostatecznego...

VV: Dziękuję, na razie to wystarczy.

Komisarz wyłączył magnetofon i wziął dwa kolejne ząbki czosnku z pasztetem. Popił piwem, które najpierw powoli i starannie rozprowadził w ustach; chciał się pozbyć nieprzyjemnego smaku po Oscarze Jellinku. Przewinął taśmę kawałek do przodu i znowu nacisnął klawisz play.

VV: Pani nazwisko?

UF: Ulriche Fischer.

VV: Wiek, miejsce zamieszkania i zawód?

UF: Czterdzieści jeden lat. Mieszkam w Stambergu, a pracuję w Kościele Czyste Życie.

VV: Czym się pani w nim zajmuje?

UF: Różnymi rzeczami, głównie sprawami praktycznymi.

VV: Czy jest pani zameżna?

UF: Nie.

VV: Jakie obowiązki ma pani tutaj, na obozie?

UF: Dzielimy się pracą. Gotujemy, zmywamy, pierzemy i sprzątamy...
po prostu pomagamy Jellinkowi.

VV: Czy bierze pani udział w nauczaniu dziewczynek?

UF: Tak, zdarza się.

VV: W jaki sposób?

UF: Nie zamierzam z panem rozmawiać o takich sprawach.

VV: Dlaczego?

(Pięciosekundowa cisza)

VV: Czy Jellinek pani zabronił?

(Cisza)

VV: Jak długo jest pani w tej sekcie?

UF: Jestem w Czystym Życiu od 1987 roku.

VV: Czy utrzymuje pani kontakty seksualne z Jellinkiem?

(Cisza)

VV: Jeśli nadal będzie pani odmawiać odpowiedzi na moje pytania,
zabiorę panią stąd i poddam innej formie przesłuchania.

UF: To pana wybór, panie komisarzu.

VV: Czy to prawda, że zajmujecie się wypędzaniem szatana?

UF: To pan to powiedział, nie ja.

VV: Co, do cholery, ma pani na myśli?

UF: Byłabym wdzięczna, gdyby mógł pan powstrzymać się od przekli-
niania w mojej obecności.

VV: Sześć lat temu Jellinek został skazany za uprawianie nierządu
i molestowanie seksualne. Co pani ma do powiedzenia na ten te-
mat?

UF: To był niesprawiedliwy wyrok. Ale istnieje wyższa instancja.

VV: Czy mogłaby mi pani wyjaśnić waszą zasadę czystości?

UF: Nie sędzę, aby był pan wrażliwy na tego rodzaju nauki.

VV: A te małe dziewczynki są wrażliwe?

(Cisza)

VV: Czy to nie jest tak, że idee Jellinka są tak infantylne, że najlepiej nadają się dla dzieci i chorych umysłowo?

UF: Jest pan bezczelny. Spodziewałam się bardziej poprawnego zachowania.

VV: Proszę mnie teraz posłuchać. Wasza wspólnota opiera się na trzech zasadach: modlitwie, wyrzeczeniu i czystości. Proszę, żeby pani mi wyjaśniła jedną z nich, a pani woli milczeć. Więc co, do cholery, mam o tym myśleć?

UF: Może pan sobie myśleć, co pan chce. To sprawa każdego człowieka, jaki ma stosunek do wielkich pytań i co robi ze swoim życiem.

Komisarz wyciągnął rękę i wyłączył magnetofon.

Dlaczego tak szybko tracę zimną krew? – zadał sobie pytanie.

Czy to tylko kwestia upału i zmęczenia? Znowu przewinął taśmę do przodu; pozostała część rozmowy z Ulriche Fischer przebiegła pod znakiem wzajemnego braku zaufania, o czym dobrze wiedział, i nie wynikało z niej nic, co potwierdzałoby tezę o zniknięciu jednej z dziewczynek.

Dopiero po chwili znalazł właściwe miejsce na taśmie. Ale nim przystąpił do dalszego odsłuchiwania, zakończył swój prosty posiłek i zapalił papierosa. Poprawił poduszki i oparł się wygodnie, aby móc się lepiej skupić na rozmowie z Mathilde Ubrecht. Ta była nieco bardziej treściwa, przynajmniej w pewnych niuansach.

Oczywiście w zależności od tego, o co komu chodziło.

MU: Nazywam się Mathilde Ubrecht. Mam trzydzieści sześć lat. Pracuję w Kościele Czyste Życie.

VV: Dziękuję. Czy wie pani, dlaczego chcę z panią rozmawiać?

MU: Chyba tak.

VV: Policja została poinformowana, że z obozu zniknęła jedna dziewczynka. Rozumie pani, że mamy obowiązek sprawdzić tę informację.

MU: Tak. Ale nikt nie zginął.

VV: Jest pani tego pewna?

MU: Tak.

VV: Czy mogę zadać jedno hipotetyczne pytanie?

MU: Proszę.

VV: Gdyby to miało być korzystne dla pani wspólnoty, czy byłaby pani gotowa skłamać na przesłuchaniu przez policję albo przed sądem?

MU: Nie rozumiem pana pytania.

VV: W porządku, spytam inaczej. Gdyby Oscar Jellinek kazał pani powiedzieć pewne rzeczy, czy posłuchałaby go pani, nawet gdyby to była nieprawda?

MU: Nie wierzę, żeby Jellinek mógł zrobić coś takiego.

VV: Co pani myśli o Oscarze Jellinku?

MU: To wielki człowiek.

VV: To znaczy?

MU: Ma kontakt z Wszechmocą i Jedynym Bogiem. To łaska móc być tak blisko niego.

VV: Czy pani koleżanki też tak uważają?

MU: Oczywiście.

VV: Rozumiem. A dziewczynki z obozu?

MU: Jestem przekonana, że również. To przecież widać, wystarczy być blisko niego.

VV: Naprawdę? Czy mogłaby mi pani opowiedzieć, jak przebiegają zajęcia na obozie?

MU: Jellinek odbywa rozmowy z dziewczynkami. Modlimy się wspólnie. Staramy się oczyścić i pozbyć złych myśli.

VV: W jaki sposób?

MU: W różny. Przez rozmaite ćwiczenia. Przez modlitwę. Przez oddawanie się...

VV: A co robicie, kiedy się oddajecie?

(Kilkusekundowe milczenie)

MU: Nie chciałabym rozmawiać o tym z osobami postronnymi. Bo łątwo jest to źle zinterpretować. Trzeba być wtajemniczonym, żeby właściwie to zrozumieć, to wymaga ćwiczenia...

VV: Sypiacie z Oscarem Jellinkiem?

MU: Żyjemy w ogromnej harmonii i bliskości.

VV: Również seksualnej?

MU: Jesteśmy istotami biologicznymi, komisarzu. Nie wyznaczamy takich samych granic jak wy. Na tym polega różnica między Czystym Życiem a Innym Światem.

VV: Innym Światem?

MU: Światem, w którym wy żyjecie.

VV: A co pani powie na to, że Jellinek siedział w więzieniu z powodu nierzędu i innych wykroczeń?

MU: Jezus Chrystus został ukrzyżowany za nasze grzechy.

VV: Pani porównuje Oscara Jellinka z Chrystusem?

MU: Naturalnie.

(Bardzo długa cisza, w której dało się słyszeć jedynie odgłos, jakby ktoś ciągnął po podłodze jakiś ciężki worek. Dopiero po chwili Van Veeteren doszedł do wniosku, że to nie żaden worek, tylko jego głębokie westchnięcie).

VV: Czy wasze konfirmantki też żyją w takiej ogromnej bliskości i harmonii z Oscarem Jellinkiem?

MU: Oczywiście, że nie. W każdym razie nie w takim samym stopniu.

VV: Ale zdarza się, że dziewczynki są nagie w jego obecności?

MU: To nie tak, jak pan myśli, komisarzu. Spotykają nas same złośliwości i pomówienia... podobnie jak...

VV: Tak?

MU: Podobnie jak pierwszych chrześcijan.

VV: Porównujecie siebie z pierwszymi chrześcijanami?

MU: Jest wiele podobieństw.

(Cisza. Potem szuranie krzesła. Zapalenie i zdmuchnięcie zapalki).

VV: Dziękuję, panno Ubrecht. Chyba nie mam już więcej pytań do

pani.

– A niech to szlag – mruknął komisarz i przewinał nagranie z Madeleine Zander, kobietą, z którą rozmawiał w czasie swojej pierwszej wizyty. Nie mogę już słuchać tej pustej gadaniny, pomyślał. Jedyne, co różniło Madeleine Zander od dwóch pozostałych, to fakt, że ona uczestniczyła w tym wszystkim od samego początku i że była mężatką. Najstarsza z całej trójki, miała czterdzieści sześć lat i dorosłą już córkę z małżeństwa, które pewnie trwało jedynie tyle, ile trzeba, by ona mogła zająć w ciążę i sprowadzić dziecko na świat. Tak sądził komisarz.

Właściwie nie sądził. Miał pewność.

Już później, w drodze powrotnej do Sorbinowa, usiłował znaleźć i zinterpretować oznaki zwaśnienia między trzema kobietami – zazdrości, zawiści i temu podobnych emocji – ale choć bardzo się starał, nie mógł przypomnieć sobie niczego takiego.

Jednak on wcale nie starał się zachęcić ich do takich wypowiedzi. Wręcz przeciwnie. Przez cały czas był uprzejmy i zachowywał się jak dżentelmen. Tak jak zawsze.

Gdyby chodziło mu jedynie o napisanie powieści kryminalnej, to na pewno najlepiej dałoby się ją stworzyć w formie innej niż pisana. Bo w całej tej historii brakowało substancji.

Chociaż z drugiej strony było całkiem sporo do powiedzenia.

Tak czy inaczej, znalazł się teraz w środku tych wydarzeń. Dwieście dziesięć kilometrów od Maardam i dwanaście dni od Krety.

Są poczekalnie i poczekalnie, przeczytał niedawno w rozważaniach Klimkego. Ale z większości stacji nie odjeżdżają już żadne pociągi.

Postanowił sprawdzić, jak to jest w przypadku Sorbinowa. Budynek dworca widział na razie tylko z daleka, jednak nie sprawiał on wrażenia szczególnie ożywionego.

Był więc tylko znakiem.

Jeśli chodzi o dziewczynki, rozmawiał z dwiema. Po chwili zastanowienia postanowił przepytac je jednocześnie. Moze bylo to oznaka zmeczenia, a moze wskazywalo, ze zamierza sie poddac, lecz po spo-

tkaniu z Jellinkiem i jego trzema bladymi niewolnicami – czego jeszcze mógł się właściwie spodziewać?

Poszukał odpowiedniego miejsca na taśmie i wcisnął klawisz.

VV: Powiedzcie, jak się nazywacie. Mówcie głośno, żeby się dobrze nagrało.

BM: Belle Moulder.

CH: Clarissa Heerenmacht.

VV: Czy wiecie, dlaczego chciałem z wami porozmawiać?

(Cisza. Van Veeteren przypomniał sobie, że obie najpierw spojrzały jedna na drugą, a potem zgodnie pokręciły głowami).

VV: Jestem z policji. Chodzi o dziewczynkę, która zniknęła z obozu.

Możecie mi opowiedzieć, jak do tego doszło?

BM: Nikogo nie brakuje.

CH: Wszyscy są tutaj przez cały czas.

VV: Ile was jest?

CH: Dwanaście.

VV: Ale na początku było was trzynaście?

(Krótka pauza)

BM: Cały czas było nas dwanaście. Niech pan nie próbuje nam niczego wmówić.

VV: W porządku, powiedzmy, że tak było. Opowiedzcie mi, czym się tu zajmujecie od rana do wieczora?

CH: Robimy różne rzeczy.

VV: Na przykład?

BM: Kąpiemy się, bawimy. Mamy pogadanki i pracę w grupach, i tak dalej.

VV: Podoba się wam tutaj?

BM: Tak.

CH: To superobóz.

BM: Niektórzy myślą, że tu, w Waldingen, robimy mnóstwo dziwnych rzeczy, ale to nieprawda.

VV: Czyli co na przykład?

BM: Nie wiem. W każdym razie tu jest naprawdę ekstra. Uczymy się mnóstwa fajnych rzeczy.

VV: Rozumiem. A mogłybyście podać mi jakieś przykłady?

BM: No, uczymy się, co jest ważne w życiu... jak powinno się żyć z innymi i podobne sprawy.

CH: Jak stać się dobrym człowiekiem i mieć czystą duszę.

VV: A jak osiąga się czystą duszę?

CH: Trzeba wyrzucić wszystkie złe myśli.

VV: A jak się to robi?

CH: Różnie. Trzeba być strasznie uważnym, bo zło jest wszędzie...

BM: Nie powinniśmy rozmawiać z panem o takich rzeczach.

CH: Nie...

VV: Ale mnie to interesuje, chciałbym się czegoś od was nauczyć.

BM: To musi pan porozmawiać z Jellinkiem.

VV: Dlaczego?

BM: Dla nas to niedobrze, żeby o tym rozmawiać. My właśnie jesteśmy w trakcie uczenia się ważnych rzeczy, a pan jest z Innego Świata.

VV: Z Innego Świata?

BM: Tak.

VV: A co to takiego?

BM: Inny Świat to wszystko, co nie jest Czystym Życiem.

VV: Ach tak. A jak długo jesteście już w tym Kościele?

CH: Jak długo? Od zawsze...

BM: Jak byłyśmy jeszcze bardzo małe.

VV: Wasi rodzice też do niego należą?

BM: No jasne. I rodzeństwo. Jesteśmy wybrańcami.

VV: Rozumiem. Ile macie lat?

BM: Czternaście.

CH: Dwanaście... prawie trzynaście.

VV: Czy chodzicie też do szkoły prowadzonej przez Czyste Życie?

BM: Ja chodziłam. Ale teraz od roku jestem w zwykłej szkole.

CH: A ja od jesieni też pójde do zwykłej szkoły.

BM: Pan pewnie myśli, że my nie jesteśmy normalne. Zawsze tak jest.

O co panu tak naprawdę chodzi?

CH: Nam jest tu super w Waldingen.

VV: Rozumiem, oczywiście. Ale pewnie ciężko jest wam chodzić do szkoły w Innym Świecie?

CH: Przecież musimy się nauczyć żyć także w Innym Świecie. Wiedzieć, jak się w nim zachowywać.

BM: O tym też chyba nie powinniśmy z panem rozmawiać.

VV: Czy ktoś was pouczył, o czym wam wolno, a o czym nie wolno ze mną rozmawiać?

(Cisza. Ostrzegawcze spojrzenie starszej dziewczynki w stronę młodszej, o ile dobrze sobie przypominał).

CH: Nie...

VV: Nie wydajesz się przekonana.

BM: Nikt nam nic nie mówił. My po prostu to wiemy.

VV: Rozumiem. Ale pewnie jest wśród was parę koleżanek, którym nie podoba się tutaj tak bardzo jak wam?

BM: Wszystkie czują się tu świetnie.

VV: Wszystkie?

BM: Dlaczego pan pyta? Jasne, że czasami komuś jest smutno. Ale czy to takie dziwne?

CH: Ja wiem, że wszystkim się tutaj podoba. Robimy tu naprawdę ważne rzeczy... i się uczymy.

VV: A mogłybyście powiedzieć mi trochę więcej o waszych trzech zasadach: modlitwie, czystości i wyrzeczeniu?

CH: No to są właśnie nasze trzy filary. Na nich wszystko się opiera...

VV: A co oznacza czystość?

CH: Trzeba być czystym, kiedy człowiek chce się spotkać ze swoim Bogiem, ale ja myślę...

BM: Pan i tak tego nie zrozumie. Jeśli się nie należy do naszej wspólnoty, nie powinno się zadawać tyle pytań.

VV: Czy żeby być czystym, trzeba być nagim?

CH: Tak... nie.

BM: Nie, nie trzeba. Poza tym nic panu do tego.

VV: Czy ktoś tu was odwiedza?

BM: Nie, odwiedziny nie są dobre, kiedy jesteśmy w trakcie nauki.

VV: Ale chyba dzwonicie od czasu do czasu do domu?

CH: Nie dzwonicie, bo...

BM: Piszemy listy, to wystarczy.

VV: Nie wolno wam korzystać z telefonu?

CH: Może nam wolno, ale tego nie robimy.

VV: A jak nazywała się ta dziewczynka, która była tu tylko na początku?

CH: Słucham? Co pan ma na myśli?

BM: Niech pan wreszcie przestanie być taki bezczelny. Wciąż pan nas tylko podejrzewa o różne rzeczy, o których my nawet nie mamy pojęcia. Coś takiego to tchórzostwo.

VV: A dlaczego nie ma chłopców w waszym Kościele?

BM: Oczywiście, że są chłopcy w Czystym Życiu, ale akurat nie na tym obozie. Oni mają swój własny. Chyba nie będziemy już z panem rozmawiać.

(Pięciosekundowa cisza. Szuranie krzesła)

VV: No dobrze. Wobec tego skończymy. Biegnijcie i oczyśćcie wasze dusze. Pozdrówcie waszego Jellinka i powiedzcie mu, żeby przeczytał Izajasza, 55:8.

BM: Słucham?

VV: Jest taka książka, która nazywa się Biblia. Myślałem, że ją znacie.

CH: Izajasz...?

VV: 55;8. Tak, no, biegnijcie się oczyścić!

Zatrzymał taśmę i oparł się ciężko na poduszkach. Siedział nieruchomo przez kilka minut, próbując nazwać emocje, które kotłowały się w jego wnętrzu.

Albo przynajmniej znaleźć na ich określenie jakąś przerośnięcie.

Jednak nie było takiej. Nic się nie wyłoniło i nie wykryła się żadna myśl. Jedynie słowo „bezsilność”, które powoli zaczynało się stawać jego dobrym starym znajomym. Niezawodnym, prastarym krewnym, który nie chciał umrzeć i nie dawał się wyrzucić – może ze względu na ścisłą z nim więź.

Westchnął głęboko. Stwierdził, że w butelkach nie ma już ani kropli piwa, więc wstał z łóżka. Podszedł do okna i spojrzał na jezioro, na którym ostatni kajakarze dobijali właśnie do pomostów. Było już parę minut po wpół do dziesiątej i niebieskie tony zamieniały światło wieczoru w miękką ciemność pełni lata.

Lipcowa noc, pomyślał Van Veeteren. Jak to było w tamtej piosence? Że nie wolno przespać letniej nocy?

W gruncie rzeczy to wcale niegłupia myśl. W każdym razie uznał, że może sobie pozwolić na mały wieczorny spacer i kieliszek białego wina.

Choćby po to, żeby pozbyć się tego dobrze mu znanego uczucia.

I ułatwić sobie decyzję o wyjeździe stąd. Bo właściwie nie widział żadnego sensownego powodu, aby kontynuować to rzekome dochodzenie. Swój dług wobec Malijsena mógł z pewnością uznać w tej sytuacji za spłacony – jakkolwiek by go podliczyć – trudno było natomiast znaleźć jakiegokolwiek racjonalne przesłanki dla dalszych najazdów na obóz w Waldingen. Choćby nie wiem jak się starać.

Ale istniało coś, na co zawsze zwracał mu uwagę stary Borkman.

Rozsądek ma starszą siostrę, nie zapominaj. Na imię jej intuicja.

Kiedy w końcu znalazła ciało, słońce dawno już zaszło. Ciemność między świerkami stawała się coraz bardziej nieprzenikniona i dlatego przez chwilę zastanawiała się oszołomiona, czy to przypadkiem nie jest złudzenie optyczne. Dziwna gra światła, to nieoczekiwane błysnięcie białego dziewczęcego ciałałka spomiędzy zarośli, które może jednak zaraz zniknie, jeśli ona teraz zamknie oczy i znowu je otworzy.

Ale nie opuściła powiek. Wewnętrzny głos, który przyprowadził ją aż tutaj, nie pozwolił jej przymknąć oczu. Kazał jej działać i wykonać tę niepojętą rzecz, która stała się jej przeznaczeniem.

To, co nieuchronne.

Skąd właściwie pochodził ten głos, który ją wiódł? Nie miała pojęcia, lecz być może było to jedyne źródło siły, jakie istniało w tej grze koszmarów wokół niej. Jedyne utrzymujące ją na nogach i pozwalające czynić niezbędne kroki. To musiało tkwić gdzieś głęboko w niej samej; jakaś jej strona, której w życiu codziennym nigdy wcześniej nie musiała wykorzystywać, ale która teraz była w pogotowiu i sprawiała, że to, co musiało zostać uczynione, stawało się rzeczywistością. Rodzaj rezerwy, pomyślała, nieznana studnia, z której mogła czerpać siłę, ale na którą później – w odległej przyszłości, niech Bóg da, aby przyszła jak najszybciej! – będzie musiała położyć ciężką pokrywę zapomnienia. Pozwolić, by zarosła grubą i bujną trawą czasu, jak w piosence – do diabła, jak ona może myśleć teraz o piosenkach? A potem ani ona, ani nikt inny nie będzie w stanie nawet się domyślić, do czego użyła tej wody. Ani że w ogóle tu była.

W odległej przyszłości.

Źródło. Jej siła. Wewnętrzny głos.

Zrobiło się naprawdę ciemno. Musiała stać chyba całkiem długo i gapić się na to niepojęte, choć w ogóle nie była tego świadoma. Zapaliła na chwilę latarkę, jednak od razu zrozumiała, że światło nie jest jej sprzymierzeńcem, więc ją wyłączyła. Odsunęła na bok kilka gałęzi

i wyciągnęła chude, nagie ciało. Przykucnęła, po czym chwyciła je pod plecy i pod kolana, zaskoczona przez krótką chwilę odrętwieniem mięśni i członków; przemknął jej przez głowę obraz narodzin martwego żrebaka, przy których była obecna kilka lat temu.

Ciało nie było ciężkie. Na pewno ważyło dużo poniżej czterdziestu kilo, toteż niosła je bez większego wysiłku. Przez moment nie mogła się zdecydować, co wybrać, ale w końcu doszła do miejsca, w którym znowu usłyszała wewnętrzny głos. Ostrożnie – jakby chciała jednak okazać coś w rodzaju perwersyjnego szacunku – umieściła ciało w pozycji półsiedzącej pod osiką, potężną osiką z niebem szemrzących liści, i zaczęła przykrywać je wszystkim, co znalazła: gałęziami, chrustem i zeszlórocznymi liśćmi.

Nie po to, by ją ukryć, oczywiście. Tylko zasłonić ją trochę w imię przyzwoitości.

Kiedy skończyła, zrobiło się już tak ciemno, że nawet nie mogła ocenić swojego dzieła, ale z poczuciem tego samego dziwnego szacunku stała jeszcze chwilę z opuszczoną głową i splecionymi dłońmi.

Może odmawiała jakąś modlitwę. A może przemykały jej przez głowę tylko luźne myśli i słowa.

Potem przeszył ją rozżarzony do białości strach; pospiesznie się oddaliła, zabierając szpadel z miejsca, gdzie go zostawiła. Wyszła z powrotem na drogę i puściła się biegiem tak szybko, jak tylko mogły unieść ją nogi.

– Intuicja? – spytał Przebuda, uśmiechając się nad swoim kieliszkiem wina. – Nie sądzisz, że intuicja może cię zaprowadzić w ślepią uliczkę? Ja osobiście ślepo jej ufam. Uważam, że to umiejętność, która przeskoczyła kilka stopni... w łańcuchu przyczynowo-skutkowym. Albo przynajmniej tak może się wydawać. Ona wyprzedza wszystko, ale nie to jest najważniejsze. Posiadamy ją, jednak nie pojmujemy, jak to właściwie możliwe. Mimo to co sekunda przyjmujemy niezwykle ilości informacji... wszystkie zostają zgromadzone, lecz tylko ułamek z nich dociera do naszej aktywnej świadomości. Reszta leży pod tą warstwą i wysyła swoje sygnały... najczęściej zupełnie bezużyteczne, po prostu dlatego, że jesteśmy strasznie receptywni. W końcu jesteśmy tylko ludźmi.

Van Veeteren z przyjemnością wyciągnął nogi przed siebie. Był poniedziałkowy wieczór, a on siedział głęboko zatopiony w starym skórzanym fotelu w obszernym gabinecie i zarazem salonie Andreja Przebudy. Nie ruszał się z tego miejsca już od ładnych paru chwil, sącząc nadzwyczajne chateaux margeaux, rocznik 81, i przeżuwając plasterki gruszki z camembertem. Wędzonym. Kolację zjedli w towarzystwie Eisensteina, de Siki, Bergmana i Tarkovskiego, a kiedy odeszli od stołu i przenieśli się na fotele, rozmowa skupiła się na pytaniu, co stanowi właściwy powód wizyty komisarza w Sorbinowie.

Która właśnie uległa przedłużeniu o kolejny dzień.

– Prawdopodobnie to jest to samo zjawisko co w przypadku odkryć w naukach przyrodniczych – kontynuował Przebuda. – Badacz zna już odpowiedź, widzi ostateczne rozwiązanie, jeszcze zanim do niego dojdzie. A przynajmniej je przeczuwa. Gdyby tak nie było, nie byłby w stanie niczego odkryć. Musi po prostu stworzyć obraz z wyprzedzeniem, pisał o tym chyba Rappaport i oczywiście Sartre... Pierre i kawiarnia, i tak dalej, no wiesz. To jest jedynie druga strona poznania. Rodzaj... jak by to nazwać? Może wiedzą wyprzedzającą?

– Hm – odezwał się Van Veeteren. – Czyli łańcuch, który się trzyma, mimo że brakuje w nim wielu ogniów. Chciałbym zobaczyć prokuratora, który by się na coś takiego zgodził. Ale zasadniczo masz rację. Jasne, że wierzę w intuicję.

– A jak wygląda ten wyprzedzający obraz obozu w Waldingen? – spytał Przebuda, zapalając fajkę, która nieustannie mu gasła. – Problem z paleniem fajki polega na tym – dodał – że ona zawsze gaśnie, jak tylko za dużo się mówi. A muszę przyznać, że od czasu do czasu to mi się zdarza. A więc?

Komisarz westchnął.

– Nie wiem – przyznał. – Możesz mnie przekląć, ale naprawdę nie mam pojęcia, co myśleć. No bo w tym przypadku mamy do czynienia z zupełnie debilnymi postaciami, co w pewien sposób przesłania zasadniczą kwestię i utrudnia jej rozwiązanie. Być może jakaś forma ingerencji byłaby tak czy inaczej uprawniona, bo cholera wie, co oni tam wtłaczają do głów tym biednym dzieciom... ale to jeszcze nie znaczy, że którąś z nich zamordowali. Nie mogę nawet powiedzieć, że znalazłem potwierdzenie na to, że jedna z nich faktycznie zniknęła.

Przebuda ciągle pochłonięty był swoją fajką.

– ...pomijając niewyraźne przeczucie.

Komisarz oparł się wygodnie i splótł dłonie na karku. Powiódł wzrokiem po zasłoniętych książkami ścianach i nagle wyobraził sobie, że znajduje się wewnątrz encyklopedii. Wachlarz zainteresowań Przebudę zdawał się sięgać od ekspansji przemysłu stalowego w latach osiemdziesiątych przez wskaźniki rybołówstwa na Oceanie Lodowatym po antropologię kultury i prowansalską lirykę miłosną. Był niewątpliwie dziennikarzem i człowiekiem pióra starej szkoły, nieprzekupnym pisarzem, który – jeśli tylko pozwala mu czas – zdolny jest stworzyć artykuł na temat z dowolnej dziedziny. Mimo że Van Veeteren starał się wyprzeć ten obraz, musiał przyznać, że atmosfera wieczoru wywołała w nim jeszcze jedno skojarzenie. Klasycznego detektywa – słynnego tropiciela zbrodni, który zbiera wszystkie fakty w swej umęczonej głowie, a następnie rozwiązuje przypadek, siedząc z fajką w ustach na wygodnym fotelu w swojej bibliotece.

Choć tutaj osobą, która paliła fajkę, był Przebuda. On wolał papie-

rosy.

Tak więc bliski rozwiązania był, być może, jego gospodarz, a nie on sam.

Jeśli w ogóle da się tu mówić o rozwiązaniu. Bo może, biorąc wszystko pod uwagę, tutaj nie ma żadnego równania do rozwikłania. Czyż nie na taką wersję się zdecydował? Żadnej zaginionej dziewczynki i żadnej sprawy. Tak czy inaczej, ten pokój miał swój urok. Jedynie, czego w nim brakowało, to oczywiście szachownicy. Ale Przebuda już wcześniej wyznał, że ten sposób zabijania czasu nigdy nie wzbudzał jego zainteresowania.

Co niewątpliwie czyni tę grę jeszcze bardziej niezwykłą, pomyślał Van Veeteren. Zabijanie czasu, też coś! To niemal bluźnierstwo.

– Mam naturalnie trochę notatek – powiedział Przebuda po kilku sekundach ciszy. – Jeśli rzecz jasna cię to interesuje. Ubiegłego lata, kiedy byli tu pierwszy raz, wpadłem na pomysł, żeby napisać o nich z pół stroniczki. Czyste Życie... chodziło mi o dobranie się do skóry, by tak rzec, samej sekcje. Obozem się nie zajmowałem... ale, tak czy inaczej, przeprowadziłem wywiad z tym pasterzem i zrobiłem parę zdjęć, jednak potem zdecydowałem się zrezygnować z tego pomysłu.

– Dlaczego?

Przebuda wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Niektóre prace po prostu się zarzuca. Tak już jest. Myślę, że chodziło o sam wizerunek. Mówiąc szczerze, czułem lekki niesmak. Mam nadzieję, że rozumiesz, co mam na myśli...

Van Veeteren kiwnął głową.

– ...ten Jellinek i jego cztery niewiasty.

– Cztery?

– No tak. Cztery kobiety, które zajmowały się wszystkim. Dużo młodsze od niego. To trochę mnie zniechęciło, że tak powiem. Nie miałem najmniejszej ochoty robić takim figurom darmowej reklamy. A w tym roku nie otacza go taki sam harem?

– Trzy – odpowiedział Van Veeteren. – Tylko trzy.

Przebuda zaśmiał się.

– No cóż – odparł. – Może opuszczają go siły. Jeśli hołduje islamskim tradycjom, to może też prawu do zadowolenia. Jak to jest? Dwie

noce z trzech?

– Chyba jedna z dwóch – rzekł komisarz. – Jeśli o to chodzi, istnieje wiele odmian. Nie znasz przypadkiem nazwisk tych kobiet z zeszłego roku?

Andrej Przebuda uniósł jedną brew. A potem także swój kieliszek z winem.

– A dlaczego pytasz?

– Ach, tak przyszło mi coś do głowy – odpowiedział komisarz.

– No dobrze, sprawdzimy – rzekł Przebuda. – Ale najpierw się napijmy.

– Na zdrowie – rzucił Van Veeteren.

Przebuda wstał i przeszedł do ogromnego biurka, które królowało w rogu pokoju, zajmując co najmniej cztery metry kwadratowe powierzchni. Włączył kolejną lampę i zaczął grzebać w stosie czerwonych i zielonych teczek, które piętrzyły się na wysokość jednego metra pod ścianą. Po chwili wrócił z jedną z nich i wyjął ze środka plik nieuporządkowanych kartek.

– Zaraz zobaczymy – powiedział, wyjmując okulary z kieszeni na piersi. – Nie sądzę, żebym aż tak się nimi interesował, ale zrobiłem im kilka zdjęć... o, są tutaj.

Wyciągnął ze stosu jedną z fotografii. Zanim podał ją Van Veeterenowi, najpierw przyjrzał się jej krytycznie. Była zrobiona na tarasie głównego kolonijnego budynku. W słońcu późnego popołudnia, sądząc po świetle i cieniach. Oscar Jellinek stał lekko pochylony nad balustradą w otoczeniu czterech kobiet – po dwie z każdej strony. Mimo ich stosunkowo niepozornego wyglądu komisarz był w stanie zidentyfikować trzy z nich – te, z którymi rozmawiał dzień wcześniej. Ale po lewej ręce Mathilde Ubrecht, z dłonią spoczywającą na ramieniu Jellinka, stała nieznajoma ciemnowłosa kobieta. Sprawiała wrażenie trochę młodszej od pozostałych i w odróżnieniu od reszty grupy pozwoliła sobie na uśmiech prosto do kamery. Była też z nich wszystkich na pewno najładniejsza.

– Hm – bąknął komisarz. – Nie masz ich nazwisk?

– Kto wie – powiedział Przebuda. – Zobacz na odwrocie.

– Van Veeteren odwrócił zdjęcie i przeczytał:

– „Od l.: Ulriche Fischer, Madeleine Zander, O.J., Ewa Siguera, Mathilde Ubrecht”.

Ewa Siguera? – pomyślał i pociągnął łyk wina. Brzmi jak postać z romansu.

Przebuda, któremu udało się znowu rozpaść tytoń w fajce, wydmuchnął kilka ciężkich obłoków dymu.

– No cóż – odezwał się w końcu – chyba już wtedy nie zamierzałem tego wykorzystać. A czego ty właściwie szukasz?

Komisarz zastanowił się przez chwilę, dalej studiując z przymrużonymi oczami fotografię.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Chyba w tym przypadku mamy właśnie do czynienia z czymś w rodzaju wiedzy wyprzedzającej.

– Aha – roześmiał się Przebuda. – Ale może powinniśmy rzucić okiem także na papiery. Jeśli się nie mylę, mam tu coś o tym Jellinku. Choć nie sądzę, żebym zrobił jakieś notatki na temat porwania ludzi. Ale to, co nienapisane, jest chyba najbardziej wymowne... Co ty na to, żebyśmy pozwolili sobie na jeszcze jedną butelkę wina?

– W ten upał rzeczywiście chce się pić – odrzekł Van Veeteren.

– Religia ma niejedno oblicze – stwierdził Andrej Przebuda po dłuższej chwili. – Ja osobiście ją porzuciłem, ale nie jestem pewien, czy nie pozostawiła we mnie śladów...

Van Veeteren pokiwał głową.

– ...moi rodzice, cała moja rodzina to praktykujący żydzi. Kiedy zaczęli przeczekać, że robi się gorąco, i zrozumieli, co nadciąga – mój ojciec był chyba najbardziej przewidujący z całego mojąszowego zboru – umieścili mnie i moją siostrę u katolickiej rodziny w niewielkiej wiosce na prowincji. Ci ludzie ukrywali nas w swoim gospodarstwie przez cztery lata. Tylko my dwoje przeżyliśmy z całego rodu... jak na ironię losu niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Auschwitz. No tak, a potem ożeniłem się z kobietą z Indii; zmarła sześć lat temu i leży na cmentarzu reformowanym tu, w Sorbinowie.

Komisarz znowu kiwnął głową.

– Mieliście dzieci? – spytał.

– Całą gromadkę – odparł Przebuda. – Ni mniej, ni więcej. Jedenaścioro wnuków. Ale, jak wspomniałem, z religią skończyłem.

– A nie miałeś ochoty wrócić, kiedy zetknąłeś się z Czystym Życiem?

Przebuda uśmiechnął się.

– Nie. Może powinniśmy być im jednak wdzięczni za to, że zajmują się ludźmi, którzy, gdyby nie oni, trafiliby do zakładu. Czyli żyliby na koszt społeczeństwa... chociaż oczywiście te zajęcia z dziećmi to zupełnie inna historia. Żeby ich naprawdę wybadać, trzeba by może użyć podstępu. Na przykład posłać tam sprytną i rezolutną trzynastolatkę z telefonem komórkowym... ale uważam, że jest wiele ważniejszych rzeczy do roboty, jeśli chce się zabić swój czas...

Van Veeteren potaknął z aprobatą.

– Zgadza się – powiedział. – Jeśli o mnie chodzi, mniej więcej za tydzień wybieram się na urlop, więc jeśli w ciągu najbliższych dwunastu godzin nikt nie przywlecze zaginionej dziewczynki, pakuję się i wyjeżdżam. Nie mogę powiedzieć, że bym tu wiele zdziałał... klub filmowy i dzisiejszy wieczór to, jeśli mam być szczery, jedyne wartości odnotowania rezultaty mojego pobytu. Bynajmniej nie do pogardzenia.

– Rozumiem – powiedział Przebuda.

– Czy na wszelki wypadek mógłbym wziąć sobie te papiery o Jellinku jako lekturę na noc? – spytał komisarz. – Przejrzę je i zostawię w redakcji przed wyjazdem jutro rano.

– Oczywiście – zgodził się Przebuda i rozłożył ramiona. – Czyli jednak nie wypuszczasz nici z rąk?

Van Veeteren zgasił niedopałek ostatniego papierosa.

– No nie – odparł. – I będę ją trzymał, dopóki sama się nie zerwie. To jest takie moje stare złe przyzwyczajenie.

Kiedy podniósł się z fotela, od razu zauważył, że ostatnie bourgogne było cięższe, niż sądził.

Zdaje się, że z czytania wieczorem niewiele wyjdzie, pomyślał. Problemem było raczej to, czy uda mu się nie zasnąć, nim znajdzie się w łóżku.

Co okazało się tylko pobożnym życzeniem – zwłaszcza w świetle tego, co naprawdę czekało go podczas najbliższej nocy.

Ale w tym momencie nie miał jeszcze o tym najmniejszej wiedzy – ani empirycznej, ani intuicyjnej.

Normalnie – czyli kiedy jeszcze nie pełnił funkcji zastępcy komendanta policji na komisariacie w Sorbinowie – przełączyłby w takiej sytuacji telefon na automatyczną sekretarkę i już. Na pewno. Razem z Deborah zasiedli właśnie, każde w swoim rogu, na nowej kanapie Wasmeyer. Na stoliku przed nimi stało pudełko czekoladek, film z Clintem Eastwoodem był jeszcze przed pierwszym blokiem reklamowym, a przez otwarte drzwi na taras wpadało przyjemne ciepłe powietrze. Z czułym oddaniem masował jej gołe stopy.

Od strony czysto fizycznej był to niemal doskonały wieczór.

– Ktoś dzwoni – powiedziała Deborah, wkładając czekoladkę między swe czerwone wargi.

Kluuge westchnął i wstał z kanapy. Najbliższy aparat telefoniczny był w sypialni. Zamknął za sobą drzwi, żeby nie przeszkadzać żonie w oglądaniu filmu.

Typowe, pomyślał, sięgając po słuchawkę. Ale jak cięży na tobie taka odpowiedzialność, to trzeba ją dźwigać.

– Komendant policji Kluuge.

– Halo?

To jedno słowo wystarczyło, aby rozpoznał głos. W ułamku sekundy z jego myśli zniknęli jak zdmuchnięci Clint Eastwood, żona i czekoladki.

– Kluuge, słucham.

– To znowu ja.

– Słyszę. O co chodzi?

– Chciałabym dać panu jedną wskazówkę.

– Wskazówkę?

– W Waldingen leży ciało martwej dziewczynki.

– Jesteśmy w trakcie badania tej sprawy...

– Wiem. Ale do niczego nie dojdziecie. A jak się tam wybieriecie i znajdziecie zwłoki, to może mi uwierzycie.

– Nie sądzę, żeby tam w ogóle były czyjeś zwłoki – powiedział Kluuge. – Pani dzwoni tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. My naprawdę...

– Mińcie obóz...

– Słucham? – spytał Kluuge.

– Opisuję wam drogę.

– Dokąd?

– Do ciała. Powiem wam dokładnie, gdzie leży. Możecie tam pojechać i zobaczyć. Dopiero wtedy zrozumiecie, że mówię prawdę.

Kluuge przełknął.

– No więc? – wydusił z siebie.

– Sto metrów za obozem jest nieduża dróżka na prawo. Idźcie tą dróżką, a kiedy po lewej stronie miniecie wielki głaz, zobaczycie ogromną osikę. Ona leży parę metrów za tym głazem. To zaledwie jakieś dwadzieścia metrów od drogi...

– Niech pani poczeka – powiedział Kluuge. – Muszę wziąć coś do pisania.

– Nie trzeba – odparła kobieta. – Sto metrów za obozem. Dróżka w prawo. Pod osiką za skałą. Na pewno ją znajdziecie.

Mnóstwo pytań kłębiło się naraz w głowie aspiranta Kluugego, ale zanim zdążył wypowiedzieć choćby jedno z nich, usłyszał, jak kobieta odłożyła słuchawkę.

Do diabła, pomyślał. Do diabła i jeszcze raz do diabła.

Następnie zastanawiał się przez piętnaście sekund, a potem wykreślił numer do hotelu Grimm's. Po dwunastu sygnałach odebrał ktoś z recepcji. Kluuge dowiedział się jedynie tyle, że pan Van Veeteren wyszedł kilka godzin temu, nie zostawiając informacji, dokąd się udaje. Ani kiedy zamierza wrócić.

Rozłączył się. Zapatrzył się przez otwarte okno. Wieczorny mrok unosił się w ciepłym letnim powietrzu. Grały koniki polne. Zegarek elektroniczny na szafce nocnej pokazywał 22:20.

Co, do cholery, mam zrobić? – zastanawiał się. Słaby głos głęboko w jego wnętrzu szeptał mu, żeby poszedł z powrotem na kanapę. Po prostu wrócił do Deborah i jej ciepłych stóp. Najprościej byłoby oczywiście o tym wszystkim zapomnieć i udąć, że nikt nie dzwonił... i że

nikt nigdy nie mówił o martwej dziewczynce czy jakiejś dróżce albo jakimś głazie. Jednak wstyd, że taka myśl w ogóle mogła się zrodzić w jego głowie, szybko wziął górę. Stał się ogromny.

Nigdy, pomyślał. Nigdy w życiu. Muszę wziąć na siebie pełną odpowiedzialność.

Zastanowiwszy się jeszcze chwilę, zadzwonił ponownie do hotelu i zostawił komisarzowi wiadomość:

„Gorący trop w sprawie Waldingen. Pojechałem na miejsce. Kluuge”.

Pięć minut później ucałował na dobranoc swoją żonę i ruszył w noc.

Aby nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, zatrzymał samochód kawałek przed obozem. Wyłączył światła i wyszedł na żwirową drogę. Ogromny księżyc przyżegłował nad jezioro, czyniąc ciemność mniej nieprzeniknioną. Kluuge powoli ruszył wąską dróżką; bardzo ostrożnie i samym jej skrajem, gdzie odgłos kroków tłumiła trawa i ziemia.

Kiedy mijał zabudowania kolonijne, było pięć po jedenastej i światło paliło się tylko w dwóch oknach. Nigdzie nie zauważył nikogo ani nie słyszał żadnych odgłosów, które mogłyby wskazywać na to, że ktoś jest na dworze. Nie zatrzymując się, szedł więc dalej w górę po lekkim wzniesieniu po drugiej stronie. Liczył kroki i mniej więcej po osiemdziesięciu metrach zapalił latarkę i zaczął szukać ścieżki odbijającej w prawo.

Znalazł ją od razu. Zanim na nią skreślił, zgasił latarkę. Przez kilka sekund stał nieruchomo w ciemności, nasłuchując, ale jedyne, co dochodziło do jego uszu, to cichy szum koron drzew, uparty śpiew świerszczy i pojedynczy miłosny rechot żab w jeziorze. Zdecydowanym ruchem włączył znowu latarkę i ruszył ścieżką.

Strach zawładnął nim w momencie, kiedy stożek światła natrafił na skalny blok. Nagle uzmysłowił sobie, że ta obłąkana kobieta być może wcale nie jest taka obłąkana, jak myślał, i że może już za kilka sekund znajdzie się przed pierwszymi w jego życiu zwłokami. Czuł, jak na myśl o tym zrobiło mu się kompletnie sucho w ustach i jak puls w skroniach nagle zaczął walić tak głośno, że słyszał szum własnej

krwi.

Uniósł wyżej latarkę, przesuwając snop światła między drzewami.

Nie miał powodu wątpić. Właściwie był pewien. Kiedy skierował latarkę w górę, ku koronie jednego z drzew, poznał od razu, że to osika, potężna osika, rosnąca kilka metrów za głazem. Jej szemrzące gałęzie kołysały się wysoko ponad nim w ciemności jak zapowiedź jakiegoś zła, zbrodni, mroku i Bóg wie czego jeszcze. Przeszył go dreszcz. Potrząsnął głową. Urojenia, pomyślał. Czyste urojenia. Przesady, gadanie starych bab i fałsz. Obszedł głaz dookoła i oświetlił dolną część pnia. Ostrożnie rozsunął stopą warstwę liści leżących na ziemi, a kiedy pochylił się nieco niżej, zobaczył wyraźnie – tak wyraźnie, jak to tylko możliwe – że to coś bladobiałego, co wystawało spomiędzy gałązek, to ręka.

Zupełnie zwyczajna, dosyć szczupła i pozbawiona krwi mała dziewczęca dłoń. Zachował jeszcze na tyle przytomności, że zdążył odskoczyć kilka metrów w bok, gdzie między krzakami zwymiotował tartę z brokułami przygotowaną przez Deborah na kolację i osiem pralinek, które zdążył zjeść przed telewizorem.

Aspirant Kluuge zrozumiał, że właśnie w tej chwili – w tym samotnym, trwającym całą wieczność momencie gdzieś w lesie – przeżył coś, co położy się cieniem na wszystkich jego doświadczeniach. I tych złych, i dobrych. Minionych i przyszłych.

Stałem się dorosły, pomyślał zdziwiony. Dojrzały. Miał wrażenie, jakby został rzucony w obcy, opustoszały świat, w posępną i nieuniknioną rzeczywistość, której nigdy nie uda mu się zepchnąć na margines, zostawić za sobą czy zapomnieć.

Ale było w tym coś jeszcze: rodzaj gorzkiej satysfakcji, której nie dało się podważyć i z której nie do końca potrafił zdać sobie sprawę.

Jednak nie był to z pewnością odpowiedni moment na takie rozważania. Wewnętrzzną stroną dłoni wytarł sobie usta, wyłączył latarkę i szybko ruszył z powrotem do samochodu.

Reinhart zawsze twierdził, że istnieje tylko jedna niezawodna metoda, by śledztwo, które utknęło w miejscu, znowu nabrało wiatru w żagle. Trzeba wypić pół litra whisky i cztery piwa, a następnie położyć się do łóżka. Po maksymalnie dwudziestu minutach na sto procent zadzwoni telefon i dowiemy się, że znaleziono nowe zwłoki.

Aż tak źle nie było w ten ciepły wieczór w Sorbinowie, ale kiedy Van Veeteren przeczytał obie wiadomości od Kluugego, postanowił najpierw wziąć długi zimny prysznic, a dopiero potem wyruszyć w ciemność.

Nie powinno się przesypiać letniej nocy! – przypomniało mu się. Może lepiej by było, gdyby niektóre myśli pękały jak bańki mydlane przed dotarciem do powierzchni, doszedł do wniosku, stojąc pod strumieniem wody i próbując spłukać z twarzy burgunda. Bo miały cholerłą tendencję do zamieniania się w samospełniające się przepowiednie!

Van Veeteren zaczął stopniowo odzyskiwać trzeźwość myśli.

Co, u diabła, właściwie się tam stało?

Wiadomości zostawione przez Kluugego były klarowne jak rosół z kury. Zwłaszcza druga:

„Martwa dziewczynka w Waldingen. Wsparcie w drodze”.

Ciekawe, czy na miejscu jest już prasa, zastanowił się Van Veeteren i wyszedł z kabiny. W każdym razie nietrudno było zauważyć, że przytomna dziewczyna z recepcji właściwie zinterpretowała treść informacji od aspiranta. Przez chwilę miał ochotę zadzwonić do Przebudry, może jeszcze się nie położył, ale po dojrzałej refleksji postanowił zrezygnować. Lepiej okazać mu miłosierdzie i pozwolić spokojnie się wyspać; przecież czasy, kiedy pracował jako reporter frontowy, raczej już dawno miał za sobą.

Gdy wsiadł do taksówki czekającej przed hotelem, dochodziła

pierwsza. Według recepcjonistki druga wiadomość od Kluugego przyszła tuż przed północą, należało więc przypuszczać, że zarówno technicy, jak i lekarz dotarli do Waldingen przed nim. Jeśli się nie myli, powinni to być ludzie z Remborka, który leżał najbliżej, ale oczywiście Kluuge lepiej orientował się w tej materii.

Opadł na tylne siedzenie i podał kierowcy miejsce, do którego chciał zostać zawieszony.

– Co pan, u diabła, zamierza tam robić po nocy? – spytał otyły takśówkarz, ziewając tak szeroko, że na karku pojawiły mu się fałdy.

– Niech pan rusza – powiedział Van Veeteren. – I proszę wyłączyć radio i nic nie mówić.

Oprócz samochodu Kluugego na miejscu znajdowały się jeszcze trzy inne pojazdy. Dwa były rzeczywiście z Remborka; przyjechali nimi oprócz techników także dwaj funkcjonariusze policji kryminalnej. W trzecim siedział – co Van Veeteren stwierdził, podszedłszy bliżej i zajrzawszy do środka – młody mężczyzna z brodą, w okularach i z telefonem komórkowym w akcji. Komisarz wsunął rękę przez odsuniętą szybę i krótkim szarpnięciem uwolnił go od aparatu.

– Co, do diabła...?

– Van Veeteren, komisarz policji kryminalnej. Pan utrudnia nam śledztwo. Dla kogo pan pisze?

– Dla „Allgemejne”.

– *All right*. Jeśli wstrzyma się pan przez godzinę, obiecuję dostarczyć panu rzetelnych informacji.

Młody reporter zawahał się.

– Skąd mam wiedzieć, że pan mnie nie podpuszcza?

– Ja nigdy nikogo nie podpuszczam – odparł Van Veeteren. – Może pan spytać swojego naczelnego. Zna mnie.

Z ciemności wyłonił się Kluuge.

– Ona leży tam dalej – poinformował, wskazując wzdłuż dróżki. – Jeden z ludzi z Remborka właśnie ją ogląda... no i są też technicy od zabezpieczania śladów... ta mała została uduszona i zgwałcona, przynajmniej tyle już wiadomo.

– Jak długo już tu jesteście? – spytał komisarz.

Kluuge spojrział na zegarek.

– Jakież pół godziny. A znalazłem ją mniej więcej dwadzieścia po jedenastej.

Van Veeteren wskazał głową w stronę obozu. W niektórych oknach głównego budynku paliło się światło, ale skrzydła były pogrążone w ciemności.

– A co z tamtymi?

– Nie wiem dokładnie – odparł Kluuge. – Nasz człowiek właśnie do nich poszedł, jeszcze nie zdążyłem sprawdzić. Czy zaprowadzić komisarza na... na miejsce?

Van Veeteren zapalił papierosa.

– Na razie nie. Niech lepiej technicy popracują w spokoju. Ja wolałbym najpierw sprawdzić sytuację w zgromadzeniu. Poczekaj na mnie w samochodzie. Pokażesz mi wszystko później.

Kluuge skinął głową i otworzył drzwi samochodu. Komisarz ruszył przed siebie, lecz po chwili się zatrzymał.

– A jak ty się czujesz? – spytał.

– Ujdzie – odpowiedział Kluuge.

– Rozumiem. Zostań w aucie i postaraj się ogrzać. Zobaczę, czy da się zorganizować jakąś kawę.

Zostawił aspiranta i samochody, po czym poszedł w stronę zabudowań. Kilka razy potknął się o korzenie i niemal przewrócił, ale w końcu dotarł cały i zdrowy na taras. Zapukał w jedno z oświetlonych okien i został wpuszczony do środka przez posępną siostrę Madeleine, ubraną w duży, bezkształtny szlafrok kiepskiej jakości. Nie raczyła obdarzyć go ani jednym spojrzeniem, ani choćby jednym słowem, tylko w milczeniu i boso zaprowadziła go do małego pokoju, który służył chyba za biuro. Na biurku leżały porozrzucane papiery, kilka segregatorów, poza tym stos Biblii. Pozostałe dwie siostry siedziały na krzesłach w podobnych płaszczach kąpielowych, a pod oknem stał policjant z Remborka. Nie było wątpliwości, że właśnie był w trakcie przesłuchiwania kobiet.

Dało się także zauważyć, że raczej niewiele wskórał.

Van Veeteren rozejrzał się po nędznym pokoiku, po czym poprosił kolegę o chwilę rozmowy na osobności i wyprowadził go na korytarz.

– Jak się nazywasz?
– Servinus. Inspektor kryminalny.
– Van Veeteren – przedstawił się komisarz. – Mówmy trochę ciszej.
Tamte w środku nie muszą wszystkiego słyszeć.
Wskazał na zamknięte drzwi. Servinus kiwnął głową.
– Jak długo je przypiekasz?
Mężczyzna zerknął na zegarek.
– To za dużo powiedziane. Najwyżej pięć minut. Jak przyszedłem, spały, więc trochę to trwało... ale wydaje mi się, że mamy mały problem.
– Tak? – odezwał się Van Veeteren. – A jaki?
– One milczą.
– Jak to?
Servinus podrapał się z irytacją po karku.
– Wygląda na to, że wszystkie postanowiły, że nie będą z nami współpracować.
– Co, u diabła...?
– No właśnie. Po prostu nie odpowiadają na pytania. Czy pan komisarz orientuje się w ogóle, co to jest za miejsce, bo właściwie... one sprawiają wrażenie... jak by tu powiedzieć...
– Wiem – przerwał mu komisarz. – Porozmawiamy o tym innym razem. Gdzie jest Jellinek? To teraz najważniejsze.
– Kto?
– Oscar Jellinek. Gdzie on się podział?
Servinus przestąpił z nogi na nogę i zrobił zafrasowaną minę.
– Kto to taki? Jestem tu zupełnie nowy.
– Chcesz powiedzieć, że nie spotkałeś Jellinka?
Servinus pokręcił głową.
– A one nic o nim nie powiedziały?
– Ani słowa. One, szlag by to trafił, w ogóle nie otworzyły ust.
Komisarz splótł dłonie i rzucił pod nosem parę ostrych przekleństw.
– Chodź – zwrócił się do młodego mężczyzny. – Muszę zobaczyć to na własne oczy.
Ruszył szybko z powrotem w stronę pokoju. Otworzył drzwi, wszedł do środka i stanął w rozkroku pośrodku.

– *All right* – burknął. – Gdzie się podziewa wasz złoty chłopiec?

Siostry zsunęły się na krzesłach bliżej siebie, ze wzrokiem utkwionym w swoich bosych stopach. Komisarz odczekał pięć sekund, zaciskając szczęki tak mocno, że aż zazgrzytał zębami. Potem podszedł do biurka i uderzył pięścią w blat.

– Gdzie jest Oscar Jellinek?! – wrzasnął. – Do jasnej cholery, odpowiedzcie na moje pytanie. W lesie leży zamordowana dziewczynka, została zgwałcona i uduszona, więc przyjmijcie do wiadomości, że cała ta wasza przeklęta sekta od tej chwili nie istnieje! No więc?!

Madeleine Zander powoli uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Niech pan się zastanowi, co pan mówi, komisarzu – odezwała się cichym głosem. – Jesteśmy niewinne i nie ma pan prawa bezpodstawnie nas oskarżać. Postanowiłyśmy, że nie będziemy z panem współpracować.

– Nie mamy zamiaru odpowiadać na pana pytania – doprecyzowała Ulrike Fischer.

– Gdzie on jest? – przerwał im Van Veeteren. – Macie trzy sekundy na odpowiedź!

Madeleine Zander odchrząknęła i splotła dłonie na podolku. Dwie pozostałe siostry zrobiły to samo. Opuściły wzrok i zdawały się pogrążone we własnych myślach. Pewnie modlą się do swojego podejrzanego pana, pomyślał komisarz. Niech go szlag trafi!

– Ukrywacie go.

Żadnej reakcji.

Van Veeteren ugryzł się w język i zaczął się zastanawiać. Spojrzał na zegarek. Za dwie minuty druga.

– Myślałem, że na zmianę chodzicie do niego do łóżka. Czyja kolej była dzisiaj?

Madeleine Zander uniosła wzrok i prychnęła z pogardą.

– A może wszyscy razem leżycie w jednym łóżku?

Rzucił okiem na inspektora Servinusa, który wyglądał na coraz bardziej zszokowanego. Van Veeteren poczuł nagle, jak burgund znowu rozpala mu policzki. A może to tylko wściekłość i wysokie ciśnienie?

– Uważacie zatem, że on zniknął? – spytał.

Żadna z kobiet nie odpowiedziała. Komisarz przełamał wykałaczkę

i rzucił kawałki na podłogę.

– Posłuchajcie uważnie! Jedna z waszych podopiecznych leży zamordowana w lesie. Wasz przeklęty superkapłan wziął nogi za pas. Mam w dupie wasze pobożne wnioski, jakie wy z tego wyciągacie, wiem tylko, jakie są moje wnioski... Servinus!

Inspektor drgnął.

– Tak.

– Zostańcie tutaj i pilnujcie tych trzech gracji. Jak tylko przyjedzie policyjna furgonetka, zamkniemy je w niej. A te biedne dzieci niech na razie jeszcze śpią. Nie wiesz, czy zjawią się tu jakieś twoje koleżanki?

– Przypuszczam, że tak – odpowiedział Servinus. – Kluuge na pewno po nie posłał.

– To dobrze – rzekł komisarz.

Zrobił krótką pauzę. Usiłował wyjrzeć w czarną jak smoła noc, a jednocześnie dla uspokojenia trzy, cztery razy zaczerpnął głęboko powietrza. Potem odwrócił się znowu do kobiet.

– Mam obowiązek poinformować was, że zostanieie zatrzymane jako podejrzane o popełnienie różnych czynów karalnych, których nie mam ochoty teraz wszystkich tu wyliczać. Zabójstwo, pomaganie w zabójstwie, ukrywanie przestępstwa – to tylko kilka z nich...

– Nie ma pan prawa – zaczęła Madeleine Zander.

– O ile dobrze zrozumiałem, postanowiła pani milczeć – przerwał jej Van Veeteren. – Więc proszę, żeby przestrzegąła pani tego, co obiecała. Czyli proszę trzymać gębę na kłódkę!

Servinus zakaszłał niepewnie. Komisarz jeszcze raz głęboko weszchnął, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Niech to szlag, pomyślał, kiedy znowu znalazł się w ciemności. To jest jak jakiś film... kiepskie filmidło klasy B, byle jak zmontowane i bez synchronizacji dźwięku. Co za cholerne gówna!

Nie można wykluczyć, że to zasługa wina, bo mimo że było już po drugiej w nocy, komisarz nie czuł się ani trochę zmęczony. Wręcz przeciwnie. Raczej pełen energii i sił do działania.

Potem w końcu uprzytomnił sobie, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

Pora obejrzeć to nieszczęście, postanowił, wróciwszy do samochodów. Nie miał innego wyjścia.

Jak zawsze.

Reporter z „Allgemeine” wyraźnie dawał do zrozumienia, że chce iść z nim, jednak komisarz zdecydowanie wepchnął go z powrotem do auta. Zabrał ze sobą Kluugego, który szedł przed nim i oświetlał mu drogę latarką. Van Veeteren przypomniał sobie, że bąknął coś wcześniej o kawie, ale miał nadzieję, że wystarczyła sama obietnica i okazanie troski. Na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że aspirant jest w lekkim szoku z powodu dzisiejszych przeżyć, czemu trudno się było dziwić.

Technicy – dwaj młodzi mężczyźni w zielonych kombinezonach – odgradzili kilkumetrowy kwadrat czerwono-białą taśmą. Na statywach stało kilka dużych reflektorów rzucających jaskrawe światło na miejsce, gdzie znaleziono zwłoki. Van Veeteren zatrzymał się w odległości kilku metrów, bo nie musiał widzieć za dużo. Podszedł do niego mężczyzna około pięćdziesiątki o rzadkich włosach i przedstawił się jako Suijderbeck, komisarz kryminalny z Remborka.

– Van Veeteren. Jak to wygląda?

Suijderbeck wzruszył ramionami.

– Koszmarnie. Dziewczynka w wieku trzynastu, czternastu lat. Zgwałcona. Wepchnięta tchawica. Jeśli miała szczęście, kolejność była odwrotna.

– Co poza tym?

– Prawdopodobnie została po wszystkim tu przywleczona – wyjaśnił Suijderbeck. – Żadne ślady nie wskazują na to, że ten dramat odbył się tutaj. Ale koledzy jeszcze nie skończyli.

– Sperma?

Suijderbeck pokręcił głową.

– Raczej nie.

– Ale została zgwałcona?

– W każdym razie doszło do penetracji. Za pomocą czegoś. Są też ślady uderzeń w różnych miejscach.

Van Veeteren wzdrygnął się. Za plecami jego rozmówcy wyłonił się starszy, zgarbiony mężczyzna. Przedstawił się jako doktor Monsen

i wydał się komisarzowi skądś znajomy. Jak się okazało, wcale się nie mylił.

– Van Veeteren?! – krzyknął doktor, gdy dotarło do niego, z kim się przywitał. – Co, u diabła, pan tu robi? Dostał pan przeniesienie?

Komisarz zignorował jego żart.

– Czy wie pan, o co tu naprawdę chodzi? – spytał Monsen. – To miejsce tutaj i...?

– Porozmawiamy o tym później.

– Mam nadzieję. Nie chce pan rzucić okiem?

Van Veeteren westchnął i włożył ręce do kieszeni.

– Chyba nie mam wyboru.

Obszedł dookoła głaz i jednego z przycupniętych techników. Skierował wzrok na stożek światła.

Oparte o pień dużej osiki – groteskowo oświetlonej przez mocne reflektory – leżały drobne dziewczęce zwłoki. Van Veeteren miał dość czasu, żeby przygotować się na ów widok, jednak niewyretuszowana rzeczywistość trafiła go jak cios pięścią w sam żołądek. Białe ciało w kilku miejscach – głównie w okolicy pachwin oraz na szyi i klatce piersiowej – pokryte było dużymi ciemnymi plamami, a na udach widoczne były smugi zaschniętej krwi. Głowa leżała mocno odchylona na bok, język trochę wystawał spomiędzy wąskich warg, a oczy zamarły w osłupiałym przerażeniu.

Clarissa Heerenmacht. Pamiętał nawet jej nazwisko.

Policzył szybko i doszedł do wniosku, że musiało minąć mniej więcej półtorej doby od chwili, kiedy rozmawiał z nią w dużej sali w obozowym budynku.

Zakręciło mu się mocno w głowie, a potem poczuł w ustach gorzki smak żółci, który przywrócił go do rzeczywistości.

Coś tu się nie zgadza, pomyślał i wycofał się z powrotem w ciemność.

IV

23-28 lipca

Las był ciemny i gęsty.

Po drodze nie spotkał żadnego człowieka ani zwierzęcia, ale z od-dali słyszał dźwięk kościelnych dzwonów. Może miały wskazać mu kierunek, którego potrzebował. Lecz ich odgłos był daleki i niejedno-stajny, jakby co jakiś czas się zmieniał, poza tym jego własne kroki przez zarośla i ciężki oddech zagłuszały ich melodię. Co rusz musiał się zatrzymywać, żeby przyłożywszy dłoń za uchem, nasłuchiwać bi-cia dzwonów. I za każdym razem, kiedy przystanął, nie mógł się po-zbyć uczucia, że kręci się w kółko, że znowu stoi w tym samym miej-scu co kilka minut wcześniej.

Pod tą samą osiką; poblądłe dziewczęce ciało pokryte ciemnymi plamami wydawało mu się co najmniej znajome. A może cały ten las jest pełen zamordowanych nastolatek, co jednak chyba można by uznać za przesadę. Wytarł sobie pot z czoła rękawem kurtki i popędził dalej; potykał się o gałęzie, kamienie i korzenie, aż w końcu odgłos dzwonów zrobił się trochę wyraźniejszy. W ciągu kilku chwil dotarł do skraju lasu i ujrzał kościół nisko w dolinie. Ostatni goście właśnie zbliżali się do niego. Puścił się biegiem, pokonał pozostałe kilkadzie-siąt metrów po zboczu i zdążył tuż przed zatrzaśnięciem się ciężkich drzwi.

W końcu to jego własny ślub; mimo to nie odczuwał satysfakcji, że dał radę i zdążył na czas. Raczej tylko smutną rezygnację, która cięż-kim brzemieniem przygniatała mu ramiona. Czuł pulsowanie w skro-niach, kiedy tak stał z tyłu w przytłumionym świetle, starając się uspokoić oddech. Jego narzeczona była już na miejscu przy ołtarzu. Miała na sobie szatę z jasnego bawełnianego materiału, ale jej bujne włosy lśniły obiecująco kasztanowym brązem. Nie wiedział, czy to do-brze, czy źle. Biorąc wszystko pod uwagę. Zgromadzeni ludzie siedzieli najwyraźniej pogrążeni w czymś w rodzaju modlitwy, dzwony zaś nieprzerwanie grzmiały dalej, gdy on – nie bez pewnej

godności – ruszył środkowym przejściem w stronę przeznaczonej mu małżonki. Kiedy ostrożnie rzucił okiem na boki, stwierdził, że w ławkach nie ma nikogo znajomego. Same obce i zacięte twarze, rząd za rządem; ani jedna osoba nie odpowiedziała na jego spojrzenie choćby przelotnym zerknięciem.

W końcu dotarł do ołtarza i z pewnym ociąganiem położył dłoń na ramieniu narzeczonej. Odwróciła się tak gwałtownie, że aż tania peruka przekrzywiła się jej na głowie. Zobaczył wtedy, że to Renate. Ta sama przekłeta stara Renate jak zawsze. Ze złośliwym uśmiechem na ustach syknęła: „Mam cię wreszcie! Tym razem już mi nie uciekniesz!”. A kiedy z rozpaczą i desperacją zwrócił się w stronę księdza, który właśnie mył ręce w umywalce z żyłkowanego marmuru i zamierzał za chwilę zacząć ceremonię, zobaczył, że kapłan ma długie i farbowane mysie włosy, sklezione taśmą oprawki okularów i że jest w zмовie z narzeczoną. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Uśmiechnęli się bezczelnie do siebie, ona i ksiądz, on zaś w tym momencie zdał sobie sprawę, że przegrał. Cały las był pełen martwych dziewczynek, a on pod okiem tego przekłatego przywódcy sekty miał ożenić się jeszcze raz z Renate, i choć gorączkowo obszukał wszystkie kieszenie garnituru, nigdzie nie mógł znaleźć swojej służbowej broni. Na pewno zostawił ją w którejś szufladzie biurka w pokoju na kominde w Maardam, tak jak zawsze, i kiedy zrezygnowany – w rozciągniętej w nieskończoność migawce – opadł na kolana obok triumfującej narzeczonej, głos dzwonów stał się jeszcze mocniejszy.

Wznosił się coraz wyżej w polifonicznych wariacjach, które starego mistrza Bacha doprowadziłyby pewnie do obłędu, aż w końcu wszystko stało się tak dziwaczne i nie do zniesienia, że zrozumiał, iż musi położyć kres tej męce, jeśli nie chce stracić ostatnich kropli swoich życiowych soków.

Wyciągnął rękę, podniósł słuchawkę i odpowiedział.

To był Kluuge.

Komisarz podciągnął się do pozycji półsiedzącej i odchrząknął tak głośno, że nie usłyszał pierwszego zdania aspiranta.

– Co powiedziałeś?

– Dzień dobry, panie komisarzu – powtórzył Kluuge. – Obudziłem pana?

– Ależ skąd – odpowiedział Van Veeteren przekonująco i sięgnął po zegarek leżący na nocnej szafce.

– Jest wpół do dwunastej – poinformował Kluuge. – Pomyślałem, że może warto by było się już zabrać do roboty. Pozostałych zwołałem na drugą... na małe podsumowanie.

Pozostałych? – pomyślał ze zdziwieniem Van Veeteren, ale powoli zaczął sobie przypominać wydarzenia i bohaterów ostatniej nocy. Szybka kalkulacja uzmysłowiła mu także, że miał za sobą co najwyżej cztery godziny snu. Jak Kluuge to zrobił, że brzmiał teraz tak świeżo i rześko, to była dla niego zagadka. Wolał nawet nie myśleć o tym, że mogło to mieć związek z wiekiem i ogólną kondycją. W każdym razie nie w tym momencie. Odchrząknął jeszcze raz.

– W porządku – powiedział.

– Czyli widzimy się na komisariacie – kontynuował Kluuge. – Tylko jest jeszcze pewna sprawa... którą chciałbym omówić z komisarzem wcześniej.

– O co chodzi? – spytał Van Veeteren.

Na kilka sekund w słuchawce zaległa cisza.

– Nie bardzo wiem, jak mam to powiedzieć, chodzi o odpowiedzialność i...

– O odpowiedzialność?

– No tak, to znaczy kto ma kierować dochodzeniem... to oczywiste, że pan komisarz ma więcej doświadczenia, no i w ogóle, ale tak sobie pomyślałem, żeby panu zaproponować, żebym to ja je przejął. W końcu zastępuję szefa miejscowej policji i wszystko dzieje się, że tak powiem, na moim terenie, więc...

Świetnie, pomyślał komisarz. Kontynuuj, młody człowieku!

– ...więc jeśli pan komisarz nie miałby nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Van Veeteren.

– Poza tym uważam, że szkoda byłoby przerywać urlop Malijsenowi.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – odparł komisarz.

W stu procentach, dodał w myślach.

– Ale naturalnie będę wdzięczny, jeśli pan komisarz zostanie i wesprze mnie... swoim doświadczeniem i w ogóle.

– Jasne – rzekł Van Veeteren. – Nie ma o czym mówić. Czyli o której, powiedziałaś? O drugiej, tak?

– Godzina druga – potwierdził Kluuge. – Na wpół do piątej zwołałem poza tym konferencję prasową. Byłbym wdzięczny, gdyby pan komisarz mógł też w niej wziąć udział.

– Pożyjemy, zobaczymy – rzucił Van Veeteren. – Przed południem nie wydarzyło się nic istotnego?

– Niespecjalnie – odparł Kluuge. – Kobiety zgodnie z ustaleniami zostały umieszczone w Wolgershuus, każda oddzielnie, a dzieci są nadal w Waldingen. Na miejsce przyjechały nowe policjantki, żeby zmienić te z nocy, a o pierwszej mają zjawić się dwie psycholożki.

– I nadal nikt nic nie powiedział?

– Nie. Wszystkie wciąż milczą. Może powinniśmy się wspólnie zastanowić, w jaki sposób prowadzić dalej przesłuchania. Jak pan komisarz uważa? To wszystko wydaje się trochę zawikłane...

– Na pewno – westchnął Van Veeteren. – Ale miejmy nadzieję, że to tylko kwestia czasu.

– Możliwe – powiedział aspirant. – Pewnie łatwiej będzie złamać każdą z tych małych niż choćby jedną z tamtych zwariowanych bab.

– Uważaj na słowa – przestrzegł go komisarz. – W każdym razie przynajmniej w obecności dziennikarzy powinieneś się pilnować. Oni lubią cytować. Milczenie bywa czasami złotem, nie tylko jeśli chodzi o sekrety.

– Okej – zgodził się Kluuge. – Zapamiętam to sobie. Czyli widzimy się za dwie godziny.

– Zgadza się – potwierdził Van Veeteren.

– Dziękuję – powiedział jeszcze raz aspirant.

Zwariowane baby? – pomyślał komisarz, odkładając słuchawkę.

Nie podobało mu się to. Ale czy samo zjawisko, czy też dobór słów aspiranta, którego nie pochwalał, sam nie wiedział.

Burza nadciągała od południowego zachodu, od strony Waldingen. Kiedy jadł swój śniadaniobiad na tarasie hotelu, mógł obserwować,

jak szybko nawałnica przesuwa się znad lasu po drugiej stronie jeziora. Najpierw pojawiły się same błyskawice i grzmoty, a dopiero po kilku chwilach na falisty plastikowy dach spadły ciężkie krople, temperatura zaś w jednej minucie obniżyła się co najmniej o dobre dziesięć stopni.

Ulewa trwała nie dłużej niż kwadrans, ale gdy była najgwałtowniejsza, Van Veeteren miał wrażenie, że wcześniej tak zdradliwie spokojna tafla wody u stóp hotelu zamieniła się nagle w kocioł czarownicy, bo przeciwległy brzeg zniknął za ścianą spienionych i rozszalałych mas wody.

Siła żywiołu, pomyślał komisarz. O, tak.

Kiedy wszystko minęło, podpisał rachunek i z ulgą stwierdził, że wreszcie jest czym oddychać. Powietrze tak się zmieniło, że po tygodniu otępiającego niedostatku tlenu w mózgu nagle wydawało się możliwe jasne i trzeźwe rozumowanie oraz podążanie za tokiem własnych myśli.

Czyli chyba raczej nie jestem stworzony do śródziemnomorskich warunków, stwierdził ponuro i podniósł się od stolika.

Nie ulegało wątpliwości, co ulewa oznaczała dla psów policyjnych pracujących w Waldingen. Jeśli w lesie w ogóle były jakieś ślady, to deszcz na pewno nie ułatwi ich wytropienia.

Bogowie bawią się nami, przebiegło mu przez głowę. Pociągają za sznurki, a my posłusznie kręcimy się w kółko. Spłukują wszystko deszczem, a my stoimy jak zbite psy.

Z aktówką bez rączki pod pachą i obracając dwie wykałaczki w ustach, ruszył do centrum, w stronę Kleinmarckt. Starał się omijać rynsztoki i kałuże. System odprowadzania nie był w stanie przyjąć tak potężnych mas wody, toteż kiedy komisarz mijał Florian's, miał już całkowicie przemoczone buty. Nie było to jednak szczególnie nieprzyjemne uczucie, stwierdził zaskoczony – lecz raczej odświeżające. Dlatego kiedy kilka minut później wszedł na miejscowy komisariat, czuł się skoncentrowany i gotowy do działania. Przygotowany na wszystko, co mogło go spotkać.

Wcześniej czy później rozwikłamy to gównno, pomyślał.

Servinus i Suijderbeck zostali, jak się zdaje, na dłużej oddelegowani do Sorbinowa. Gdy siedzieli razem pod olejnym portretem poprzednika Malijsena, niejakiego J. Stagge, Van Veeteren od razu poznał, że obaj mają za sobą chyba jeszcze mniej godzin snu niż on. A może nawet wcale. Niewykluczone, że od szóstej nad ranem, gdy rozstał się z nimi na terenie obozu, oni dwaj cały czas aż do tej pory byli na nogach. Suijderbeck na wpeł leżał w swoim kącie z jedną nogą dziwnie i nienaturalnie wyciągniętą przed siebie. Dopiero teraz komisarz spostrzegł coś w rodzaju protezy, która zaczynała się chyba tuż pod kolaniem. To, że nie zauważył jej przez całą noc, świadczyło niewątpliwie o braku koncentracji.

Swoją drogą nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek spotkał funkcjonariusza policji kryminalnej z drewnianą nogą. Ciekawe, jakie okoliczności mogły do tego doprowadzić, przemknęło mu przez głowę. Przypuszczalnie żadne przyjemne, jednak to nie był właściwy moment, aby się tym zajmować.

W drugim końcu stołu siedział Kluuge z dużym notesem otwartym przed sobą. Wyglądał równie rześko, jak brzmiał przez telefon, w związku z czym Van Veeteren uznał, że metamorfoza wciąż trwa. Skinął wszystkim na dzień dobry i zajął jedyne wolne krzesło.

– Dzień dobry – powiedział Kluuge. – No dobrze, czyli możemy zaczynać.

– Czy to już cały zespół? – spytał komisarz.

Kluuge pokręcił głową.

– Nie, jeszcze dwie osoby są w Waldingen. Panie inspektorki z Haldam. No i Matthorst w Wolgershuus ma oko na tamte kobiety... poza tym kilku ludzi jest wciąż w lesie i przeszukuje teren, prawdopodobnie do wieczora skończą.

– Prawdopodobnie – powiedział Van Veeteren, patrząc na swoje mokre buty.

– Może podsumujemy wszystko, co wiemy do tej pory – zaproponował Suijderbeck, starając się stłumić ziewanie. – Muszę jak najszybciej choć trochę się zdrzemnąć. Myślę, że jeszcze parę dni tu zostaniemy, jak uważasz?

Spojrzał na kolegę na kanapie.

– Hmm – potaknął Servinus, również ziewając. – Tak czy siak, nie zamierzam wsiadać teraz do samochodu i jechać z powrotem do Remborka. Parszywa historia, prawda?

– Owszem – podjął Kluuge. – Myślę, że powinniśmy zacząć od ustalenia faktów, co panowie na to? No więc ta dziewczynka nazywa się Clarissa Heerenmacht i według naszych dotychczasowych ustaleń została zamordowana w niedzielę wieczorem... innymi słowy, przedwczoraj. Kiedy ją znalazłem, wszelkie ślady *rigor mortis* już ustąpiły, czyli to musiało stać się nie później niż o dwudziestej drugiej. Tak twierdzi lekarz. Ale prawdopodobnie nie przed szóstą, choć co do tego nie mamy jeszcze pewności. O której pan komisarz z nią rozmawiał?

– Około drugiej – powiedział Van Veeteren.

– Brutalnie zgwałcona z użyciem przemocy – kontynuował Kluuge. – Udużona w wyniku mocnego i długotrwałego zaciskania tchawicy, przypuszczalnie w innym miejscu, niż leżała. Nie znaleziono ubrania. Na ciele nie stwierdzono żadnych odcisków palców... ogólnie rzecz biorąc, to mniej więcej wszystko, co do tej pory mamy. Jakies komentarze?

– Brutalnie zgwałcona...? – powtórzył Suijderbeck. – Czyli mówiąc inaczej, nie jest wcale pewne, że mamy tu do czynienia tylko ze zwykłym gwałtem. Myślę, że powinniśmy to mieć stale z tyłu głowy.

Van Veeteren potaknął. Kluuge zapisał coś w swoim notesie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Servinus, patrząc sceptycznie na kolegę.

– Nie wiem – odparł Suijderbeck. – Myślałem tylko, że może warto to zapamiętać.

Wyjął paczkę papierosów i rozejrzał się pytającym wzrokiem wokoło. Kluuge skinął głową i przysunął mu popielniczkę. Van Veeteren dał do zrozumienia, że nie odmówi, jeśli też zostanie poczęstowany.

– Skontaktowałeś się z rodzicami? – spytał, zaciągawszy się głęboko.

– Nie – powiedział Kluuge. – Zresztą ojca ta mała i tak nie ma. To znaczy już nie ma. A matka podróżuje autokarem po Indiach, czyli może jeszcze trochę potrwać, zanim się z nią skontaktujemy. Ale gdzie tutaj ciotka, mieliśmy szczęście, że trafiliśmy chociaż na nią.

– Szczęście? – zdziwił się Suijderbeck. – Dlaczego?

Dobre pytanie, pomyślał Van Veeteren. Kluuge zawahał się chwilę.

– No cóż, przynajmniej pomoże przy identyfikacji... żeby wszystko było zgodnie z przepisami, chyba musi być ktoś z rodziny.

– Tak, tak – potaknął Servinus, poprawiając się na kanapie. – Ten szczegół da się w razie czego jakoś załatwić. Ale czy nie pora już, żebyście wprowadzili nas w cały ten bigos. Szczerze mówiąc, mam poczucie, jakbym poruszał się trochę po omacku...

– Oczywiście – odpowiedział Kluuge. – Po prostu tyle się działo ostatniej nocy. No więc, jak by tu powiedzieć... Wszystko zaczęło się mniej więcej tydzień temu od anonimowego telefonu jakiejś kobiety...

Van Veeteren oparł się wygodnie i przymknął oczy, podczas gdy aspirant rekapitulował kolegom z Remborka wcześniejsze wydarzenia. Usiłował wyłączyć słuch, zastanawiając się nad tym, ile to już razy w czasie swojej wieloletniej służby w policji kryminalnej uczestniczył w takich zgromadzeniach.

Przez tyle lat.

Takich posiedzeń były setki albo i tysiące, ale mimo to musiał przyznać, że nie było wcale niemożliwe przywołanie ich po kolei w pamięci. Przypadek za przypadkiem. Gdyby tylko miał dostatecznie dużo czasu... bo w tym otwarciu gry było zawsze coś szczególnego, wręcz niepowtarzalnego... we wstępnej fazie, kiedy niemal cała logiczna struktura, kryjąca się zawsze za każdym przestępstwem – podobnie jak za każdym ludzkim działaniem i zachowaniem – pozostawała jeszcze ukryta i niedostępna. Zakamuflowana i zamaskowana.

Chociaż może określenie „otwarcie gry” jest w tym kontekście całkowicie błędne. Czyż nie chodziło raczej o przeciwieństwo? Jedyne, nad czym panowali, to ostatni ruch. A wszystko sprowadzało się właściwie do tego, aby mając za punkt wyjścia końcowe ustawienie figur

– z otoczonym i zagrożonym matem królem (zamordowanym docentem, otrutym właścicielem restauracji czy zgwałconą dziewczynką...)
– zrekonstruować całą partię.

Tak by w końcu udało się na tyle rozpędzić znad szachownicy dym po prochu i opary mgły, aby móc dojrzeć, co, u diabła, tak naprawdę się zdarzyło. I dlaczego się zdarzyło.

A potem – na sam koniec – unieść wzrok i zidentyfikować przeciwnika po drugiej stronie szachownicy.

Sprawcę.

Hm, może to trochę przekombinowane, pomyślał, ale chyba to wcale nie najgorszy sposób opisanego tego, co jest jego powołaniem na tej ziemi. Zanotował sobie w pamięci, aby później kiedyś jeszcze raz rozważyć i prześledzić dalej tę myśl, gdy nadejdzie już pora na... pamiętniki, które wyraźnie coraz częściej zaprzętały mu głowę. To rzeczywiście dosyć niezwykle, jak często ostatnio o nich myślał. Czy to tylko zbieg okoliczności, czy coś więcej? Wskazówka? Sugestia? Że pora, by tak rzec, odtrąbić odwrót?

– Ale to może znaczyć – Servinus przerwał mu rozważania – że jest jeszcze jedna!

Van Veeteren otworzył oczy. Servinus uniósł ramiona. Wyglądał tak, jakby mu było zimno. Suijderbeck gapił się w sufit. Kluuge oparł się wygodnie na krześle i chyba już skończył swój raport.

– No właśnie – odezwał się komisarz, odchrząknąwszy. – Wiele przemawia za tym, że ona jest w dobrym towarzystwie.

– Co za gówno – powiedział Suijderbeck.

– A one wciąż milczą, tak? – spytał Van Veeteren i złamał jedną z wykałaczek.

Kluuge potaknął.

– I siostry, i te małe. Prawdopodobnie jest dokładnie tak, jak mówił pan komisarz: ktoś im nawkładał do głów, że to rodzaj próby, przez którą przechodzą. Żeby mogły wejść do zgromadzenia albo do nieba czy diabli wiedzą gdzie jeszcze... Chodzi o to, żeby okazały się silne i w żaden sposób z nami nie współpracowały. Pewnie przeszły porządne pranie mózgu i usłyszały niejedną obietnicę, co je czeka, jeśli

tylko okażą się posłuszne i będą trzymały język za zębami.

– Może życie wieczne – wtrącił Servinus.

– Czyli albo my, albo one?

Kluuge znowu pokiwał głową.

– Coś w tym rodzaju – rzekł komisarz. – To jest decydujący spór. Czyste Życie kontra Inny Świat.

– Co takiego? – dopytał Servinus.

– No tak, oni kierują się swoimi kryteriami. Jednak największe dziwactwa prawdopodobnie za kilka dni się skończą... choćby z braku pożywki. Ale to jest tylko moja osobista opinia.

– Czy komisarz chce przez to powiedzieć, że mamy ograniczyć się do czekania? – spytał Kluuge.

Van Veeteren podrapał się w głowę i zastanowił się kilka sekund, zanim odpowiedział:

– Nie wiem – przyznał. – Może jest wśród nich jakiś agitator. Tak czy inaczej, musimy mieć oczy otwarte i izolować prowodyrów. Jak na przykład taką Bellę Moulder.

Kluuge zanotował. Servinus westchnął ciężko i przetarł sobie oczy, żeby nie zasnąć.

– Swoją drogą, czy to rozsądnie trzymać je tam w lesie? – zapytał. – Poza tym czy to w ogóle będzie dalej możliwe? Bo dziś wieczorem i jutro rano cała ta sprawa pojawi się w gazetach i wtedy od razu przyjadą tu rodzice... zresztą chyba już było coś na ten temat w radiu, tak?

– To jest faktycznie problem – przyznał Kluuge. – Chociaż od strony praktycznej wszystko załatwiliśmy. Mogłyby zostać tam jeszcze przynajmniej parę dni. Jedzenia i... w ogóle wystarczy.

– Ale oni to takie *wackoos* – kontynuował Servinus. – Mam na myśli rodziców.

– *Wackoos*? – dopytał Kluuge.

– Potulne owieczki – wyjaśnił Servinus. – Wolą beczeć, niż myśleć.

– Jest jasne jak słońce, że niedługo zaczną mówić – stwierdził z irytacją Suijderbeck. – Przecież wiedzą, że jedna z ich koleżanek została zamordowana... a może nawet dwie. Przecież nie są chyba tak głupie, żeby nie rozumieć...

– Tak, czego? – wszedł mu w słowo komisarz.

– Cholera jasna – odpowiedział Suijderbeck. – Jestem już tak zmęczony, że powoli zaczynam widzieć wszystko podwójnie. Naprawdę uważa pan całkiem serio, że ten Jellnek...

– Jellinek – poprawił go Kluuge.

– ...że on ma aż taką charyzmę, że założył kaganiec na usta swoim trzem kochankom i tuzinowi nastolatek, podczas gdy sam wziął nogi za pas i zniknął z miejsca zbrodni, i gdzieś bezpiecznie się ukrył? Nieprawdopodobne, nie uwierzę w to, nawet jak już się wyśpię i zacznę trzeźwo myśleć.

– Hm – odezwał się Kluuge. – Sam nie wiem. Ale to naprawdę jest przedziwna sekta, powinniśmy o tym pamiętać.

– *All right* – westchnął Suijderbeck. – Może faktycznie jest tak, jak mówicie. Więc co, u diabła, powinniśmy zrobić?

– Hm – powtórzył Kluuge, spoglądając na zegarek. – Najpierw musimy odbębnić konferencję prasową, a potem, jak przypuszczam, nie mamy nic innego do wyboru, jak tylko je przesłuchiwać i przesłuchiwać, aż wreszcie pękną, i te małe, i tamte damy w Wolgershuus... albo przynajmniej jedna z nich się złamie i otworzy usta. Jak pan komisarz uważa?

Van Veeteren wstał i podszedł do okna. Odwrócił się plecami do pozostałych i spojrzał na niespokojne niebo, kołysząc się na palcach.

– No cóż – odezwał się po chwili. – Oczywiście, że musimy je przesłuchiwać i jednocześnie czekać. Ale nie wolno nam też nie zadać sobie pytania, co, do wszystkich diabłów, tak naprawdę się tam zdarzyło. Albo przynajmniej co nam się wydaje, że mogło się zdarzyć. Ja osobiście mam pewne wątpliwości.

– Słucham? – spytał Kluuge. – Co komisarz ma na myśli?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Słynny komisarz policji kryminalnej stał dalej tam, gdzie stał, i kołysał się w tę i z powrotem z rękami założonymi na plecach. Suijderbeck zapalił właśnie swojego czwartego papierosa w ciągu pół godziny, Servinus zaś oparł się wygodnie i spał z otwartymi ustami.

O rany, pomyślał aspirant Kluuge. To nie takie proste kierować dochodzeniem w sprawie morderstwa. Do tego trzeba prawdziwego

mężczyzny, nie da się zaprzeczyć.

Dołożył niemałej staranności, aby skompletować wyposażenie, mimo to wyraźnie nie było ono zadowalające. A przynajmniej nie w oczach wszystkich.

– Chce pan to wszystko ze sobą zabrać? – spytał młody mężczyzna ze szczecinową brodą, ubrany w żółty dres.

– Oczywiście – powiedział Van Veeteren. – Czy są jakieś przeszkody?

– Nie, naturalnie, że nie. Ale poduszki i parasolka...?

– Parasol – poprawił go komisarz. – Osłona przed słońcem. Jak być może pan zauważył, dzisiejszy dzień również zapowiada się na upalny. Poduszki są pod plecy i pod kark – akurat wiem, jak diabelnie niewygodnie jest siedzieć prosto w kajaku, a zamierzam pływać cały dzień. No więc jak? Wypożycza pan czy nie?

– Jasne – potwierdził młodzian, a ponad żółcią rozlał się twarzowy rumieniec. – Przepraszam... a którą łódkę by pan chciał? Cena jest trzydzieści guldenów za dzień plus sto guldenów kaucji.

Van Veeteren wyjął portfel i zapłacił.

– Tę. – Wskazał na jedną z czerwonych kanadyjek, które leżały piętrowo ułożone obok magazynu. – Im szersza, tym lepsza.

Młody człowiek zaniósł o własnych siłach łódkę na wodę i przymocował ją do pomostu, podczas gdy komisarz upychał w niej poduszki, swoją aktówkę i parasol. A na końcu siebie. Przez ułamek sekundy, kiedy niezdarnie wylądował na dnie kanadyjki, myślał, że się wywróci, ale gdy już się usadowił wygodnie, mając poduszki za plecami, skinął zadowolony w stronę mężczyzny, który posuwistym ruchem wypchnął go na gładką jak lustro taflę wody.

Całkiem nieźle, pomyślał Van Veeteren i zaczął ostrożnie wiosłować wzdłuż pustego brzegu. Naprawdę nieźle.

Płynął na wschód, tak jak planował. Czyli na razie pod prąd, a z powrotem z prądem. Co prawda o tej cichej porannej godzinie łódka su-

nęła do przodu tak łatwo i bez najmniejszego oporu, że zaczął wątpić, czy tu w ogóle są jakieś prądy. Prawdopodobnie odczuje je dopiero wtedy, kiedy znajdzie się na węższym szlaku.

Po stu uderzeniach wiosłami zrobił sobie przerwę i spojrzał na zegarek. Za kwadrans dziewiąta. *Carpe diem!* – pomyślał. Zanurzył rękę w chłodnej wodzie i obmył sobie twarz. Zdjął koszulę i buty, po czym ruszył znowu. Nie nerwowo, rytmicznie. Na razie mogło być co najwyżej dwadzieścia stopni, ale nie ulegało wątpliwości – co zresztą już powiedział temu żółtemu młodzieńcowi – że później zrobi się gorąco. Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Czy można sobie wyobrazić przyjemniejszy sposób spędzenia takiego dnia?

Biedny Kluuge, pomyślał w przypiływie wspaniałomyślności i empatii.

Ale skoro jest się tylko konsultantem, to trzeba odpowiednio do tej funkcji się zachowywać.

W aktówce miał – oprócz gazet i wykałaczek – dwie butelki wody mineralnej, torebkę ze świeżymi bułeczkami (z piekarni naprzeciwko hotelu) i kilka pomidorów. To wszystko. Żadnego piwa, żadnych papierosów.

Bo ten dzień miał być właśnie taki: dzień, w którym człowiek robi najprzeróżniejsze rzeczy, a mimo wszystko wieczorem, kiedy kładzie się do łóżka, czuje się młodszy niż rano, gdy wstawał. Jak to któregoś razu powiedziała pewna mądra osoba – prawdopodobnie nie Reinhard.

Miał to być też dzień, podczas którego w ciszy i spokoju – wręcz w cudownym odosobnieniu – chciał skorzystać z możliwości i zastanowić się dokładniej, co tak naprawdę wydarzyło się w Waldingen.

Taki to miał być dzień.

Zamierzał zatem przeanalizować poszlaki, którymi dysponowali, i rozważyć, jakie da się z nich wysnuć wnioski. Albo przynajmniej, w którą stronę pójść.

Może trzymać się z boku i słuchać głosu intuicji. Ale prawdę mówiąc, ten głos na razie nic szczególnego mu nie podpowiadał, lecz tak czy inaczej, jeśli poniedziałek, kiedy znaleziono ciało Clarissy Heeren-

macht, uznać za dzień numer jeden, to dziś jest dopiero ranek dnia numer trzy. Jeżeli natomiast przyjąć jako początek jego własny przyjazd do Sorbinowa, to musiał niestety przyznać, że wkrótce minie już tydzień.

Może zatem nie było to jedynie pobożne życzenie, może tego dnia, na tej ciemnej wodzie jednak na coś wpadnie. Znajdzie punkt zaczepienia i oczyści myśli z nieprzydatnych śmieci i uprzedzeń.

Komisarz snuł swe rozmyślenia, wciąż pracując wiosłami. Na przemian lewym i prawym. Musiał zmienić rytm prowadzenia wiosła, bo ten, którego się kiedyś nauczył, był jednak trochę zbyt intensywny. W końcu nie jest tu na treningu, tak?

Dopiero gdy przepłynął solidny kawałek w górę rzeki i zaczął wyraźnie odczuwać opór prądu, skierował niepodzielną uwagę do swego wnętrza. Skoncentrował się na przypadku.

Clarissa Heerenmacht. Waldingen.

Czyste Życie. Anonimowy telefon od kobiety.

Morderca?

Zwolnił tempo; ograniczał się do sporadycznych ruchów wiosłem, byleby tylko nurt nie zniósł go z powrotem w stronę porośniętych łasami brzegów. W tej okolicy nie było żadnych zabudowań. Wszędzie jedynie gęsty las iglasty, z pojedynczymi olchami i osikami, które schodziły niemal do samej wody; długie nici korzeni i bryły ziemi zwisały gdzieniegdzie nad coraz węższą rzeką, pomostów prawie nie było... w ciągu niecałej godziny znalazł się w okolicy, która jak najbardziej zasługiwała na to, by nazwać ją puszcza. Coraz lepiej rozumiał, jakim magnesem musiał być region Sorbinowa dla wszelkiego rodzaju miłośników przyrody.

Ale koniec już z tym świeżym powietrzem i romantyzmem natury! Morderstwo. Koncentracja.

Zaczął od poprzedniego dnia. Chcąc nie chcąc, wrócił myślami do konferencji prasowej, z którą – musiał to przyznać – Kluuge poradził sobie całkiem nieźle. Powiązanie między morderstwem a Czystym Życiem sprowadził do minimum – Clarissa Heerenmacht była jedną z uczestniczek obozu, opuściła jego teren w nieznanym okolicznościach, a potem została znaleziona martwa w lesie. To wszystko.

Żadnych śladów. Żadnych tropów. Ani słowa o anonimowych telefonach.

I żadnych bezpośrednich wskazówek czy teorii dotyczących śledztwa. Przynajmniej na razie. Ale wspomniał oczywiście o intensywnym zaangażowaniu wielu osób i o tym, że podejmowane są wszelkie niezbędne działania... naturalnie wyraził też nadzieję, że w tej wstępnej fazie dochodzenia może liczyć na dyskrecję panów dziennikarzy. Przepraszam, pań dziennikarek oczywiście również.

I tak dalej. Po dwudziestu pięciu minutach konferencja się skończyła, a on sam musiał zabrać głos nie więcej niż dwa razy. Co niewątpliwie wystawiało dobre świadectwo Kluugemu, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że Servinus i Suijdeberck byli zbyt zmęczeni, aby w ogóle otworzyć usta. Chyba że akurat zachciało im się ziewać.

Przed wyruszeniem dzisiaj rano w drogę przejrzał pobieżnie dwie gazety, które wziął ze sobą. Oczywiście morderstwu poświęcono sporo miejsca – w końcu kombinacja trzech elementów: lato – zabójstwo – młoda dziewczyna miała dla wszystkich swój ciężar gatunkowy; dało się jednak zauważyć stosowne umiarkowanie w potraktowaniu tematu. Po prostu zachowywano powściągliwość. Pewnie w popołudniówkach będzie inaczej, wątpił jednak, czy on sam na miejscu Kluugego poradziłby sobie lepiej.

No i chyba najważniejsze było to, że nigdzie ani słowem nie wspomniano o zniknięciu Jellinka ani o milczących kobietach i dwunastu konfirmantkach – z tej prostej przyczyny, że Kluuge nic o tym nie powiedział. Oczywiście to tylko kwestia czasu i na pewno również te informacje wcześniej czy później wyciekną, ale dobrze było zyskać tyle godzin – a może nawet dni – przewagi, ile tylko się da.

A przede wszystkim: złamać milczenie, zanim gazety coś wywęszą.

Kiedy się nad tym bliżej zastanowił, doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie wie do końca, dlaczego tak ważne wydaje mu się to, żeby chronić przekłętą proroka i jego niemą wspólnotę przed oczami świata.

Dlaczego?

Nie nasunęła mu się żadna sensowna odpowiedź; jedynie intuicyjnie narzucające się poczucie obowiązku, które ani za grosz nie pozo-

stawało w zgodzie z tym, co myślał o całej tej hałastrze, a jej istnieniu nie mógł jednak zaprzeczyć.

Czyli znalazł się w kłopotliwym położeniu. Co prawda nie do porównania z koszmarną pułapką, w jakiej czasami lądowała policja, kiedy musiała bronić nazistowskich niedorostków przed antydemonstrantami. Bo oczywiście to nie w porządku, jeśli te łyse głowy były znieważane, a może nawet bite na śmierć, podczas gdy policja stała za rogiem i ogryzała paznokcie.

Chociaż?

Tak czy inaczej, Czyste Życie nie budziło w nim pozytywnych emocji. Kiedy tylko zaczynał myśleć o takich rzeczach jak Wyrzeczenie i Czystość, a także o niemających o niczym pojęcia dziewczynkach, czuł odrazę i najchętniej odsunąłby to wszystko od siebie, by nic o tym nie wiedzieć.

Może więc jednak napuścić na nich pismaków? Dlaczego nie postawić tych rozmodlonych szarlatanów pod pręgierzem?

Trudno, pomyślał. Widocznie mój instykt macierzyński bierze górę.

Albo po prostu zdawał sobie sprawę, że przez włączenie opinii publicznej i mediów ta religijna nieczysta woda stanie się jedynie jeszcze bardziej mętna. Zarówno z moralnego, jak i ściśle technicznego punktu widzenia. I to wyjaśnienie wydawało się najbliższe prawdy.

Po tych humanitarnych rozważaniach – podparty niemal podręcznikową systematyką – postanowił przejść do sedna sprawy.

Kto zamordował Clarisę Heerenmacht? I dlaczego?

Nagle przypomniał mu się obraz jej zwłok. Ostre światło reflektorów w ciemnym lesie. Jej blada skóra. Sińce i krew. Uzmysłowił sobie, że ona nie skończyła jeszcze nawet trzynastu lat, i poczuł, jak znowu narasta w nim bezradność.

Cholera jasna, pomyślał i opłukał twarz czystą, zimną wodą. Przecież wcale nie musiałem jej oglądać. Mogłem sobie darować. Wyczerpałem już swoje pensum udziału w cierpieniu – cierpieniu innych.

Może najwyższy czas trochę odpocząć, żeby odpędzić ponure myśli. Nie muszę przedzierać się aż do samego jądra ciemności.

Z pewnym wysiłkiem udało mu się przycumować łódkę, wsuwając

ją pod wystającą partię korzeni. Kołysała się co prawda co rusz podnoszona przez nurt, ale mimo wszystko chyba nie odpłynie. Rozłożył parasol, żeby osłonić się przed coraz bardziej palącym słońcem. Wypił pół butelki wody i zjadł jedną bułkę. Poprawił poduszki i umościł się wygodnie. Począł kilka minut w nadziei, że nasunie mu się jakieś doprecyzowane i prowadzące dalej pytanie, ale jedyne, co pojawiło się w jego głowie, to dobrze mu już znane zdumienie:

O co, u diabła, tu chodzi?

Tak postawione pytanie raczej nie powalało precyzją. Byłby ostatnią osobą, która by się pod tym nie podpisała.

A więc po kolei.

Po pierwsze: dzwoni nieznajoma kobieta i zgłasza zaginięcie. Kiedy dochodzi do wniosku, że policja robi za mało w tej sprawie, dzwoni jeszcze raz.

Pytanie: kim ona jest?

Kolejne pytanie: dlaczego dzwoni?

Przez dłuższą chwilę leżał spokojnie, nie ruszając nawet palcem, podczas gdy pytania kołowały po jego głowie. Zwłaszcza to drugie: jaki, do cholery, miała motyw, żeby zadzwonić na policję? W końcu jednak się poddał. Brak odpowiedzi. Nie nasunęły się też żadne nieoczekiwane refleksje.

Po drugie: cztery dni później ta sama kobieta znowu się odzywa. Podaje dokładne wskazówki, jak dotrzeć do zamordowanej dziewczynki. Aspirant Kluuge, idąc za jej informacjami, znajduje biedną Clarissę Heerenmacht, niespełna trzynastoletnią uczestniczkę obozu w Waldingen... zgwałconą, uduszoną, martwą. (Ale dzień wcześniej miała być jeszcze wśród żywych – w niedzielę po południu on sam siedział naprzeciw niej i wypytywał ją o zwyczaje i rytuały w sekcje Czyste Życie).

Wniosek numer jeden: jeśli ta anonimowa kobieta mówiła prawdę i za pierwszym, i za drugim razem, nie mogła mieć na myśli tylko Clarissy Heerenmacht.

Wniosek numer dwa: nie da się wykluczyć, że w lasach w okolicy Waldingen znajdują się zwłoki jeszcze jednej dziewczynki.

Niech to szlag, pomyślał komisarz i sięgnął po pomidora. Muszę o tym pamiętać. Co dalej?

Po... zgubił się i musiał policzyć od nowa... po trzecie: Oscar Jellinek – prorok i duchowy pasterz tej piekielnej sekty – wraz ze śmiercią Clarissy rozplywa się w powietrzu, zmusiwszy wcześniej całą swoją trzódkę – zarówno owce, jak i owieczki – do milczenia. Wniosek?

Wniosek? – pomyślał Van Veeteren. No jaki, do jasnej cholery?

Przymknął oczy i po raz kolejny starał się być otwarty na wszelkie ewentualne odkrywcze myśli, ale jedyne, co mu się nasunęło, to znak zapytania.

Po chwili pojawiły się jednak dwie dziecinnie uproszczone możliwości.

Numer jeden: Oscar Jellinek zgwałcił i zamordował Clarissę Heerenmacht (oraz jeszcze jedną albo kilka ze swoich młodych konfirmandek), a potem wziął nogi za pas, aby uciec przed sprawiedliwością i karą.

Numer dwa: Jellinek nie ma nic wspólnego ze śmiercią dziewczynki, ale wolał zapaść się pod ziemię, żeby uniknąć przesłuchań i podejrzeń, które, jak się domyślał, w tej sytuacji nieuchronnie padłyby na niego.

Komentarz do wniosku numer dwa: Jellinek jest tchórzliwym dupkiem. Co idealnie się zgadzało z wcześniejszymi obserwacjami komisarza.

Końcowy wniosek do numeru dwa: Jellinek musiał wiedzieć o zabójstwie Clarissy Heerenmacht, zanim dowiedziała się o tym policja!

Komisarz otworzył oczy, ale zaraz znowu je zamknął. Błąd, pomyślał. Mógł wiedzieć jedynie, że zniknęła.

Lecz cała ta konstrukcja jest, jak wspomniano, infantylnie uproszczona. Cienka i krucha jak bańka mydlana. Westchnął. Postanowił pójść innym tropem. Metodycznie, owszem, ale może pora choć trochę puścić wodze fantazji.

Jednak zanim komisarz zdążył to uczynić, uzmysłowił sobie, że zaraz stanie wobec zupełnie innego problemu:

Jak? – zastanawiał się. Jak na tym najlepszym ze światów sika się z łódki? Przeklęta woda mineralna!

Podczas reszty dnia – głównie w drodze powrotnej – komisarz skupił się przede wszystkim na krajobrazie wewnętrznym.

Na tym, co mogło się kryć za owymi kamiennymi i obojętnymi twarzami kobiet – Madeleine Zander, Ulriche Fischer i Mathilde Ubrecht. I co tkwiło za zaciętymi buziami nastolatek.

No i jak długo one wytrzymają.

Wczoraj wieczorem odwiedził zarówno obóz, jak i zakład opieki psychiatrycznej, gdzie w oddzielnych salach zamknięto kobiety. Nawet nie próbował zburzyć tego muru milczenia, tylko siedział i obserwował, jak Kluuge i dwaj jego koledzy z Remborka usiłowali się przez niego przebić. Nie było to całkowicie niemożliwe, ale raczej należało się zgodzić z przypuszczeniem aspiranta – że najpierw pęknie któraś z dziewczynek.

Trudno było też abstrahować od nieetycznej strony całej tej sytuacji. W każdym razie on sam miał z tym problemy... poczucie brudnego i moralnie wątpliwego działania było silne i nieuchronne. Oczywiście w odniesieniu do dziewczynek. Do roli policji należało wprawdzie wtrącanie się w różne sprawy, lecz poddawanie małoletnich regularnemu przesłuchaniu po to, aby nakłonić je do złamania świętej obietnicy i odwrócenia się w mniejszym lub większym stopniu od ich wiary, oznaczało wykorzystywanie prawa poza dopuszczalne granice.

Założmy, że Jellinek jest szaleńcem. Przyjmijmy, że Czyste Życie głosi podejrzaną naukę. Do tego jeszcze to morderstwo. Ale poza tym istnieje wewnętrzny krajobraz, którego nie należy deptać, a skoro już się to czyni, trzeba mieć jakieś zabezpieczenie.

Na wypadek gdyby te wszystkie zbłąkane duszyczki się obudziły. Bo kiedyś chyba się ockną?

Co się zaś tyczy trzech kobiet, sprawa miała się oczywiście trochę inaczej. Nie widział przeszkód, żeby odrobinę przyprzeć je do muru, i niewykluczone, że dziś wieczorem będzie miał po temu okazję. Servinus i Suijderbeck wzięli na siebie przesłuchania w ciągu dnia, a im krótsze zostawiali im przerwy na oddech, tym lepiej.

Jeszcze bardziej nęcąca była oczywiście wizja znalezienia się oko w oko naprzeciw samego Jellinka. Ale tym razem na warunkach komisarza. By tak rzec, na jego własnym terenie – przy porysowanym

stole z wiórowej płyty w najohydniejszym i najbardziej cuchnącym pomieszczeniu aresztu, jakie da się znaleźć. Wbić w niego wzrok i stopniowo zwiększać nacisk.

Ale na razie nie było to możliwe. Nie miał Jellinka do dyspozycji. Jedynie czternaście milczących jak skała kobiet i dziewcząt. Żadnego światełka w tunelu. Żadnego tropu.

Tak czy inaczej, chciałby móc wejść w ten ich wewnętrzny krajobraz. Na pewno sporo by mu to dało.

Człowiek jest niezgłębiony, pomyślał.

I dlatego możemy go zrozumieć, dodał po kilku uderzeniach wiosłami.

Gdy komisarz elegancko i zgrabnie dobił do pomostu pod hotelem Grimm's, minęło siedem godzin, od kiedy wypłynął, lecz jeśli chodzi o podstawowe pytania – kto? i dlaczego? – w gruncie rzeczy znalazł się znowu w tym samym punkcie.

Zdecydował się natomiast na pewną strategię. A właściwie na określone rozmowy – z osobami, z którymi miał ochotę zamienić parę słów i zadać im kilka konkretnych pytań.

Pod warunkiem że uda mu się je złapać o tej porze roku. A to nie było wcale takie oczywiste.

Młodzian z rzadkim zarostem przebrał się tymczasem w zielone śpiochy albo może był to zupełnie inny młody człowiek. Komisarz wysiadł suchą stopą na brzeg i oznajmił, że jest zadowolony i z łódki, i z wycieczki. Następnie ruszył od razu do restauracji i zamówił sobie ciemne piwo.

Nie chce czuć się aż o kilkadziesiąt lat młodziej niż dziś rano, pomyślał i poprosił jeszcze o paczkę westów.

Panna Wandermeijk – jeśli dobrze zrozumiał, narzeczona młodego pana Grimma – przyniosła mu nie tylko piwo. Miała też wiadomość od Kluugego. Faks przyszedł dziesięć minut temu i wynikało z niego, że nastąpił niewielki przełom.

Więcej nie dało się wyczytać z treści wiadomości. Aspirant wyraźnie nauczył się być nieco bardziej powściągliwy w swojej korespondencji, co oczywiście – i nie tylko to – należało uznać za krok we wła-

ściwym kierunku. Komisarz wetknął kartkę do tylnej kieszeni i postanowił najpierw nacieszyć się piwem i papierosem, a dopiero potem zadzwonić na komisariat.

– Kluuge, słucham.

– To ja – oznajmił komisarz. – Co tam?

– Jedna z dziewczynek zaczęła mówić – powiedział aspirant.

– Doskonale – rzekł Van Veeteren. – A co mówi?

– Jeszcze nie wiem – odparł Kluuge. – Właśnie jedzie do nas inspektor Lauremaa.

– Wyśmienicie – dodał komisarz. – Zaraz będę. Tylko tego nie spaskudźcie.

Kiedy Van Veeteren wszedł do pokoju komendanta policji w Sorbinowie, nikt jeszcze nie przyjechał z Waldingen. Kluuge siedział za biurkiem w jasnoniebieskim poło odsłaniającym jego opalone ręce, ale zdaniem komisarza wyglądał na bardziej zmęczonego i starszego niż ostatnio.

– Ciężki dzień? – spytał i opadł na kanapę.

Aspirant kiwnął głową.

– Mam dość cyrku z tymi psycholożkami – wyjaśnił. – Musimy coś z nimi zrobić. Ledwie się zbliżymy do tych małych, one od razu zachowują się tak, jakby były ich adwokatami i ochroniarzami... Człowiek zaczyna się zastanawiać, po czyjej właściwie są stronie.

– Znam to zjawisko – powiedział Van Veeteren. – A co z rodzicami? Zaczynają się zjeżdżać?

– Nie, wcale. – Kluuge wstał i wytarł sobie czoło wilgotną chustką. – Przynajmniej na razie. Czwooro odezwało się do nas, ale my za każdym razem mówimy, że sytuacja jest pod kontrolą i że dziewczynki mogą być tu jeszcze przez kilka dni... a poza tym one wcale nie chcą wracać.

– Naprawdę?

– Zdaje się, że złożyły coś w rodzaju ślubowania, czy jak to nazywać... że zostaną. No tak, sam już nie wiem, ale zobaczymy, co się będzie działo, kiedy jedna z nich zacznie mówić.

– Hm – bąknął komisarz, przyglądając się swojej wykałacze. – A jak ta jedna się nazywa?

Kluuge wyrzucił chustkę do kosza i zerknął do kartki.

– Marieke Bergson. Ja tam nie byłem, to Lauremaa zadzwoniła... mniej więcej godzinę temu. – Spojrzał na zegarek. – Nie rozumiem, dlaczego tak zwlekają.

– Nie wiesz, co mówiła ta mała?

Kluuge pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Napije się pan kawy?

– Nie odmówię – powiedział komisarz. – Cola czy coś w tym rodzaju też nie byłaby zła. Albo cokolwiek innego, co ma do zaoferowania Inny Świat...

Kluuge kiwnął głową i wyszedł z pokoju, żeby przekazać zamówienie pannie Miller. Van Veeteren włożył między zęby wykałaczkę i czekał.

Marieke Bergson była blada i zapłakana.

Kiedy weszła do pokoju razem z inspektorem Elaine Lauremą z policji w Haaldam – i w towarzystwie posepnej, ale dobrze ubranej psycholożki, która miała przyklejone na piersi swoje nazwisko, Hertha Baumgartner – komisarzowi nasunęło się skojarzenie z małym złodziejaszkiem przyłapanym na gorącym uczynku.

Niewykluczone, że Marieke Bergson tak właśnie się czuła. Usiadła ostrożnie na brzegu wskazanego jej krzesła, położyła splecione dłonie na kolanach i wpatrzyła się w swoje czerwone tenisówki.

Lauremaa zajęła miejsce obok Van Veeterena. Psycholożka zaś stanęła za plecami dziewczynki, trzymając ręce na oparciu krzesła, i ogarnęła spojrzeniem wszystkich obecnych, sceptycznie mrużąc oczy i zaciskając usta w cienką kreskę.

Kluuge chrząknął dwa razy, po czym przedstawił wszystkich. Zajęło to pięć sekund. Przez kolejne pięć panowała cisza.

Ktoś powinien teraz coś powiedzieć, pomyślał Van Veeteren, ale akurat w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i tuż potem pojawiła się w nich panna Miller z kawą, zimnymi napojami, chipsami i paroma innymi drobiazgami.

– Chciałabym, aby państwo dobrze się zastanowili nad tym, co powiedzą – odezwała się psycholożka po wyjściu panny Miller.

– Dobry pomysł – skomentował Van Veeteren.

– Marieke podjęła trudną decyzję, znajduje się pod ogromną presją, a ja właściwie nie apróbuję tego, że zostanie poddana przesłuchaniu. Chciałabym, żeby to było jasne.

Lauremaa westchnęła. Była dosyć potężną kobietą w wieku około czterdziestu pięciu lat. Komisarz od razu poczuł do niej spontaniczną

sympatię. Wyglądała mu na osobę mającą trójkę dzieci i zdrowy rozsądek. Ale raczej nie na dyplomatkę.

Kluuge nie miał jeszcze własnych dzieci. Nalewał kawę i znowu jakby pograżył się w swojej niepewności.

Czyli to na mnie spadnie, pomyślał Van Veeteren. Właściwie to chyba lepiej.

– Może będzie łatwiej, jeśli nie będzie nas aż tyle – zaproponował.

– Ja zostanę z Marieke – oznajmiła psycholożka.

Lauremaa i Kluuge wymienili się spojrzeniami, po czym aspirant kiwnął głową i wstał.

– Będziemy chyba nagrywać – powiedział komisarz.

Kluuge i Lauremaa opuścili pokój. Po chwili aspirant wrócił z magnetofonem.

Czyli doszliśmy jednak do tego, pomyślał Van Veeteren.

– Jak się nazywasz? – zaczął.

– Marieke – odpowiedziała dziewczynka, nie podnosząc głowy.

– Marieke Bergson?

– Tak.

– Masz sucho w buzi?

– Tak.

– Napij się coca-coli. To zwykle pomaga.

Psycholożka obrzuciła go nieprzychylnym spojrzeniem, ale Marieke zrobiła to, co on jej podpowiedział, i trochę się wyprostowała.

– Ile masz lat?

– Trzynaście.

– Gdzie mieszkasz?

– W Stambergu.

– Chodzisz do szóstej klasy?

– Już będę w siódmej.

– A teraz masz wakacje?

– Tak.

– I jesteś na obozie w Waldingen?

– Tak.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, chcesz nam o czymś opowiedzieć.

Brak odpowiedzi.

– Czy tak?

– Tak...

– Czy chcesz, żebym zadawał ci pytania, czy wolisz opowiedzieć sama?

– Chyba wolę... pytania.

– W porządku. Jeśli masz ochotę, weź sobie bułeczkę.

Komisarz wypił łyk kawy. Zdawało mu się, że twarz dziewczynki nabrała trochę koloru, natomiast psycholożka nadal wyglądała jak posąg.

Pewnie ma swoje własne problemy, ocenił Van Veeteren i zaczął od nowa.

– Czy wiesz, co się stało z jedną z twoich koleżanek?

Marieke Bergson potaknęła.

– Z Clarissą Heerenmacht – uzupełnił komisarz. – Ona nie żyje.

– Tak. – Jej głos trochę drżał.

– Ktoś ją zabił. Na pewno rozumiesz, że staramy się znaleźć tego, który to zrobił.

– Tak, rozumiem.

– Czy chcesz nam w tym pomóc?

Kolejne skiniecie głową i łyk coca-coli.

– A czy możesz mi powiedzieć, dlaczego twoje koleżanki nie chcą nam pomagać?

– Bo one nam tak kazały.

– Jakie one?

– Siostry.

– Powiedziały wam, żebyście nie odpowiadały na pytania policji?

– Tak. To taki test. Bóg chce nas sprawdzić, czy jesteśmy wystarczająco silne, żeby kontynuować.

– Co kontynuować?

– Nie... nie wiem.

– Może żeby być dalej na obozie?

– Chyba tak.

Dziewczynką wstrząsnął szloch. Sądząc po jej zaczerwienionych oczach, już wcześniej sporo płakała, toteż Van Veeteren miał nadzieję,

że teraz da radę wytrzymać bez łez. Prawdopodobnie ani on, ani nawet ta psycholog nie najlepiej nadawali się do tego, by zająć się załamana nastolatką. Przypomniawszy sobie krótko jedną czy drugą nieudaną próbę z własnej kariery.

– To znaczy powiedziały wam, że odeślą was do domu, jeśli pomożecie nam znaleźć mordercę?

– Tak... nie, to nie o to chodziło. Ale jakoś tak wszystko się pokręciło... one na pewno jeszcze nie wiedziały, co zdarzyło się wtedy w poniedziałek...

– Ale nie zmieniły zdania, kiedy się dowiedziały?

– Nie.

– A ty chcesz do nich wrócić?

– Nie.

Odpowiedź była tak cicha, że Van Veeteren musiał bardzo wyteńczyć słuch, żeby ją zrozumieć. Szept tak delikatny, żeby nawet Bóg nie mógł usłyszeć, pomyślał komisarz.

– W jaki sposób się dowiedziałeś, że Clarissa nie żyje?

Dziewczynka się zawahała.

– Bo to... w niedzielę wieczorem wiedzieliśmy już, że jej nie ma. Nie było jej na wspólnym spotkaniu i na kolacji, ale one nic na to nie mówiły.

– Nic?

– Dopiero w poniedziałek rano. Wtedy siostra Madeleine powiedziała, że ona pojechała do domu.

– Poczekaj chwilę. Czy przypominasz sobie, kiedy widziałaś Clarisse ostatni raz?

Marieke Bergson zastanowiła się. Po raz pierwszy spojrzała wprost na niego, nie uciekając wzrokiem, i zagryzła wargi tak, jakby liczyła.

– W niedzielę – powiedziała w końcu. – Po południu... miałyśmy wolną godzinę, chyba o czwartej, pamiętam, że z kilkoma innymi dziewczynkami poszła w dół drogą... tak około wpół do piątej.

– Dostałyście wolne na godzinę? – spytał Van Veeteren. – A miałyście właściwie robić coś innego, czy tak?

– Tak, powinnyśmy były mieć zabawę w grupach.

– Zabawę w grupach?

– Tak. Na temat przykazań.

Van Veeteren pokiwał głową. Czyli zmiana programu, stwierdził. Z jakiego powodu? Po upływie niecałych dwóch godzin od chwili, kiedy stamtąd wyjechał.

– I jesteś pewna, że potem jej już nie widziałaś?

Marieke znowu się zamyśliła.

– Tak, więcej już jej nie widziałam.

– A pamiętasz, kto z nią wtedy był?

– Tak... chyba tak.

– Na razie to zostawmy – powiedział Van Veeteren. – Czyli ty wiedziałaś o tym, że Clarissy nie było w obozie w niedzielę wieczorem... albo przynajmniej w poniedziałek rano. A kiedy dotarło do ciebie, że ona nie pojechała do domu, tylko nie żyje?

– To było... tak, to było wtedy, kiedy przyjechała policja i nas obudzila. To oni nam powiedzieli. I musiałyśmy na nią patrzeć i tak dalej. Bo my...

– Tak?

– Nie wierzyłyśmy policji... myślałyśmy, że oni kłamią.

– Ale potem ją zobaczyłyście?

– Tak.

– Nie rozumiem. Czy mogłabyś mi to bliżej wyjaśnić?

– No bo my myślałyśmy, że wy z Innego Świata przyjdziecie do nas i będziecie opowiadać nam straszne rzeczy, i że to będzie dla nas taki egzamin.

– Ale ty zrozumiałaś, że Clarissa naprawdę nie żyje, prawda?

Marieke Bergson załkała.

– Tak, kiedy ją zobaczyłam, to już wiedziałam...

Komisarz kiwnął głową. On sam na to nalegał. Chociaż wprawdzie potem miał wątpliwości, czy to było konieczne, teraz jednak uznał, że podjął chyba dobrą decyzję.

To była brutalność wymuszona przez sytuację.

Ale zupełnie niepojęte wydawało się to, że żadna z tych małych dziewczynek nie załamała się podczas konfrontacji. Godzina piąta rano, wszystkie wyciągnięte z ciepłych łóżek, aby zobaczyć zamordowaną koleżankę. Nawet jeśli pokazano im tylko jej twarz.

Z drugiej strony ograniczył się jedynie do tego, żeby kazać im przejść koło ambulansu i spojrzeć przez drzwi. Z przesłuchaniem też trochę odczekał. Zostawił im godzinę na śniadanie. Jeśli miał być szczerzy, to cały ten spektakl był też czymś w rodzaju zemsty na ztwardziałyach siostrach. Kto wie, może zyskaliby jeszcze jeden dzień, gdyby okazali się bardziej surowi na samym początku?

Bardziej surowi? – pomyślał. Co za pomysły przychodzą mi do głowy.

– Czy to wszystko? – spytała psycholog, wrywając go z zamyślenia.

– Nie, oczywiście, że nie. Jest jeszcze cała masa do wyjaśnienia.

– Czy tu jest toaleta? – spytała Marieke. – Muszę...

– Na zewnątrz – wskazał Van Veeteren i wyłączył magnetofon.

Kiedy wróciła, od razu przejęła inicjatywę.

– No i poza tym jeszcze Katarina – powiedziała.

– Co z Katariną? – spytał komisarz.

– No, ona też była na początku na obozie, ale któregoś rana pojechała do domu. Zrobiła coś głupiego. Przyjaźniłyśmy się od wiosny...

– Jak ona się nazywa?

– Katarina Schwartz. Miała łóżko obok mojego.

– Katarina Schwartz – powtórzył komisarz i zanotował sobie. – Ona też jest ze Stamberga?

– Tak.

– Ile ma lat?

– Trzynaście. Niedługo czternaście. Na wiosnę przeprowadziła się do Stamberga, a przedtem mieszkała w Willby.

– Nie masz przypadkiem jej adresu i numeru telefonu?

– Mam.

– Możesz mi tu zapisać?

Przesunął przez stół notes i ołówek. Marieke Bergson notowała z językiem w kąciку ust. Kiedy skończyła, oddała notes. Komisarz przyrzął się okrągłym, dziewczęcym literom, a potem kontynuował:

– Wspomniałaś, że ona zrobiła coś głupiego. Możesz mi powiedzieć, co dokładnie?

Marieke Bergson zagryzła wargi i wyraźnie nie była pewna.

– Wyklinała na Jellinka. W niej siedział diabeł... chociaż ją znałam, wydawała mi się trochę dziwna. Inne koleżanki też tak myślały. Miałyśmy udawać, że nigdy jej tu nie było.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale to chyba dobrze. Bo ona faktycznie głupio się zachowywała i miała w sobie diabła, więc najlepiej było o niej zapomnieć. No i... rzeczywiście ją zapomnieliśmy. Właściwie dopiero wczoraj sobie przypomniałam, że ona też była na tym obozie, kiedy...

Zamilkła. Komisarz czekał, ale Marieke nie dokończyła.

– A możesz mi powiedzieć, kiedy zniknęła Katarina Schwartz?

Marieke Bergson zaczęła liczyć.

– Chyba dwa tygodnie temu. Może nie całkiem... tutaj traci się poczucie czasu, w Waldingen dni mijają inaczej niż normalnie...

Van Veeteren nagle doszedł do wniosku, że chciałby prowadzić przesłuchanie tej nastolatki jeszcze przez kilka godzin, rozumiał jednak, że to niemożliwe. Musiał więc sam sobie wyznaczyć priorytety, w pierwszej kolejności skupić się na najważniejszym – dopiero potem będzie mógł odsłaniać ciemne strony Czystego Życia, jeśli starczy na to czasu i okazji.

– A Jellinek? – spytał więc. – Czy wiesz, gdzie on jest?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie wiesz?

– Nie.

– Kiedy zniknął?

– Przedwczoraj.

– Jesteś pewna?

– Tak. Nie było go już w poniedziałek rano. Został odwołany.

– Odwołany?

– Tak.

– Co to znaczy?

– Pan wezwał go do siebie i dlatego musiał na kilka dni opuścić obóz.

Napiła się trochę coca-coli, a komisarz na dwie sekundy przymknął oczy.

– Kiedy dokładnie w poniedziałek?

– Rano. Nie było go na porannej modlitwie. Zamiast niego prowadziła ją siostra Ulriche. A potem siostry powiedziały nam, że Bóg ukazał mu się w nocy i dał mu zadanie do wykonania. I że ważne jest to, żebyśmy mocno trwały w naszej wierze i były czyste i godne, dopóki go nie ma...

– Czyste i godne?

– Tak.

– Aha. A co to znaczy?

– Nie wiem – powiedziała Marieke Bergson.

– Ja też nie – przyznał komisarz. – A co trzeba robić, żeby być czystym i godnym?

Psycholożka uniosła ostrzegawczo palec, Marieke Bergson zaś nagle zaczęła sprawiać wrażenie, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Zaciskała dłonie i znowu przyglądała się swoim butom. Van Veteren pospiesznie zmienił temat.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Jellinka?

– W niedzielę... w niedzielę wieczorem.

– Co wtedy robiliście?

– Odmawialiśmy wieczorną modlitwę. Przed pójściem do łóżek.

– I nic nie powiedział, że go nie będzie?

Marieke Bergson podniosła wzrok, ale po chwili znowu spojrzała w dół.

– Nie, przecież mówiłam, że on spotkał Boga późno w nocy... ale Clarissy nie było. Trochę się nawet dziwiłyśmy, jednak on nie powiedział ani słowa na jej temat, tylko że zaczęła się ostatnia walka i że powinniśmy się starać być silne i czyste.

– Ostatnia walka?

– Tak.

– Co miał na myśli?

– Nie wiem...

– Czy w poniedziałek rano dowiedziałyście się i o Clarissie Heerenmacht, i o powołaniu Jellinka?

– Tak... chociaż o Clarissie wiedziałyśmy już wcześniej. Zauważyłyśmy, że jej nie ma...

– Nie uważasz, że to trochę dziwne? Że obie te rzeczy zdarzyły się jednocześnie?

– Nie...

– Ale na pewno o tym rozmawialiście?

– Nie, dostałyśmy...

– Co takiego?

Nagle wszystko się zawaliło. Marieke Bergson zsunęła się z krzesła i zwinęła się na podłodze. Zakryła twarz rękami i podciągnęła nogi pod brodę, przyjmując pozycję embrionalną. Powoli zaczął się z niej wydobywać tłumiony, żaloszny lament – nieartykułowana rozpacz, która pochodziła z otchłani jej trzynastoletniej duszy. Przez chwilę przemknęło mu przez głowę, czy ona przypadkiem nie odgrywa tu przed nimi przedstawienia, ale szybko odsunął od siebie tę myśl.

Biedne dziecko, doszedł do wniosku. Co oni z tobą zrobili? Psycholożka natychmiast rzuciła się do niej. Zaczęła powoli i delikatnie głaskać ją po ramionach, plecach i włosach. Kiedy dziewczynka uspokoiła się trochę, choć nadal leżała skulona i zamknięta w swoim prywatnym piekle, kobieta podniosła wzrok na komisarza.

– No i co? – zwróciła się do niego. – Jest pan teraz zadowolony?

– Nie – odpowiedział. – Z czego, u diabła, miałbym być zadowolony?

Wieczorem jadł kolację z Suijderbeckiem.

Servinus wrócił do Remborka, aby spędzić noc z żoną i czwórką dzieci, Suijderbeck natomiast nie miał żadnych takich zobowiązań i wolał zatrzymać pokój w Hotelu Miejskim, w którym spędził już jedną dobę.

Właśnie w jadalni tego hotelu siedzieli teraz przy stole. W odległym zadymionym kącie przepelnionego lokalu w odcieniu sepii z obrusami, które kiedyś były białe, i z żyrandolami, które od początku były ze szkła. Suijderbeck wydawał się nieco bardziej chmurny niż zwykle, co sprawiło, że komisarz zaczął odczuwać z nim pewne pokrewieństwo.

– Jak było w wariatkowie? – spytał, kiedy już złożyli zamówienia.

– Wesoło – powiedział Suijderbeck, zapalając papierosa. – Gdyby to

ode mnie zależało, zostawiłbym tam te baby do końca życia. Bez dwóch zdań się kwalifikują.

– Hm, czyli nadal milczą?

– Najczystszy przypadek autyzmu – stwierdził Suijderbeck. – A najgorsze w tym wszystkim jest to, że one są takie wyniosłe... wybrane męczennice, a wszyscy inni są gównem warci. One po prostu promieniują tą pogardą.

– Wybrana przez Pana dwunastka?

– Coś w tym rodzaju. One już wszystko wiedzą, nie muszą się zniżać... mimo że się ze sobą nie spotykają i nie rozmawiają. Założę się, że między nimi jest jakaś telepatyczna więź. A co z małymi?

– Jedna zaczęła mówić.

– Słyszałem. Coś z niej wyciągnęliście?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Właściwie mniej więcej to samo, czego się spodziewaliśmy. Zdaje się, że tamta zniknęła gdzieś około popołudnia w niedzielę... Jellinek chyba też tej samej nocy. Potem siostry nakazały dzieciom milczeć. Ale nasze największe pytanie brzmi, co się tam, u diabła, wydarzyło, i jeśli o to chodzi, nie jesteśmy ani o jotę mądrzejsi... No i chyba zniknęła jeszcze jedna uczestniczka obozu, dokładnie tak jak przypuszczaliśmy.

– Pan dał, Pan wziął – rzekł Suijderbeck. – I co o tym myślisz?

Kelner przyniósł dwa piwa.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Niech mnie diabli wezmą, ale nie wiem. Na zdrowie!

– Na zdrowie! – Suijderbeck uniósł szklanę.

Przez chwilę pili w milczeniu. Potem Suijderbeck westchnął ciężko i rzekł:

– Jest tylko jedna droga.

– Jaka? – spytał komisarz.

– Musimy ustalić, czy to wszystko jego sprawa.

Komisarz wytarł sztucę obrusem.

– No tak – zgodził się. – Musimy tak zrobić.

– A co z twoją nogą? – spytał, kiedy zaczęli już jeść ciepłe danie.

Suijderbeck podniósł na niego wzrok.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– A dlaczego się dziwisz?

Suijderbeck wypił łyk piwa.

– Dlatego że większość cholernie źle to znosi.

– Ach tak – powiedział komisarz i zastanowił się przez chwilę. – Tak, jednak chcę wiedzieć.

– Jak sobie życzysz – odparł Suijderbeck. – Ale może odłożmy to na po jedzeniu.

– No więc przez kilka lat byłem w policji narkotykowej.

– W Remborku?

– Nie, w Aarlach. Tak czy siak, deptałem po piętach paru grubszym kolesiom. Któregoś wieczoru siedziałem w samochodzie i ich śledziłem, kiedy nagle się okazało, że oni też mają mnie na muszce...

– No proszę – odezwał się Van Veeteren.

– Głupio tak siedzieć samemu w samochodzie, co?

Van Veeteren nie odpowiedział. Wyjął papierosa i pozwolił, aby Suijderbeck mu go przypalił.

– Wywieźli mnie gdzieś za miasto. Powiedzieli, że muszą dać mi lekcję. Żebym w przyszłości nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy. W gruncie rzeczy tylko tyle powiedzieli. Chłopcy nie byli gadatliwi. No tak, a potem mnie związali i włączyli piłę tarczową.

Zrobił krótką pauzę.

– Poszło piekielnie szybko. Nie trwało dłużej niż pół sekundy, ale to było najdłuższe zasrane pół sekundy w moim życiu... i ciągle do mnie wraca.

Zamilkł. Van Veeteren wpatrywał się w swoją dłoń trzymającą papierosa. Czuł, jak w jego podświadomości coś powoli się poruszyło i zaraz zamarło. Zaciągnął się dymem i strząsnął popiół do popielniczki.

– Poprosimy o rachunek? – spytał.

– Możemy – odpowiedział Suijderbeck.

Suijdebrbeck chciał się jeszcze trochę przespacerować przed snem.

Kiedy przeszli już kawałek, komisarz spytał.

– Kiedy to było?

– Pięć lat temu.

– Dlaczego zostałeś w policji?

Suijderbeck zaśmiał się krótko.

– Pięćdziesięciolatek z drewnianą nogą – rzekł. – Słyszałeś może coś o rynku pracy?

Kiedy zastępujący szefa policji aspirant Kluuge w czwartek około pierwszej wsiadał do swego nagrzanego samochodu w Waldingen – aby wrócić do Sorbinowa i być dostępnym na komisariacie przez całe popołudnie (może zdąży też coś zjeść razem z Deborah w czasie półgodzinnej przerwy obiadowej) – stwierdził, że jednak coś drgnęło.

Przynajmniej odrobinę. W ślady Marieke Bergson poszło jeszcze kilka dziewczynek, które okazały się gotowe opowiedzieć o ostatnich dniach na obozie. Razem z koleżankami z Haaldam – Lauremaa i Tolitse – Kluuge spędził rano kilka godzin na wysłuchiwanie przeplatanych płaczem wyznań. Jednak nie wynikało z nich nic konkretnego ani istotnego dla śledztwa. Przynajmniej oceniając na szybko. Dziewczynki dostały polecenie – mniej lub bardziej wyraźne – że mają milczeć, i milczały.

To dosyć proste.

Ale nadal pozostała grupka trzymająca się tej wskazówki i nie można było wykluczyć, że to właśnie ona wywierała presję na koleżanki, które zaczęły chwiać się w swej wierze. Poza tym wykryła się trójka, przypuszczalnie z Belle Moulder na czele (przynajmniej tak uważała Lauremaa), która jako ostatnia widziała Clarissę Heerenmacht przy życiu.

Oczywiście poza mordercą. Między piątą a wpół do szóstej w niedzielę wieczorem one właśnie razem z Clarissą były przy „klifie” – płaskim, nagrzanym słońcem skalnym występie kilkaset metrów na zachód od obozu – i tam się kąpały. Nadal nie było jasne, jak doszło do tego, że ta czwórka się rozdzieliła, w każdym razie nie wróciły już wszystkie razem do obozu.

Clarissa Heerenmacht w ogóle nie wróciła.

Spotkała natomiast swojego zabójcę. Nie wiadomo jak. Nie wiadomo kiedy i gdzie.

Krewni stanowili kolejny problem. Kluuge włączył kierunkowskaz

i skręcił na główną drogę. We wczorajszych wieczornych gazetach – a także w radiu i telewizji – poświęcono wiele miejsca i uwagi ostatnim wypadkom (Kluuge miał w głębi ducha nadzieję, że Malijsen odizolował się tak bardzo, jak obiecywał; nagłe pojawienie się bowiem właściwego szefa policji nie miałoby pozytywnego wpływu na przebieg dalszej pracy, co do tego wszyscy byli zgodni, choć nikt nie mówił tego wprost) i większość rodziców od razu zareagowała. Zanim Kluuge opuścił w ten upalny dzień Waldingen, cztery uczestniczki obozu zostały odebrane przez zaniepokojone matki i ojców – oczywiście spędziwszy najpierw odpowiednio dużo czasu u Lauremay i psychologów. Dwie z tych dziewczynek były siostrami, na co wcześniej w ogóle nie zwrócono uwagi.

Zostało jeszcze sześć. Trzy, które nadal się nie odezwały, dwie, które wydawały się skłonne przerwać milczenie, no i jedna, która ulżyła już swemu sumieniu i czekała, aż ktoś po nią przyjedzie.

No i oczywiście Marieke Bergson. Nadal znajdowała się na komisariacie pod opieką panny Miller i katolickiej siostry miłosierdzia. Ta ostatnia pojawiła się wczoraj wieczorem zupełnie z własnej woli, oferując pomoc (psycholożki w tym momencie z zawodowo-etycznych i profesjonalnych względów już dawno ustąpiły pola). Siostra nazywała się Vera Saarpe i zabrała Marieke do siebie, aby u niej spędziła noc.

Jeśli chodzi o rodziców Marieke, dopiero dzisiaj rano udało się nawiązać z nimi kontakt. Mieli pojawić się jeszcze po południu i zająć się swą zdezorientowaną córką. Kluuge osobiście rozmawiał z matką przez telefon i miał okazję stwierdzić, że w tym przypadku jabłko chyba niedaleko padło od jabłoni.

Westchnął ciężko. Doprawdy nie jest łatwo mieć wszystko pod kontrolą, pomyślał.

Rzeczywiście, niełatwo.

Potem westchnął jeszcze ciężiej – kiedy zaczął myśleć o Katarinie Schwartz, dziewczynce, która, jak wynikało z dotychczasowych ustaleń, zniknęła z obozu dziesięć–dwanaście dni temu. Zeznanie Marieke Bergson dotyczące nagłego przepadnięcia Katariny zostało potwierdzone przez wszystkie koleżanki, które do tej pory otworzyły usta, to też wydawało się jak najbardziej uzasadnione przyjęcie hipotezy, że

to właśnie o niej mówiła nieznajoma kobieta, kiedy dwa razy dzwoniła na policję.

Na dodatek na razie nie udało się skontaktować z jej rodzicami. Prawdopodobnie byli na urlopie samochodem gdzieś we Francji – ale jeśli Katarina jedynie uciekła z obozu, nie można wykluczyć, że po prostu siedzi z mamą i tatą w jednym aucie. Bądź też w domu czy na leżaku. W Breście albo Marsylii czy gdziekolwiek indziej, do cholery. A może nawet w Lourdes, właściwie dlaczego nie?

Servinus był w kontakcie z francuską policją, która obiecała rozejrzeć się za wskazaną parą i samochodem, ponieważ jednak już wcześniej miał do czynienia z galijskimi kolegami po fachu, nie wykazywał zbyt dużego optymizmu.

Tak czy inaczej, istniały przesłanki wskazujące na to, że dziewczynka miała powody, by chcieć uciec, jednak na ile silne były owe przesłanki, Kluuge nie potrafił na razie ocenić. Ani nikt inny. Prawdopodobnie nie chodziło w tym przypadku o nic innego, tylko wyłącznie o myślenie życzeniowe – bo zarówno sąsiedzi, jak i znajomi oraz krewni rodziny Schwartz wydawali się mocno przekonani o tym, że w aucie nie było żadnej Katariny, kiedy w ubiegłym tygodniu Schwartzowie ruszali do zachodniej Europy.

Jednak obie daty się zazębiały, czyli pod względem czasowym było to możliwe, stwierdził Kluuge, kiedy się nad tym zastanawiał. Bo jeśli córka nagle i zupełnie niespodziewanie zjawiała się w domu w wieczór przed podróżą, nie można oczywiście wykluczyć, że pojechała z rodzicami, nie będąc zauważona przez kogokolwiek z osób postronnych.

I w takim przypadku mieliby tylko jedno morderstwo do wyjaśnienia.

Co i tak było nie lada zadaniem.

Kiedy cały spocony jechał zbyt szybko pełną zakrętów drogą, przyszło mu także do głowy, że wszystkie te przesłuchania, niezliczone rozmowy telefoniczne i czynione najrozmaitsze kroki wydawały się spełniać jedynie funkcję samorealizacyjną. Kosztowały mnóstwo energii i zaangażowania niesamowicie wielu środków, a właściwie do niczego nie prowadziły.

Dreptali w miejscu. Drobiazgi, które ustalili, zazwyczaj pokrywały

się z tym, czego wcześniej sami się domyślali. Kiedy i jak znajdzie czas i siłę, żeby przysiąc i zastanowić się nad całą tą zagadką, na razie nie potrafił przewidzieć.

Czy zawsze tak jest? – zadawał sobie w duchu pytanie. Przy wszystkich dochodzeniach?

Merwin Kluuge westchnął kolejny raz i spojrzął na zegarek.

Za kwadrans druga.

Zostało mu dwadzieścia minut dla Deborah. Maksimum pół godziny.

W piątek muszę kupić kwiaty, pomyślał. Dzisiaj na pewno już nie zdążę.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Merwin Kluuge delikatnie – choć może nie tak delikatnie jak zwykle – głaskał po brzuchu swoją żonę i swego nienarodzonego jeszcze syna – Van Veeteren zostawił Elizabeth Heerenmacht samą, aby w kostnicy sorbinowskiego szpitala mogła pożegnać się ze swoją zamordowaną bratanicą, której zmasakrowane ciało właśnie przywieziono po półtora dnia obdukcji w zakładzie medycyny sądowej w Remborku.

Elizabeth Heerenmacht nie należała do Kościoła Czyste Życie, ale po spędzeniu pół godziny w jej towarzystwie komisarz nie bardzo mógł zrozumieć dlaczego. Wydawała się, mówiąc ogólnie, idealną kandydatką. Taki był ponury wniosek, do jakiego niestety doszedł.

Choć może w ten mroczny i upalny dzień nie był do końca sprawiedliwy. Trudno jest być wolnym od uprzedzeń, kiedy najpierw człowiek oblewa się potem, później zamarza w kostnicy, a wreszcie znowu zaczyna parować po wyjściu na słońce.

Wcześniej rano część swego czasu Van Veeteren poświęcił innej kobiecie – tajemniczej Ewie Siguera. Przynajmniej chciał sobie wmówić, że ona jest zagadką... że w niej samej jest tyle mistyki, ile w jej nazwisku i uśmiechu na zdjęciu zrobionym przez Przebudę ubiegłego lata.

Bzdura, zdał sobie sprawę w chwili surowej samokrytyki. To wszystko brzmiało jak wyjęte z jakiegoś romansidła.

Ale czemu się tu dziwić? – pomyślał potem. Im rzadszy kontakt człowiek ma z płcią przeciwną, tym bardziej jej ulega – a przynajm-

niej niektórym jej przedstawicielkom. To żadna nowość.

W urzędzie meldunkowym dowiedział się tylko tyle, że Ewa Siguera nie jest zameldowana w Stambergu. Oprócz tego poprosił Lauremaę i Tolltse, żeby pokazały jej fotografię konfirmantkom, ale, jak słyszał, to też nic nie dało.

Tajemnica gęstnieje, pomyślał z gorzką satysfakcją. Wyjął na wpół przeżutą wykałaczkę i pokręcił głową. Niech to szlag, jestem karykaturą dochodzeniowca! – stwierdził. Karykaturą samego siebie. Kogo ja w końcu tropię – mordercę czy kobietę? Z kasztanowymi włosami...?

Po kilku godzinach bezskutecznych poszukiwań zadzwonił do Reinharta i zlecił mu zadanie. Poprosił go o odnalezienie Ewy Siguary i poinformowanie niezwłocznie o rezultatach. Oczywiście mógłby skorzystać też z innych możliwości, ale ponieważ podejrzewał, że Reinhart po prostu siedzi sobie i kręci palcami młynka, czekając na urlop – albo zajmuje się swoją śliczną, świeżo poślubioną żoną – warto więc było kazać mu coś zrobić za pieniądze, które dostawał.

Reinhart nie miał zresztą nic przeciwko temu. Obiecał lojalnie, że się odezwie, jak tylko na coś trafi. Najdalej za dwadzieścia cztery godziny.

Czyli domysły z kręceniem młynka i z żoną okazały się chyba strzałem w dziesiątkę, uznał komisarz.

– A jak idzie samemu krwiopijcy? – chciał wiedzieć Reinhart. – Słońce, kąpiele i wędkowanie jak dzień długi?

– Zapomniałeś jeszcze o winie i kobietach – odciął się Van Veeteren.

Zaczął od Fingherów, kiedy stwierdził, że są w domu.

Pani Fingher, żylastej chłopce po pięćdziesiątce, zdążył tylko powiedzieć dzień dobry, bo akurat wybierała się odwiedzić swojego wnuka, jak poinformowała go w przelocie i pospieszyła do własnoręcznie pomalowanej starej trotty, która stała zaparkowana przy drodze. Za to zarówno pan Fingher, jak i jego syn Wim wydawali się mieć czas na pogawędkę.

– Tym razem interesuje mnie przede wszystkim niedzielny wieczór – wyjaśnił komisarz, kiedy już usiedli na ogrodowych krzesłach w cie-

niu kasztana.

– Niedzielny wieczór? – powtórzył Fingher. – Wim, idź no i przynieś parę piw. Pan komisarz napije się pewnie pilsa?

– Nie odmówię – powiedział Van Veeteren, po czym syn poszedł do domu.

– A dlaczegoż to? – spytał Fingher. – Co pan chce wiedzieć o tamtym wieczorze?

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, o której byli u pana ci z obozu i czy nie zauważył pan nic szczególnego?

Fingher zastanowił się, gdy tymczasem syn wrócił z piwem.

– Nie, wszystko było normalnie, o ile sobie przypominam. A ty jak myślisz?

Spojrzał na Wima, ale on jedynie wzruszył ramionami.

– O której? – dopytał Van Veeteren.

– Tak o siódmej, pół do ósmej. Jak zawsze.

Wim Fingher potaknął i wszyscy trzej wypili po łyku piwa. Okazało się nieoczekiwanie słodkie i Van Veeteren zastanowił się, czy nie jest przypadkiem domowej roboty. Na butelkach brakowało etykiet, czyli nie było to bezpodstawne przypuszczenie.

– No dobrze – powiedział. – A Jellinek był z nimi?

– Co? Oczywiście.

– I cztery dziewczynki?

– Cztery.

– Znał pan też tę małą, która została zamordowana?

Fingher z powagą kiwnął głową.

– Jasne, że znałem. Przecież była tu nieraz, tak samo jak inne. To po prostu straszne, gdyby człowiek przypuszczał, to by...

– To co? – spytał Van Veeteren.

– Cholera, sam nie wiem. Trzeba byłoby na przykład wykastrować tego przekłętą czarnego. Po prostu nie mieści mi się w głowie, jak można wysłać własne dzieci w takie miejsce. My mamy już tylko Wima, ale gdybym miał córkę, zamknąłbym ją na klucz, jakby ktoś taki kręcił się w pobliżu...

Dawszy wyraz swej wściekłości i goryczy, nagle zamilkł. Van Veeteren pociągnął łyk piwa i po kilku sekundach ciszy znów spytał:

– Czy tamtej niedzieli zauważył pan w nim coś szczególnego?

– Niech go diabli wezmą – zaklął Fingher. – Nie, raczej nie. A ty, Wim?

Mathias Fingher opróżnił swoją szklanę jednym haustem.

– Nie – powiedział Wim Fingher. – Widziałem go tylko krótko. Był na pewno taki jak zawsze.

– A dziewczynki też nie zachowywały się jakoś inaczej?

Wim pokręcił głową. Jego ojcu się odbiło.

– Nie, po prostu stały przy furtce jak zwykle.

– Hm – mruknął komisarz. – Proszę mi obiecać, że się odezwiecie, jeśli tylko coś się wam przypomni. Każdy drobiazg może mieć znaczenie.

Mieć znaczenie? – pomyślał. Słowa też już zaczynają mnie zawodzić.

– Oczywiście – powiedział Fingher, drapiąc się po głowie. – Przecież jasne, że człowiek chciałby pomóc. Chociaż, szczerze mówiąc, nie rozumiem, czego wy właściwie szukacie?

Van Veeteren zignorował tę krytykę.

– A w poniedziałek? – spytał jeszcze. – Domyślam się, że Jellinka wtedy tu nie było?

– Zgadza się – potwierdził Fingher. – W zeszły poniedziałek przyszła tylko jedna z tych kobiet.

– Bez dziewczynek?

– Nie było ani jednej.

– Wyjaśniła dlaczego?

– Wyjaśniła? A gdzie tam! Sterczała tylko i patrzyła na nas diabelnie wyniośle, jakby była kuzynką Matki Boskiej albo kimś takim.

Van Veeteren chrząknął.

– Pan nie jest wierzący, panie Fingher?

– A gdzie tam! – odparł chłop i znowu beknął.

– Ja też nie – dodał jego syn.

Komisarz pociągnął ze swojej szklanki.

– No dobrze, to tyle – powiedział. – Nie będę już dłużej przeszkadzał. Ale proszę się odezwać, jeśli coś się wam przypomni... jak mówiłem.

– Jasne – obiecał Fingher, po czym odprowadził komisarza na drogę.

– Niedziela wieczorem – powiedział i utkwiał wzrok w dwunastolatce.

Dziewczynka, która nazywała się Joanna Halle, patrzyła na stół i nerwowo pocierała dłonie.

– Może trochę uprzejmiej – szepnęła mu do ucha młoda psychologka.

– Czy mogłabyś mi opowiedzieć, co robiłyście w niedzielę wieczorem? – dostosował się Van Veeteren. – Kiedy byliście nad rzeką na skale i się kąpałyście.

– Kąpałyśmy się – wyjaśniła Joanna Halle.

– No tak. Kto tam był?

– Ja, Krystyna i Belle. No i Clarissa.

– I kąpałyście się?

– Tak – odpowiedziała dziewczynka.

Inteligentna rozmowa, pomyślał komisarz. Idzie mi jak po maśle.

– Byłyście przyjaciółkami, wy cztery?

– Tak... nie, nie za bardzo.

– To znaczy?

Czy w szkole nie uczą już dziś mówić? – zadał sobie w duchu pytanie.

– Byłyśmy tak... no tak mniej więcej.

– Aha. A która była wtedy godzina?

– Nie wiem, ale na pewno wróciłyśmy na szóstą, bo wtedy jest kolacja.

– Czy zdarzyło się coś niezwykłego, kiedy byliście tam, na skale?

– Nie, a co by to miało być?

– Nie wiem. O czym rozmawiałyście?

– O niczym specjalnym.

– Nie kłóciłyście się?

– Czy kłóciłyśmy się?

– Tak. Nie wiesz, co to znaczy?

– Wiem, ale my w Czystym Życiu się nie kłócimy. Tak robią tylko inni.

– Mówisz teraz prawdę?

– Jasne.

Jasne? – pomyślał komisarz. Powiniennem częściej przesłuchiwać dzieci, to nauczę się z nimi komunikować.

Ponieważ Marieke Bergson i pozostałe nie stanowiły dla niego takiego trudnego orzecha do zgryzienia, założył z góry, że problem leżał w Joannie Halle, a nie w nim samym.

– Czy przez cały czas byliście razem wszystkie cztery? – Nie poddawał się jednak.

– Nie pamiętam.

– A pamiętasz, jak stamtąd wracałyście?

Joanna Halle po raz pierwszy wyglądała tak, jakby myślała.

– Ja szłam z Krys – powiedziała.

– Z Krystyną Sarek?

– Tak.

– Czyli Clarissa i Belle Moulder szły za wami?

– Tak mi się wydaje.

– Ale nie jesteś pewna?

– Tak, one jeszcze zostały, jak my poszłyśmy. Przynajmniej Belle.

– A Clarissy nie widziałaś, kiedy wyruszyłyście ze skały?

– Widziałam, ona też tam była.

– Musisz się zdecydować. Czy Belle była sama, czy one dwie były razem, kiedy ty i Krystyna odeszłyście?

– Były obie.

– Na pewno.

– Jasne.

Komisarz westchnął i rzucił okiem na psychologkę, lecz kobieta miała minę sfinksa.

– A potem nie widziałaś już Clarissy ani razu?

– Nie... nie, nie widziałam.

– A pamiętasz, czy widziałaś gdzieś Jellinka, jak już wróciłyście do obozu?

– Jellinka?

– Tak. Może będzie ci łatwiej, jeśli będę powtarzał każde pytanie?

Psycholożka obrzuciła go surowym spojrzeniem.

– Nie, nie trzeba – powiedziała Joanna Halle. – Nie, zobaczyłam go dopiero wtedy, jak szliśmy do gospodarstwa.

– Chcesz przez to powiedzieć, że w niedzielę wieczorem poszłaś z resztą po mleko?

– Oczywiście. Była przecież moja kolej.

Popatrzyła na niego w sposób, który jego zdaniem miał wyrażać lekką pogardę.

– A kto jeszcze poszedł z tobą?

Zastanowiła się.

– Krys i siostry.

– Siostry?

– Tak, Lene i Tilde.

Van Veeteren pokiwał głową.

– Wróćmy jeszcze do tej skały i kąpieli... czy widziałyście jakies inne osoby, kiedy tam byliście?

– Nie, byliśmy tam same.

– Żadnych dorosłych?

– Nie.

– I nikogo, kogo nie znaliście?

– Nie, przecież mówię, że byliśmy tylko my.

– Jak długo tam byliście?

– Nie wiem... nie tak długo.

– Nie wydawało ci się, że Clarissa jest może smutna?

– Nie... nie, była taka jak zawsze.

– I nic poza tym w jej zachowaniu nie zwróciło twojej uwagi?

– Nie.

– Nie powiedziała na przykład, że chce być sama?

– Nie.

– I nikt jej nie zdenerwował czy coś w tym rodzaju?

– My się na siebie nie denerwujemy, już mówiłam.

Nie, nie, skąd, ty głupia gąsko, pomyślał komisarz, czując, jak wzbiera w nim irytacja. Bo przecież nie ulega wątpliwości, że Clarissa natknęła się na swojego zabójcę wtedy, kiedy ty podreptałaś z powrotem do obozu, i prawdopodobnie równie dobrze mogłaś znaleźć się na jej miejscu.

– Czy zamierzasz teraz przestać należeć do tego Kościoła? – spytał.

Joanna Halle nagle zrobiła się czerwona na twarzy. Komisarz nie potrafił powiedzieć, czy była tak wściekła, czy zawstydzona. Zdaje się, że ona sama tego nie wiedziała, więc w tej sytuacji zaczęła ryczeć.

– Dziękuję, to wszystko – oznajmił i wyszedł szybko na słońce, czując spojrzenie psycholożki na swoich plecach.

Kiedy czterdzieści pięć minut później zjechał na stację benzynową przy wjeździe do Sorbinowa, żeby zatankować, zrozumiał, że czwarta władza po raz kolejny wyprzedziła policję:

KSIĄDZ GWAŁCICIEL UCIEKŁ!

Tytuły na pierwszych stronach grubą czcionką głosiły:

NOWY TROP W ZABÓJSTWIE DZIEWCZYNKI!

W pierwszej chwili zastanowił się, czy ktoś z nich mógł coś wypaplać, zrozumiał jednak, że te informacje musiały dotrzeć do gazet za pośrednictwem dziewczynek, które opuściły już Waldingen, a może także Czyste Życie.

No tak, pomyślał. Chyba pora przykleić sobie brodę i zaszyć się w lesie.

Wszystko ma swój czas.

Podczas piątkowej narady w sprawie Clarissy Heerenmacht w pokoju komendanta policji w Sorbinowie temperatura wzrosła do 33 stopni Celsjusza, mimo że było dopiero przedpołudnie. Po raz pierwszy pod jednym dachem zebrał się cały zespół zaangażowany w śledztwo.

– Prawdopodobnie jesteśmy jedynymi idiotami w całym mieście, którzy tkwią teraz w murach – powiedział Suijderbeck.

– Prawdopodobnie – powtórzył Servinus.

Oprócz pary z Remborka obecne były też dwie inspektorki z Haal-dam – Elaine Lauremaa i Anja Tolltse, kierujący dochodzeniem Kluge oraz pełniący rolę doradcą komisarz Van Veeteren z policji kry-minalnej w Maardam. W sumie sześć osób; dowodzący zespołem miał na sobie krótkie spodnie, których jednak nie było widać, ponieważ siedział za biurkiem.

– W mediach zaczęło się coś dziać – stwierdził Suijderbeck i odłożył „Nieuwe Blatt”, który oprócz jedyńki poświęcał wydarzeniom w pod-sorbinowskich lasach całe kolejne dwie strony.

I Czystemu Życiu. Spekulacje wokół duchowego przywódcy sekty, który zapadł się pod ziemię, i jej celów snuto namiętnie w większości mediów. Odgrzebano dawny proces, byli członkowie wspólnoty wy-powiadali się, nie przebierając w słowach, a jedna ze stacji telewizyj-nych nawet przekroczyła wyznaczone przez siebie granice przyzwo-itości, nadając reportaż o jednej z dziewczynek, która wróciła do domu – skrajnie realistyczny wywiad bezwzględnych dziennikarzy z jękającymi się, wylęknionymi rodzicami i zapłakaną trzynastolatką, którzy usiłowali przejść z samochodu do domu na peryferiach Stam-berga.

– Cholera jasna – zareagował Servinus. – Nie ma się co dziwić, że piszą! A czego się tu spodziewać? Lato. Morderstwo. Mała dziewczynka, obłąkany ksiądz! Jeśli z takim bigosem nie sprzedadzą numeru specjalnego, mogą od razu się poddać i zająć się wydawaniem pisem-

ka geograficznego.

– Kiedy podano informację o poszukiwaniu Jellinka? – spytał komisarz.

– Wczoraj po południu – odpowiedział Kluuge. – Pomyśleliśmy, że to i tak już nic nie zmieni, skoro wszyscy o tym wiedzą.

– Słuszna decyzja – stwierdził Suijderbeck. – Co prawda zagroziłem wczoraj tym Nornom, że dziś o dwunastej wydam je na pastwę tłumu... jeśli będą dalej milczeć, ale one przecież nie czytają gazet, więc mam czyste sumienie.

– Hmm – odezwał się Kluuge. – Może powinniśmy omówić wszystko po kolei. Proponuję, żeby zacząć od sytuacji na obozie. Zdaje się, że niedługo w Waldingen zrobi się pusto?

Anja Tolltse spojrzała na zegarek.

– Została jeszcze tylko jedna dziewczynka i psychologka. No i dwóch policjantów, którzy je pilnują. Za pół godziny mała powinna być odebrana, jeśli rodzice się nie spóźnią. Potem chyba będziemy mogli się stamtąd zwijać.

– Dużo jest tam dziennikarzy? – zainteresował się Servinus.

Tolltse potaknęła.

– Kiedy wyjeżdżałam, stało kilka samochodów. Głównie kręcą się w kółko i robią zdjęcia. Do tej małej na razie się nie zbliżają – ale na pewno nic ich nie powstrzyma i nie dadzą spokoju rodzicom, kiedy po nią przyjadą. Jeśli tylko będą chcieli mieć jakieś gorące ujęcie... bez skrupułów zaatakują, jak już kilka razy do tej pory.

– Super – powiedział Suijderbeck. – Szlachetna profesja, nie ma co. Przyjdzie dzień, że przestanę czytać gazety.

– No dobrze – odezwał się Kluuge. – W każdym razie grupa poszukiwawcza jest dziś znowu w lesie... i rozgląda się za tą drugą dziewczynką. Możemy mieć tylko nadzieję, że na nic się nie natkną.

– Żeby tylko nie powiedzieli tym obszczyturom, czego szukają – wtrąciła Lauremaa. – Jeśli oczywiście nam zależy, aby nie wyciekła informacja, że brakuje jeszcze jednej uczestniczki obozu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie wszczęliśmy śledztwa także w jej sprawie? Tak byłoby chyba najlepiej.

Nikt nie odpowiedział. Suijderbeck wzruszył ramionami, a Kluuge na próżno szukał kontaktu wzrokowego z Van Veeterenem, który siedział, mrużąc oczy, z wykałaczką wystającą z kącika ust.

– No cóż – odezwał się po kilku sekundach ciszy. – Nie sądzę, żeby to odgrywało taką dużą rolę. W każdym razie na pewno nie zostanie zamordowana tylko dlatego, że my tu sobie posiedzimy i porozmawiamy o jej zniknięciu.

– Ale jeśli nie żyje, to i tak już przepadło – powiedział Suijderbeck.

– Bez wątplenia – odparł komisarz. – Jednak najpierw powinniśmy dotrzeć do rodziców. Możemy przejść dalej?

– The Weird Sisters? – spytał Kluuge z wyjątkowo osłupiałą miną.

– Przepraszam – powiedział Van Veeteren. – To była tylko aluzja do Makbeta. Co tam słyszać w Wolgershuus?

– No tak – rzekł Suijderbeck. – Na Zachodzie bez zmian, kontynuując literackie cytaty. Nie sposób do nich dotrzeć. Może jest jakaś iskierka nadziei w przypadku Mathilde Ubrecht, ale to tylko moje spekulacje. Jednak jeśli rozważalibyśmy skupienie się na którejś z nich w celu zastosowania, że tak powiem, nadzwyczajnych środków, to rekomendowałbym właśnie ją.

– To zawsze coś – skomentował Van Veeteren. – Może dzisiaj po południu tam podjadę.

– Czytałem, że ludziom, którzy są tak niedostępni, można zaaplikować alkohol – zaproponował Servinus. – Tak do półtora, dwóch promili... wtedy trudniej im utrzymać język za zębami.

– Myślę, że najpierw wypróbuję wariant na trzeźwo – odpowiedział komisarz. – Wydaje się bardziej etyczny.

– Etyczny? – burknął Servinus. – Nie wiedziałem, że gramy tu w krykieta.

– Jak długo w tych okolicznościach możemy trzymać je zamknięte? – spytała Lauremaa. – Nie powinniśmy ich niedługo aresztować?

– Do poniedziałku – odpowiedział Servinus. – Jeśli nie wypłynie nic nowego. Ale żadna z nich nie domagała się adwokata i ani słowem nie wspomniała o wyjściu, dlatego nie wiem...

– Mimo to lepiej trzymajmy się przepisów – stwierdził Suijderbeck.

– Przynajmniej potem nie będą mogli nam niczego zarzucić.

– Słusznie – zgodził się komisarz. – Musimy postarać się złamać je w weekend. Czy któraś z naszych pań nie byłaby przypadkiem zainteresowana? – Wskazał wykałaczką po kolei na Tolltse i Lauremaa. – Mam bowiem wrażenie, że pewną przeszkodą może być tu płęć.

– A potem do widzenia – powiedziała Lauremaa.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby móc choćby na chwilę wpaść do domu – rzekła Tolltse. – Siedzimy tu już od czterech dni.

– Co na to nasz szef dochodzenia? – spytał Van Veeteren, wskazując znowu wykałaczką.

– No cóż – powiedział Kluuge. – Sam nie wiem.

– Wobec tego w niedzielę – zdecydował komisarz. – Jak już wspominałem, sam podejmę jeszcze jedną próbę, ale jeśli mi się nie uda, wtedy wy musicie wziąć to na siebie.

– Dziękuję – powiedziała Lauremaa. – To dobre rozwiązanie.

– Wobec tego idziemy dalej. Co jeszcze mamy? – spytał Van Veeteren.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu w jego głosie dał się zauważyć cień zniecierpliwienia. Sam też go dostrzegł i zadał sobie pytanie, czy to wina upału, czy otoczenia. Prawdopodobnie i jednego, i drugiego. W każdym razie nie miałby nic przeciwko temu, żeby mieć teraz Reinharta i Münstera pod ręką dla drobnej wymiany myśli.

Musiał przyznać, że człowiek z upływem lat robi się wygodny. Zmęczony i pozbawiony złudzeń, i Bóg wie jeszcze jaki, ale także wygodny. Może warto o tym pamiętać.

– W ostatnich tygodniach nie został zwolniony żaden znany groźny przestępca – odczytał Servinus z jakiejś kartki. – Jednego właśnie wypuścili z Ulmenthal, ale on, co potwierdzono, znajdował się daleko stąd... tak więc mamy wyraźnie do czynienia z nowym nazwiskiem w branży. Czy to nazwisko brzmi Jellinek, czy inaczej...

Komisarz pokiwał głową.

– Dalej – powiedział znowu.

– To właściwie prawie wszystko – stwierdził Kluuge. – Jest jeszcze parę drobiazgów w raporcie lekarza sądowego...

Przerzucał kartki w tekturowej teczce leżącej na stole.

– ...warto by się może przyjrzeć bliżej temu kawałkowi gumy... z kondomu czy czegoś w tym rodzaju.

– Zastanawiałam się nad tym – wtrąciła Tolltse. – Czy gwałciciele używają prezerwatyw? Ja w każdym razie nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Na kilka sekund zaległa cisza. Suijderbeck podrapał się po swojej drewnianej nodze.

– Są najrozmaitsze typy – powiedział Van Veeteren. – Proszę mi wierzyć... naprawdę przeróżne.

– Ale to wcale nie musi być kondom – zauważył Servinus. – Technicy podkreślają, że mamy tu do czynienia z mikroskopijnie małym fragmentem i że to równie dobrze mogło być zupełnie co innego.

– Na przykład co? – spytał Kluuge, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Przez krótką chwilę było wyraźnie widać, że cały zespół dochodzeniowy ma przed oczami jednakowy obraz.

Ten sam infernalny, niepojęty obraz.

Po konferencji prasowej, która tym razem trwała ponad godzinę i podczas której to głównie komisarz i inspektor Lauremaa wzięli na siebie najcięższe zadania, odciążając dosyć już zmęczonego Kluugego, Van Veeteren wybrał się na lunch do Florian's razem z Suijderbeckiem. Minął dokładnie tydzień od chwili, kiedy jadł tu po raz pierwszy. W obliczu obecnego stanu spraw uznał, że ma powody, by pozwolić sobie na coś dobrego.

A nawet bardzo dobrego.

– Cholerny cyrk – powiedział Suijderbeck. – Chyba wezmę węgorza.

– Hm – odezwał się Van Veeteren. – Bardzo cię przepraszam, ale dla mnie węgorze i topielcy mają wiele wspólnego... Co masz na myśli, mówiąc „cyrk”?

– No wiadomo, że tych błaznów od medycyny sądowej. Ale ty pewnie jesteś do tego przyzwyczajony?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Trudno się przyzwyczać – odpowiedział. – Choć rzeczywiście istnieje pewna rozbieżność.

– Rozbieżność? – powtórzył Suijderbeck i powąchał swoje piwo.

– No, między tym, co się pisze, a tym, co się robi. W gazetach dzieje się o wiele więcej niż w śledztwie.

Suijderbeck posmakował łyk piwa i pokiwał głową.

– To prawda – przyznał. – Między tym, co się dzieje, a tym, co na pozór się dzieje. Uważasz, że doszliśmy do ściany?

– A ty jak myślisz? – komisarz odpowiedział pytaniem. – Uczestniczki obozu rozjechały się w cztery strony świata. Tamte milczą. Jelinek przepadł.

Suijderbeck zastanowił się.

– Katarina Schwartz – powiedział.

– Nie ma śladu – odparł komisarz. – Ani po niej, ani po jej rodzicach.

Suijderbeck siedział chwilę w milczeniu i popijał piwo.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. To co robimy?

– Trudno powiedzieć – rzekł komisarz. – Ale najpierw ty weź sobie swojego węgorza, a ja może zacznę od niedużego raka.

Kiedy już dostali zamówione potrawy, Van Veeteren uzmysłowił sobie, że to wszystko na próżno. Mówi się, że każda rzecz ma swój czas, a myślenie w tych dniach o własnym apetycie wydało mu się nagle niemal nieprzyzwoite. Zerknął ukradkiem ponad stołem, po którego drugiej stronie Suijderbeck z wielkim smakiem zabierał się do swojej ociekającej tłuszczem ryby.

Mimo posiniaczonych zwłok dziewczynek. Mimo wszelkich strzępków gumy. Mimo pił tarczowych.

To jest perwersja, pomyślał. Pewnego dnia nie wytrzymam już dłużej na tym świecie.

To tylko kwestia czasu.

Począł na pierwszą słabą wieczorną bryzę i ruszył w drogę. Słońce chowało się właśnie za skrajem lasu na zachodzie, dzięki czemu udało mu się jechać cały czas w cieniu i względnym chłodzie.

Wolgershuus leżał kilka kilometrów za miejscowością, w miłym odosobnieniu w lesie, spory kawałek od głównej drogi. Rozległy, otoczony murem park z kilkoma budynkami z początku dwudziestego wieku w delikatnym odcieniu jasnożółtego piaskowca. Van Veeteren przeczytał trochę o genealogii tego miejsca: początkowo mieściło się tu sanatorium i uzdrowisko dla przedstawicieli wyższych klas społecznych, potem – w okresie wojny – szkoła dla pielęgniarek i innych wolontariuszek, a jeszcze później – od lat pięćdziesiątych do dzisiaj – ośrodek terapii i zakład zamknięty dla osób cierpiących na różne zaburzenia psychiczne i psychosomatyczne. Jeśli właściwie odczytał między wierszami, z upływem lat Wolgershuus nabierał coraz bardziej charakteru więzienia.

Już z daleka – gdy tylko zjechał z głównej drogi i zaczął iść wąską asfaltową ścieżką – słyszał czyjś głos. Jednostajne zawodzenie dochodzące z terenu parku. Samotny, anonimowy lament, który pewnie wydobywał się z otwartego okna i unosił się ponad lasem i letnim wieczorem jako przypomnienie i znak, że cierpienie ma swoje stałe miejsce na tym świecie.

Smutne wołanie wędrownego ptaka, przyszło mu do głowy. Daremna próba niemego zwierzęcia, by nawiązać kontakt z zimnym i obojętnym otoczeniem. Gdy stanął przed zamkniętą bramą, głos ucichł. Wydawał się jednak trwać dalej pod drzewami niczym niespełniona do końca cisza. Komisarz odczekał chwilę, aż przebrzmi.

Dom Wolgershuus

Zamknięty zakład psychiatryczny,

widniało na biało-niebieskim emaliowanym szyldzie, przykrytym bezpośrednio do potężnego ceglanego muru.

Niebezpieczni wariaci! – pomyślał Van Veeteren. Tak kiedyś nazywało się takich ludzi i pewnie nadal tak mówi się o nich potocznie.

Mimo że dzisiaj istnieją już na to lekarstwa.

Podszedł do przeszklonej budki w wejściu i przedstawił swoją prośbę. Młody, zajęty rozwiązywaniem krzyżówki wartownik nacisnął guzik i wpuścił go za okratowane drzwi. Następnie musiał zwrócić się do kolejnego wartownika w innej budce, od którego otrzymał instrukcje, jak iść dalej, oraz białą plastikową kartę umożliwiającą mu swobodne przejście.

Taką samą, jaką dano mu poprzednim razem, kiedy był tutaj i jedynie się przysłuchiwał, jak Servinus i Suijderbeck na próżno usiłują wydobycь cokolwiek z trzech kobiet.

Tym razem przyszła kolej na niego i nie miał zamiaru wrócić z pustymi rękami.

Szedł dalej po starannie zagrabionej zwirowej ścieżce. Do wieczornego mroku była jeszcze z godzina, więc tu i ówdzie widział małe grupki ludzi. Ubrani na biało pielęgniarze i wartownicy, na ciemnozielono – pensjonariusze. Mieli obszerne kaftany i workowate spodnie, które przypominały mu strój maskujący, jaki od czasu do czasu był zmuszony nosić w czasie służby wojskowej w swoich młodych latach.

Wśród zielonych było kilkoro dziwaków. Jakiś mężczyzna siedział na ławce i palił papierosa, trzymając w ręku pustą na końcu smycz. Inny leżał jak długi na trawniku i wydawał się spać. Nieco dalej pod drzewem stała kobieta; oparta czołem o pień, kołysała się w tę i z powrotem i jednocześnie wykonywała powolne, płynne ruchy rękami, jakby pływała.

Ponad tym wszystkim – nad parkiem, budynkami, lasem wokoło – zalegała cisza. Głucha, niemal przygniatająca cisza, która zdawała się kryć w sobie iluzję nie tylko innego świata, ale też innego wymiaru istnienia.

To świat o niebezpiecznej sile przyciągania, Van Veeteren dobrze o tym wiedział; magnetyczna moc, której w określonych okolicznościach – kiedy podstawowe mechanizmy obronne przestają działać – z trudem potrafiłby się oprzeć.

Gdzieś głęboko w podświadomości tkwił też mrocznie połyskujący obraz własnego ojca i pewnej rozmowy między nim i jego bratem. Słowa ojca i jego niewytłumaczalne odejście. Zdecydowane i szybkie kroki na żwirze i trzaśnięcie ciężkiej furtki.

Jego własne nogi, cztero- czy pięcioletka, które w pierwszej chwili nie bardzo wiedziały, w którą stronę mają iść, a potem pobiegły za swoim życiem, byle tylko nie zostawać wewnątrz murów. Razem z wujkiem Bernem.

Niepojęte wtedy. Niepojęte dzisiaj. Jednak jakiś kawałeczek tego wzoru, tej matrycy odziedziczył.

Jego prywatne znamię. Jedno z wielu.

Przed głównym budynkiem skręcił w prawo i idąc wydeptaną ścieżką w dół, dotarł do tego samego co poprzednio niskiego, podłużnego budynku pod wiązami. Pokazał swoją plastikową kartę brodatemu młodemu mężczyźnie w kolejnej budce i został wpuszczony do środka.

Aspirant Matthorst siedział w pokoju rekreacyjnym i pałac papierosa, oglądał telewizję. Wydawał się zawstydzony, że został przyłapany w tak trywialnych okolicznościach. Zerwał się natychmiast, aby skwapliwie zaprowadzić komisarza do pokoju w jednym z korytarzy, gdzie od trzech i pół dnia była przetrzymywana Mathilde Ubrecht. Otworzył drzwi i Van Veeteren przestąpił próg.

Siedziała skulona na łóżku i czytała Biblię. W tej samej bladej lnianej szacie co zawsze. Na głowie potargane wypłowiałe włosy. Niezmienne zamknięta w sobie. Komisarz zawahał się chwilę, po czym podszedł do krzesła przy biurku i usiadł naprzeciwko niej w odległości mniejszej niż metr.

Czekał. Wyjął wykałaczkę z kieszonki na piersi i ważył ją w dłoni. Uznał, że jest za lekka, i schował ją z powrotem. Spojrzał przez okno, z którego widok niemal w całości przesłaniał bujny krzew bzu. Zaczął ponownie przyglądać się kobiecie na łóżku.

Czekał dalej. Wsłuchiwał się w ciszę i słaby szum urządzenia klimatyzacyjnego. Po pięciu minutach Mathilde Ubrecht zamknęła Biblię. Uniosła głowę i spotkała się z jego spojrzeniem.

– Proponuję, żebyśmy się przeszli po parku – odezwał się Van Veeteren. – Jest taki ładny wieczór.

Nie odpowiedziała. Siedziała z utkwionym w nim wzrokiem, głaszcząc Biblię i oddychając z na wpół otwartymi ustami. Komisarz zastanowił się, czy ona przypadkiem nie cierpi na astmę albo jakąś alergię, która objawia się w taki właśnie sposób. Po chwili skinęła nieznacznie głową i podniosła się z łóżka. Matthorst, który stał za drzwiami i czekał, poszedł za nimi korytarzem, a kiedy mijali pokój telewizyjny, komisarz dał mu znak, że może zostać i zając się znowu oglądaniem telewizji.

Albo oddać się jakimś ambitniejszym zainteresowaniom, jeśli takowe ma.

Kiedy wyszli na dwór, ostatnie promienie słońca już zniknęły, a grupki zielonych i białych postaci wracały na noc do środka. Van Veeteren pozwolił Mathildzie Ubrecht wybrać drogę. Zaczęli powoli iść w stronę stawu w najodleglejszej części parku. Jeśli się nie mylił, w kierunku północno-zachodnim. Wieczorny wiatr, łagodny szmer dochodzący z lasu, kiedy szedł do Wolgershuus, już całkowicie ucichły; jedyne, co teraz dawało się słyszeć, to odgłos ich kroków na żwirowej ścieżce i ciężki oddech Mathilde Ubrecht. Wokół jej postaci wyczuwało się aurę lekkiego napięcia, dlatego Van Veeteren starał się zachować pół metra odstęp, aby w żadnym razie nie wywierać wpływu na kroki czy ewentualne decyzje kobiety.

Nie odezwał się też ani słowem, dopóki nie dotarli do sztucznego stawu z nenufarami i cicho szemrzącą wodą wypływającą z jakiejś mitologicznej figury z brązu. Usiedli na jednej z pomalowanych na brązowo ławek. Van Veeteren zapalił papierosa.

– Mam trzy pytania – wyjaśnił. – Swoim milczeniem chroni pani mordercę. Mam nadzieję, że odpowie mi pani na nie szczerze.

Mathilde Ubrecht nie odezwała się. W ogóle w żaden sposób nie dała do zrozumienia, że słyszy jego słowa. On zaś zaciągnął się papierosem, po czym otworzył usta.

– Pytanie numer jeden – zaczął. – Czy wie pani, kto zamordował Clarissę Heerenmacht?

Cisza. Komisarz uniósł wzrok i spojrzał na ciemne niebo ponad murem. Ona nie ma zamiaru mi odpowiadać, pomyślał.

– Nie – rzekła.

Van Veeteren skinął głową. Odczekał minutę. Zgasił papierosa.

– Numer dwa – kontynuował. – Czy wie pani, co się stało z Katariną Schwartz?

Znowu milczenie. Potem kobieta ciężko westchnęła; usłyszał nieregularny świst w jej płucach.

– Nie.

– Dziękuję – powiedział komisarz. – Moje ostatnie pytanie dotyczy Oscara Jellinka. Czy wiadomo pani, gdzie on jest?

Tym razem zwlekała jeszcze dłużej, ale kiedy już padła odpowiedź, była równie zdecydowana jak poprzednie.

– Nie.

Komisarz siedział jeszcze chwilę i zastanawiał się co dalej.

– A może jest coś, o czym chciałaby pani mi powiedzieć?

Zamiast się odezwać, Mathilde Ubrecht wstała z ławki, dając do zrozumienia, że chce wrócić do zakładu. Van Veeteren skinął głową i zaczęli iść razem w coraz głębszej ciszy.

Matthorst spotkał ich przy samym wejściu. Van Veeteren domyślił się, że policjant musiał stać cały czas w oknie i ich obserwować.

Komisarz nie wszedł już do środka, tylko pozostawił kobietę opiece asystenta, ale zanim ona weszła w drzwi, zdążyła jeszcze wymienić z nim spojrzenie – było to spojrzenie na pożegnanie, które towarzyszyło mu przez całą drogę z powrotem do samochodu.

Przez szpitalny park. Przez ciemny las. Przez słabo oświetloną drogę do samej wsi.

Otrzymał trzy przeczące odpowiedzi na swoje trzy pytania. I spojrzenie, które mówiło... no właśnie, co?

Intuicyjnie – nim zaczął analizować i roztrząsać – jej przesłanie było dla niego jasne:

Powiedziałam prawdę. Niech mi pan wierzy.

Ale potem przyszły wątpliwości. Czy rzeczywiście powinien się tym zadowolić? Czy naprawdę miał uwierzyć, że ta obłąkana kapłanka –

czy jakimkolwiek innym epitetem ją określić – nie zna żadnych istotnych szczegółów, które mogłaby mu przekazać?

Czy to dotyczących zabójstwa dziewczynki, czy w ogóle wspólnoty – wszystko jedno.

Wiedział, że wszystko zależy od jego własnej oceny tych pytań. Nie można też wykluczyć, że zaserwowała mu koktajl... dwie prawdziwe odpowiedzi i jedno kłamstwo – albo odwrotnie – toteż kiedy coraz bardziej zbliżał się do wsi, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ten swój spacer może potraktować jako dobrze mu znaną próbę znalezienia równowagi. Między prawdą a fałszem.

Na ile mógł jej ufać? Wierzyć w jej potrójne nie. Ile warta była w tym przypadku jego własna intuicja?

Kiedy niedługo potem usiadł przy pustym stoliku w jadalni hotelu Grimm's, nadal nie wiedział. Ale podjął już kilka decyzji.

Bo przecież ktoś mimo wszystko musiał wziąć się do tego i zważyć te ziarna, które rzucono im pod nogi. *Mene tekel.*

Mene mene tekel.

Suijderbeck nie przejmował się tabliczką ostrzegawczą i z rozmachem otworzył bramę na oścież, aż zaskrzypiała w zawiasach. Pół sekundy później z za rogu domu wypadły dwa co najmniej pięćdziesięciokilowe owczarki niemieckie.

Suijderbeck stanął jak wryty.

– Na miejsce! – wrzasnął, kiedy obie bestie znajdowały się w odległości dwóch metrów, a wokół ich pysków unosiły się obłoki adrenaliny.

Skutek był taki sam jak zawsze. W mgnieniu oka psy przeobraziły się w dwie flegmatyczne czarne owieczki, których jedynym pragnieniem wydawało się zapadnięcie się pod ziemię u stóp swojego nowo pozyskanego pana.

– Ciepłe kluchy – mruknął Suijderbeck pod nosem i ruszył dalej ścieżką.

Kobieta w dzinsach z obciętymi nogawkami i męskiej koszuli w kratkę wyszła na taras, zaciskając pięści po bokach. Suijderbeck zatrzymał się i przyjrzał się jej przez chwilę. Zrozumiał, że w jej przypadku zwykła komenda by nie wystarczyła.

Choć może zabawnie byłoby spróbować. Na pewno.

– Pani Kuijpers? – spytał tylko.

– A kim pan jest, u diabła?

– Suijderbeck, z policji – odpowiedział i wszedł po schodach z uprzejmie wyciągniętą dłonią.

– Pańska legitymacja – rzuciła kobieta zamiast powitania.

Suijderbeck wyciągnął ją z wewnętrznej kieszeni. Kiedy trzymał legitymację z dziesięć centymetrów od twarzy kobiety, poczuł w jej oddechu zapach alkoholu. Postanowił zdjąć białe rękawiczki.

– Chciałbym zadać pani kilka pytań – oznajmił. – Czy przejdzie pani ze mną do samochodu, czy załatwimy to tutaj?

– Co to, do jasnej cholery, ma znaczyć? – wybuchła kobieta. –

Niech pan już wejdzie i...

– Chodzi o zabójstwo na obozie w Waldingen – przerwał jej Suijderbeck, wskazując ręką w stronę lasu i drogi, którą przyjechał. – Przypuszczam, że orientuje się pani, co tam się stało?

– Jasne... – Nagle kobieta jakby złagodniała. – Proszę, niech pan siądzie.

Ona sama zajęła miejsce na jednym z plastikowych foteli na tarasie, a Suijderbeck naprzeciw niej.

– Ale my nic nie zrobiliśmy... – mówiła dalej niepytana. – To znaczy Henry wyszedł na wiosnę i od tej pory żyjemy tu jak dwa baranki.

– Doprawdy? – spytał Suijderbeck.

– Kto tam jest, u diabła?! – dał się słyszeć mocny męski głos z wnętrza domu.

– Policja! – krzyknęła kobieta miotana między nadzieją a desperacją.

Mężczyzna pojawił się w drzwiach. Kopia własnej żony, stwierdził w duchu Suijderbeck. Wielki, potężny, zniszczony. Prawdopodobnie około pięćdziesiątki.

Ale tylko kobieta miała rozjaśnione włosy i kółko w nosie.

– Kuijpers – powiedział mąż i wyciągnął owłosioną pięść. – Jestem niewinny jak panna młoda.

Zarechotał donośnie, a Suijderbeck zapalił sobie papierosa. Co to za półgłówki, pomyślał. Wystarczy, że nie będę się odzywał, a oni w ciągu kwadransa sami przyznają mi się do pędzenia samogonu i paserstwa.

– Aha, wiem, wiem – odezwał się Kuijpers. – Chodzi o tę biedną małą, tak?

– No właśnie – potwierdził Suijderbeck. – Wiadomo coś państwu na ten temat?

Oboje pokręcili głowami. Kobieta dostała czkawki i przyłożyła sobie dłoń do ust.

– To okropne – powiedział mężczyzna. – Nie, my nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu. A ten czarny, co uciekł... nie, po prostu brak słów.

– Parę dni temu był tu już u nas jeden policjant – wtrąciła kobieta.

– Wiem – rzekł Suijderbeck. – Chcę tylko sprawdzić parę informacji.

– Aha – odezwał się Kuijpers i podrapał się w kroku.

Suijderbeck wyjął notes i przewrócił kilka kartek.

– My nic nie wiemy – rzuciła kobieta nerwowo.

– Zamknij się – upomniał ją mąż.

– Hm, czyli państwo nie rozmawiali z nikim stamtąd? Ani z dziewczynkami, ani z personelem... przez całe lato. A to przecież tylko kilometr dalej.

Mężczyzna znowu pokręcił głową.

– Parę razy przechodziły tu małe grupki – powiedziała pani Kuijpers. – Zbierali jagody czy coś, ale przez te nasze psy ludzie trzymają się z daleka...

Wskazała głową na podwórze, po którym owczarki zataczały duże koła.

– ...przynajmniej większość – dodała ostrożnie.

– Przejeżdżaliśmy tylko obok, jak się wybieraliśmy do miasta – wyjaśnił mężczyzna. – Ale żeby z nimi rozmawiać? Nie, dziękuję bardzo... tak naprawdę ta historia mnie wcale nie dziwi. Po takim ważniaku jak ten ksiądz wszystkiego się można spodziewać.

Suijderbeck zaczął rysować w swoim notesie opasłego księdza.

– Gdzie byliście w niedzielę w nocy? – spytał. – Mam na myśli nie ostatnią niedzielę, tylko tę, kiedy została zamordowana dziewczynka.

– Jak to? – odpowiedział Kuijpers. – Całą noc? No w domu, rzecz jasna. Normalnie...

– Nikt was nie odwiedził?

Mężczyzna potrząsnął głową i spojrzał na swoją żonę.

– Nie – potwierdziła ona. – Byliśmy sami.

– A nie pamiętacie, czy w nocy nie przejeżdżał obok jakiś samochód?

– Nie – odezwał się on. – Ten poprzedni gliniarz też o to pytał, ale my nic nie słyszeliśmy. W końcu przecież spaliśmy...

– Tędy nie przejeżdża chyba dużo samochodów, prawda? – kontynuował Suijderbeck, rozglądając się jednocześnie za czymś, gdzie mógłby zgasić papierosa. W końcu zdecydował się na doniczkę z ja-

kimś wyschniętym kwiatem, stojącą tuż przy jego protezie.

– Dwa, trzy na tydzień – powiedział mężczyzna, pokazując zęby. Prawdopodobnie miał to być uśmiech.

– Nic poza tym nie przychodzi wam do głowy z tamtej nocy?

– Nic a nic – potwierdził Kuijpers.

– Macie dzieci?

– Słucham? – spytał mężczyzna.

– Mamy córkę – wyjaśniła kobieta. – Ma na imię Ewa. Wyniosła się z domu jakieś... Kiedy to było?

– Cztery lata temu. Teraz skończyła dwadzieścia cztery lata. Miała dwadzieścia, jak uciekła.

– Z cudzoziemcem – dodała żona.

– Ja nie jestem jej prawdziwym ojcem – uzupełnił Kuijpers.

Suijderbeck zanotował to sobie.

– Rozumiem – powiedział i zastanowił się chwilę. – A może jest coś, co waszym zdaniem mogłoby nam pomóc?

Mężczyzna zmarszczył czoło, jego żona zaś w zamyśleniu pociągała swoje kółko w nosie.

– Nie... chyba nie.

– Czym się zajmujecie?

– Ja jestem na rencie – powiedział mężczyzna i chwycił się za plecy.

– A ja wyrabiam ceramikę – wyjaśniła kobieta. – Mam nieduży warsztat. I trochę też maluję.

Suijderbeck schował notes. Zmrużył oczy i spojrzał w niebo.

– Porządny upał – rzucił. – Musi być przyjemnie mieszkać tak blisko jeziora. Pewnie macie łódkę?

– Pewnie – odpowiedział mężczyzna. – Trochę też wędкую, ale kiedyś dało się więcej złowić. Teraz tyle tych ścieków i brudów...

– Tak, dziś rzeczywiście jest dużo brudu – potwierdził Suijderbeck.

– No dobrze, nie będę państwu dłużej przeszkadzał.

Wstał z krzesła.

– Tak czy inaczej, dziękuję – powiedział. – A tak na marginesie, za co pan właściwie siedział?

– Napad na bank – rzekł mężczyzna, skubiąc brodę. – Ale już z tym

skończyłem. Teraz zamierzam robić tylko czyste interesy.

– Mam nadzieję – rzekł Suijderbeck. – Bo jak nie, to pojawię się tu znowu.

– Ha, ha – zaśmiał się Kuijpers, ale i tym razem uśmiech nie na długo zagościł na jego twarzy.

– Dziękujemy za wizytę – powiedziała kobieta.

– Do widzenia – pożegnał się Suijderbeck.

Kiedy tylko wyszedł na podwórze, psy zniknęły od razu pod daszkiem z blachy falistej w szczycie domu. Ciepłe kluchy, pomyślał jeszcze raz Suijderbeck. Jaki pan, taki kram.

Nie mógł stwierdzić z przekonaniem, że to była pożytecznie wykorzystana godzina dzisiejszego popołudnia.

Chociaż bardzo dobrze pasowała do całej tej przekłętej historii, temu nie mógł zaprzeczyć. Wprost wyśmienicie.

– Skąd pan dzwoni? – spytał Kluuge.

– Ze Stamberga – odparł mężczyzna. – Już mówiłem.

– Tak, tak – odparł Kluuge i wytarł sobie pot z czoła. – O co chodzi?

– Przecież wszystko opowiedziałem tej dziewczynie z centrali.

– Ale teraz rozmawia pan ze mną. Proszę jeszcze raz.

– No dobrze. Nazywam się Tomasz Wack i chyba będę mógł wam pomóc.

– W czym?

Kluuge zapisał sobie nazwisko.

– No w sprawie tego zabójstwa, oczywiście. W Waldingen. Czy to pan się nim zajmuje? Żebym nie musiał opowiadać wszystkiego od nowa komuś trzeciemu.

– Tak, ja – potwierdził Kluuge.

– Okej. No więc... – Kluuge niemal słyszał, jak tamten się wyprostował i zaczerpnął powietrza. – ...chyba wiem, co się tam stało, bo akurat...

Zaległa cisza.

– Tak? – odezwał się Kluuge.

– Czy wierzy pan w opatrność, panie komisarzu?

– Nie jestem jeszcze komisarzem... ale nieważne. Co pan ma na my-

śli?

– Nie wie pan, co to jest opatrność? Siła, która panuje i decyduje. Która wszystko naprawia i na której możemy ślepo polegać, niezależnie od...

– Rozumiem – przerwał mu Kluuge. – Może przejdźmy do rzeczy, panie... – sprawdził nazwisko w notesie – Wack. Mamy sporo pracy i niewiele czasu.

– No tak, domyślam się. No więc mogę wyjaśnić, jak doszło do tego mordu i jaki on miał cel.

– Cel?

– Tak, cel. Ścieżki Pana mogą się wydawać nam, zwykłym ludziom, niezbadane, ale zawsze jest w nich jakiś zamiar... plan i sens. We wszystkim, panie komisarzu, czyli...

– Chwileczkę – przerwał mu znowu Kluuge. – Niech pan będzie tak uprzejmy i powie mi wreszcie to, co ma do powiedzenia, zamiast rozwódzić się bez przerwy o czym innym. W przeciwnym razie odłożę słuchawkę.

– Miałem wizję – oznajmił mężczyzna. – I w tej wizji widziałem, jak to wszystko się odbyło i jak wszystko się nawzajem wiąże.

– Proszę poczekać – odezwał się Kluuge – proszę poczekać! Jaki jest pana stosunek do religii, panie Wack, czy mógłby mi pan to powiedzieć?

– Wierzę w jedyne Boga.

– Czy jest pan członkiem Czystego Życia?

– Od początku – powiedział z dumą Tomasz Wack. – Od samego początku.

Kluuge jęknął i zsunął sobie pod stołem buty. Przeklęte owieczki! – pomyślał.

– Czy wie pan, kto zamordował Clarissę Heerenmacht? – spytał.

Pan Wack chrząknął podniośle.

– Clarissy Heerenmacht nikt nie zamordował – oświadczył z powagą. – Absolutnie nikt. Zabrał ją do siebie nasz Pan. To była obietnica i kara, które jednocześnie się spełniły... i ogromna łaska.

– Dziękuję, panie Wack – wtrącił Kluuge. – Zapisałem wszystko, co pan powiedział.

Rzucił słuchawkę i zawołał pannę Miller. Po pół minucie pojawiła się w drzwiach, tak samo obojętna i niewzruszona jak zawsze.

– Tak?

– Panno Miller, czy nie prosiłem panią, żeby nie przełączać do mnie żadnych obłąkańców? To już trzeci dzisiaj, a ja naprawdę mam co innego do roboty niż...

– Rozumiem – rzekła panna Miller, zanim on zdążył postawić kropkę. – Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko – westchnął Kluuge. – A, nie, czy nie mamy może wody sodowej w lodówce?

– Sprawdzę – powiedziała panna Miller i po kolejnej pół minucie była z powrotem.

– Skończyła się – oznajmiła beznamiętnie i wyszła.

No tak, ja też się zaraz wykończę, pomyślał Kluuge i ściągnął także skarpetki.

– Co twoim zdaniem naprawdę się stało? – spytał Przebuda, zapalając fajkę. – Może moglibyśmy wrócić do rzeczywistości.

Van Veeteren upił łyk wina z kieliszka i patrzył na resztki dań, nad którymi koncentrowali się przez ostatnią godzinę. Był sobotni wieczór, zaczynało się ściemniać i Andrej Przebuda przyniósł właśnie kilka świeczek, których drżące płomienie rzucały migotliwy blask na stół. Przez krótką chwilę komisarz czuł się tak, jakby jego świadomość przeniosła go gdzie indziej... jakby nagle znalazł się w środku filmu; kiedy powoli przesunął wzrokiem po sprzętach w pokoju, po ich ciemnych konturach i oszczędnie oświetlonych powierzchniach, zrozumiał, jakim doznaniem musiało być prowadzenie kamery pod kierunkiem Kieślowskiego czy Tarkowskiego. Czy wręcz bycie samemu okiem kamery. Ten entourage nie był oczywiście przypadkowy czy nieprzemyślany. Przebuda nie należał do ludzi niedbających o szczegóły. Znowu rozmawiali o sztuce filmowej, o środkach wyrazu i uwarunkowaniach niezbędnych, by niewidzialne uczynić widzialnym i nadać mu kształt. O tym specyficznym zabiegu, który sprawia, że wieloznaczny i irracjonalny świat staje się na zwykłym dwuwymiarowym ekranie całkiem czytelny i zrozumiały. Oczywiście, jeśli tego przeniesienia dokonuje właściwa osoba. Jest przecież tylu partaczy... całe mnóstwo.

– Do rzeczywistości? – powtórzył komisarz, kiedy zamrugawszy oczami, przepędził iluzje. – Hm, no tak... zdaje się, że za dużo myślę. W tej historii jest tyle przedziwnych rzeczy i aby zepchnąć je na margines... za wiele dziwactw w tej sekcji, mówiąc dokładnie. Te przekłete idiotyzmy i chore idee zniekształcają całą perspektywę. Oddalają od tego, co istotne... chyba mówiliśmy już o tym poprzednim razem.

– A gdzie w tym wszystkim jest istota? – spytał Przebuda, po czym wydmuchnął gęsty obłok dymu, który sprawił, że stół i resztki na nim wyglądały przez chwilę jak pole bitwy w miniaturze.

– Istotą jest to – podjął komisarz, kiedy dym się rozpląnął – że w niedzielny wieczór w Waldingen zamordowana została pewna dziewczynka. Jeśli skoncentrujemy się wyłącznie na tym i pozostawimy działalność Czystego Życia na boku, to być może wtedy do czegoś dojdziemy.

– Rozumiem – powiedział Przebuda. – Wobec tego zrekonstruujemy niedzielne popołudnie i zobaczymy. Zamieniam się w słuch.

– Przyznam szczerze – odezwał się Van Veeteren – że czuję się trochę niezręcznie, że ty przygotowujesz dla mnie taką wspaniałą ucztę, a ja potem jeszcze zawracam ci głowę swoimi służbowymi sprawami...

– Nonsens – przerwał mu gospodarz. – Myślisz, że naprawdę zależy mi na tym, żeby po okolicznych lasach grasował jakiś zbrodniarz? Oprócz tego chciałbym przypomnieć, że mam też swoją małą gazetkę... więc o czyje sprawy zawodowe tu chodzi, dopiero się okaże.

Komisarz dał się przekonać i sięgnął po kolejnego papierosa. Znowu wrócił do nałogu. Przez kilka ostatnich dni palenie nie sprawiało mu przyjemności. Ale kiedy wreszcie uwolni się od tej sprawy, postara się wytyczyć sobie nowe i wyraźne granice. Pod kilkoma względami.

– No dobrze – powiedział i wyprostował się na krześle. – Skoro nalegasz. Niedziela po południu, zaczniemy zatem od niedzieli po południu... Spędzam tam mniej więcej dwie godziny. Rozmawiam z Jellinkiem, ze wszystkimi trzema kobietami i z dwiema z uczestniczek obozu. Nie twierdzę, że jestem specjalnie dokuczliwy, ale kiedy odjeżdżam stamtąd około trzeciej, wywołuję widocznie jakiś niepokój... i uruchamiam jakiś proces... pytanie tylko – jaki dokładnie.

Zrobił pauzę, jednak Przebuda, oparty wygodnie po drugiej stronie stołu, nie odzywał się ani słowem i tylko patrzył na niego sponad swoich okularów.

Ze skupioną powagą. Być może przyprawioną szczyptą łagodnej poślizliwości. Komisarz westchnął i mówił dalej:

– Tak czy inaczej, moja wizyta przypuszczalnie zakłóciła plany na popołudnie. Przewidziane zajęcia – chyba jakieś zajęcia w grupach nad przykazaniami – odwołano i dziewczynki dostały godzinę wolnego. Mogły robić, co chciały, a to, jak zdążyłem się zorientować, było

czymś niecodziennym w programie. Normalnie starano się zajmować je różnymi pobożnymi sprawami od samego rana aż do wieczora. Godzina za godziną... nie dając możliwości nawet na zastanowienie się, chyba głównie o to chodziło. Nie mam pojęcia, co Jellinek i jego metresy robili wtedy przez te popołudniowe godziny, ale pewnie wszyscy czworo gdzieś siedzieli i się naradzali. Omawiali sytuację i tak dalej. Tak czy siak, o szóstej podano jak zwykle kolację, z tym wyjątkiem, że nie było na niej Jellinka. Zupa jarzynowa z makaronem... chleb, masło i ser. Trochę spartański jadłospis, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego.

– Jellinek...? – zaczął Przebuda.

– Nie bierze udziału w kolacji ani w poprzedzającej ją modlitwie. Jak co wieczór natomiast idzie między siódmą a za kwadrans ósma z czterema dziewczynkami po mleko do Fingherów. Potem pokazuje się tuż po dziewiątej, jak udało się nam ustalić. Prowadzi jak zwykle wieczorne spotkanie... ale wcześniej dziewczynki dowiadują się od kobiet, że Czyste Życie zostało zaatakowane przez wroga i że zanoszą się na wielkie i ważne wydarzenia.

– Niepodobna – powiedział Przebuda, odkładając fajkę. – Oni naprawdę opowiadają takie rzeczy?

Van Veeteren pokiwał głową.

– Oczywiście – potwierdził. – Ale cofnijmy się jeszcze trochę i skupmy się na chwilę na tym, jak te małe wykorzystywały swoją wolność po południu. W bardzo różny sposób. Niektóre poszły kąpać się nad jezioro, niektóre położyły się i czytały – w domu albo na dworze, naturalnie same nudne wypociny dostępne w Waldingen. Historie świętych, pisemka parafialne i podobnego rodzaju tandetę. Kilka spacerowało po lesie, a czwórka wybrała się w miejsce nazywane klifem. Dwie z nich to te same, z którymi rozmawiałem kilka godzin wcześniej – Belle Moulder i Clarissa Heerenmacht. Wszystkie cztery kąpią się i są razem przez jakiś czas, ale tuż przed wpół do szóstej dwie wracają same do obozu... który leży niecałe czterysta metrów dalej, nie więcej. Zostają Belle i Clarissa, jedna ma czternaście, druga – dwanaście lat.

Znowu zatrzymał się na chwilę, jednak jego gospodarz nadal zach-

wywał obojętną twarz.

– Pół godziny później starsza z nich siedzi w jadalni i odmawia modlitwę przed jedzeniem. Młodsza... Clarissa... cóż, prawdopodobnie jeszcze żyje, ale pewnie już spotkała swojego zabójcę. W każdym razie nie zostało jej wiele godzin życia.

– Ufff – odezwał się Przebuda i zdjął z nosa okulary. – No nie, nie chciałbym zamienić się z tobą na pracę, mam nadzieję, że mi wybaczysz. Ale co mówi ta Belle? Tak się nazywała, prawda?

Komisarz skinął głową.

– Belle Moulder. No i tu jest pies pogrzebany. Bo, po pierwsze, nie mówi w ogóle za wiele. Ona z całej grupy wytrzymała najdłużej... i jako ostatnia przestała milczeć. Zdaje się, że jest dla pozostałych kimś w rodzaju przywódczyni, ale niezbyt skutecznej, jeśli dobrze odczytuję znaki. Po drugie, myślę, że ona kłamie, kiedy już w końcu otwiera usta. Twierdzi, że chciała wrócić z klifu razem z Clarissą, tyle że tamta wolała zostać sama, żeby się nad czymś zastanowić. No więc sobie poszła.

– Rozumiem – powiedział Przebuda. – A twoim zdaniem jak było? Bo widzę, że masz jakąś własną teorię.

– Myślę, że ona na nią nakrzyczała – rzekł Van Veeteren.

– Nakrzyczała? – powtórzył Przebuda i zaczął czyścić sobie fajkę wykałaczką. – Dlaczego?

– Dlatego że za bardzo się rozgadała, kiedy z nią rozmawiałem.

– Aha. A rzeczywiście się rozgadała?

Komisarz westchnął.

– A skąd. Ale one już takie są.

Przebuda zastanowił się chwilę.

– No dobrze – powiedział – nadal jednak nie uważam, że to mogło mieć jakieś zasadnicze znaczenie. Starsza koleżanka zostawia młodszą albo dlatego że się pokłóciły, albo tak po prostu. Co za różnica?

– Nie wiem – przyznał Van Veeteren. – Może żadna, tyle że jest jeszcze jeden drobny detal. Wiele wskazuje na to, że Belle Moulder późno wieczorem miała rozmowę w cztery oczy z Jellinkiem... jakoś tak po wieczornej zbiórce, jeszcze przed pójściem do łóżek. Czyli około wpół do dziesiątej. Kilka z dziewczynek wspomniało, że widziały

ich razem... ale czy tak było naprawdę, wiedzą tylko bogowie. Ona sama temu zaprzecza.

– A co by to oznaczało, gdyby rozmawiała z Jellinkiem?

– Trudno powiedzieć. Najbardziej prawdopodobne, że chciał uzyskać informacje o Clarissie Heerenmacht, bo pewnie już wtedy zauważył, że jej nie ma. A jeśli to on sam ją zamordował, to oczywiście tym lepiej wiedział.

Przebuda kiwnął głową i zabrał się do napełniania fajki tytoniem.

– Rozumiem – powiedział. – Chyba jestem w stanie sobie to wyobrazić. Masz ochotę na jeszcze jeden kieliszek?

– Myślisz, że to konieczne? – spytał komisarz. – No dobrze, ale tylko parę kropli.

Andrej Przebuda wstał i podszedł do narożnej szafki.

– A potem? – odezwał się Przebuda. – Co się działo na tej skale?

– Dobrze pytanie – powiedział komisarz. – No cóż, potem, prawdopodobnie w ciągu kwadransa od chwili, gdy Belle Mouldner odeszła, pojawia się morderca. Albo na dole, przy skale, albo spotyka ją po drodze do obozu. Nie sądzę, żeby ta mała zdecydowała się zrezygnować z kolacji, choć oczywiście nie można tego wykluczyć.

– Mówisz cały czas „on” – zwrócił uwagę Przebuda.

– Przyjmijmy, że to mężczyzna – rzekł komisarz. – Gwałci ją i morduje przez uduszenie. No i potem mamy kolejną komplikację.

– Doprawdy?

– Miejsce – wyjaśnił komisarz. – Chciałbym wierzyć, że nawet w najbardziej perwersyjnych wzorcach zachowań tkwi jakaś logika, rozmawialiśmy już kiedyś o tym. Sprawca zabija ją, a jedyną pewną rzeczą jest to, że nie zrobił tego tam, gdzie ją później znaleziono. Bo nic nie wskazuje na walkę czy przemoc w tamtym miejscu, co znaczy, że musiała zostać tam przeniesiona już po wszystkim. Albo tuż po zabójstwie, albo później. Przez mordercę lub kogoś innego.

– Przez mordercę lub kogoś innego...? – powtórzył Przebuda, lekko unosząc brwi.

– Powód, dla którego przeniesiono zwłoki, też nie jest do końca jasny – kontynuował Van Veeteren. – Zazwyczaj bowiem robi się tak po

to, aby ukryć ciało, a tutaj można odnieść wrażenie, że chodziło o coś wręcz odwrotnego – o ułatwienie nam znalezienia go.

Andrej Przebuda potaknął.

– Masz na myśli ten telefon od kobiety?...

– Tak – potwierdził komisarz. – Tylko pamiętaj, żeby o niej nie pisać. Byłbym ci bardzo wdzięczny. Może to zupełnie bez sensu, ale kierujący dochodzeniem postanowił na razie trzymać jej istnienie w tajemnicy. No i jak, nasuwają ci się jakieś wnioski?

Na chwilę zaległa cisza. Van Veeteren przyglądał się paczce papierosów leżącej przed nim na stole, ale jej nie ruszał. Splótł ręce na karku i odchylił się do tyłu. Zastanawiał się, czy powiedział o wszystkich najistotniejszych rzeczach, czy czegoś jeszcze brakowało.

I czy w ogóle możliwe jest wyciągnięcie z tego jakichkolwiek sensownych wniosków.

– Dwa – odezwał się w końcu Przebuda. – Dwa wnioski. Ona chyba wie, o czym mówi, i chce pomóc policji. Mam na myśli tę kobietę.

Van Veeteren nie odpowiedział.

– Ale mam też dwa pytania – kontynuował Przebuda. – Dlaczego? I kim ona, do cholery, jest?

– Pan redaktor wprost tryska inteligentnymi pytaniami – stwierdził komisarz. – Ale jest jeszcze jedno.

– Wiem, wiem – powiedział Przebuda. – Jak to możliwe? Jak to możliwe, że ona, u diabła, tyle wie?

– No właśnie – odparł Van Veeteren. – Głowię się nad tymi znakami zapytania już od kilku dni. Kto to jest? Skąd wie? Dlaczego chce nam pomóc?

– A może... – zaczął Przebuda, lecz nagle urwał.

– No?

– Tak, przecież wystarczy, jeśli uzyskasz odpowiedź na jedno z nich. Wtedy pozostałe same się wyjaśnią. Mam rację?

Komisarz westchnął.

– Prawdopodobnie – rzekł. – A jakieś propozycje w tym kierunku? Taki doświadczony stary dziennikarz powinien poradzić sobie z tym śpiewająco.

Przebuda zaśmiał się głośno. Potem chrząknął i zrobił poważną

minę.

– Nie – powiedział. – Ale to przecież niemożliwe, żeby intuicja pana komisarza przez cały długi tydzień była uśpiona i martwa? Uważasz, że to jedna z nich? Jedna z tych kobiet w Waldingen, tak?

Van Veeteren przyglądał się przez kilka sekund trzepoczącym płomieniom świec.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Myślę, że jedną mogę na pewno wykluczyć.

– To już coś – rzekł Przebuda.

Przez cmentarz po zachodniej stronie miejscowości, a potem krętą ścieżką rowerową i szlakiem dla pieszych prowadzącym aż do dzielnicy willowej Kaasenduijk – gdzie, nawiasem mówiąc, mieszkał pełniący obowiązki komendanta policji Kluuge ze swoją Deborah – zmięli szerokim łukiem od północy z powrotem w stronę Sorbinowa. Trzy, cztery kilometry, w sumie godzina marszu w umiarkowanym tempie przez pełen zapachów letni wieczór. Na początku Przebuda zabawiał swojego gościa rzucanymi od czasu do czasu spostrzeżeniami na temat wszystkiego, co mijali po drodze – budowli, lokalnych ciekawostek, flory i fauny (głównie komarów i krów w czarno-białym wydaniu) – stopniowo jednak zmęczył się i w końcu obaj wrócili znowu do stałego punktu porządku dnia, co do którego nieuchronności byli, jak się zdaje, obaj zgodni.

– Ten typ, Jellinek... musiał zniknąć chyba jakoś w nocy?

– I znowu ten sam kłopot – mruknął Van Veeteren. – Nie wiemy tego. Wiadomo, że był w obozie jeszcze za kwadrans dziesiąta, a potem żadna z dziewczynek już go nie widziała. Zakładamy, że pewnie czmychnął przed świtem. Jedna z nich – notabene tylko jedna – mówi, że chyba słyszała, jak w nocy ktoś uruchomił samochód.

– Samochód?

– Tak, mieli jedno auto. Starego vauxhalla, zarejestrowanego na Madeleine Zander. Jellinek nie zrobił nawet prawa jazdy.

– Ale przecież ono nadal tam stało?

– Zgadza się. Stało na swoim miejscu w poniedziałek rano. Ona – albo któraś z dwóch pozostałych – mogła zawieźć go dokądś w nocy,

jednak nie mamy na to żadnych dowodów.

– A jak inaczej by się stamtąd wydostał?

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– Cholera wie. Najbardziej logiczne, że skorzystał z tego samochodu, ale w gruncie rzeczy co nam to da?

– A co z sąsiadami? – spytał Przebuda.

– Jedni to Fingherowie – powiedział Van Veeteren. – Z nimi mieli kontakt. Trochę dalej w lesie mieszka małżeństwo, Kuijperowie. I jedni, i drudzy byli tamtej nocy w domu, ale nie słyszeli żadnego samochodu. Choć to oczywiście o niczym jeszcze nie świadczy. Można też przyjąć, że Jellinek ukrył się u któregoś z członków swojej sekty... ale jest ich z tysiąc, więc potrzeba by dużo ludzi, gdybyśmy chcieli go wytropić. Policja w Stambergu robi, co może, i chwyta każdego, kogo się da, ale na razie efekty są mierne. Poza tym jest pora urlopów... pomijając już to, że ludzie nie chcą współpracować.

– No tak, no tak – powiedział Przebuda i odegnał chmurę komarów.

– Nie macie faktycznie sprzyjających wiatrów.

Przez kilka chwil szli w milczeniu.

– Ale dlaczego – podjął znowu wątek redaktor, idąc za własnym tokiem rozumowania – dlaczego miałby uciekać, gdyby był niewinny? Czy to nie świadczy o tym, że jednak jest winny?

– Bardzo możliwe – potwierdził komisarz. – Choć i tak nie brakowało mu powodów, żeby zaszyć się pod ziemią. Miał już wcześniej do czynienia z policją, a skoro teraz zaczęły znikać dzieci z jego obozu, to przecież wiedział, że znalazł się w niewesołej sytuacji. Oczywiście ucieczka w takich okolicznościach jest kompletnie bez sensu, ale w pewnej mierze zrozumiała. Nie możemy też zapominać, że mamy tu do czynienia z człowiekiem niestabilnym emocjonalnie.

– Czyli chcesz powiedzieć, że jednak jest w tym pewna logika.

– Niewątpliwie – odrzekł komisarz. – Zastanawiałem się nad tym i myślę, że byłoby o wiele dziwniej, gdyby Jellinek został na miejscu. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę zaginięcie tej drugiej dziewczynki, która przepadła nie wiadomo gdzie – tylko nie zapominaj, że to musi pozostać między nami; jesteś jedynym dziennikarzem w kraju, który o tym wie – no i też to, z jakiej gliny jest ulepiony ten cały Jellinek.

– Rozumiem – odezwał się Przebuda. – Chociaż nie do końca pojmuję, jaki z tego wniosek... czy to znaczy, że nie ma niczego, co łączyłoby go i jego klikę z tymi okropnościami?

– Faktycznie – westchnął Van Veeteren. – W każdym razie nic konkretnego i przekonującego. Skłaniam się raczej ku przekonaniu, że mamy tu do czynienia z zupełnie nieznanym szaleńcem, który grasuje po okolicznych lasach.

– I nie ma żadnego związku z Czystym Życiem?

– Najmniejszego.

– To byłoby straszne – powiedział Przebuda.

– Choć oczywiście również oni mogą kryć się za tym wszystkim.

– Naturalnie – rzekł Przebuda. – Albo on, albo jedna z nich.

Zatrzymał się i zapalił fajkę, po czym zarówno on, jak i komisarz ponownie popadli na dłuższą chwilę w zadumę, przecinając ramię w ramię w wolnym tempie teren, po którym przebiegały trasy biegu aspiranta Kluugego. Ale o tym geograficznym szczególe nie wiedział nawet redaktor.

– No cóż – odezwał się znowu Przebuda, gdy weszli z powrotem między zabudowania. – Tak czy siak... koszmarne historia. Mam nadzieję, że zdołacie ją jakoś rozwikłać. Widzę, że raczej niewiele pomogłem... Poza tym nasze drogi tutaj się rozchodzą. Tu zaraz jest twój hotel... ale jeśli kiedyś znowu potrzebowałbyś doktora Watsona, mój mały mózdzek jest oczywiście do twojej dyspozycji.

– Dzięki – powiedział Van Veeteren. – Dwa małe mózdzki to i tak więcej niż jeden.

Pożegnali się, lecz ledwie Przebuda uszedł pięć kroków w kierunku Kleinmarckt, przystanął.

– Myślisz, że dasz radę rozwiązać tę zagadkę? – zapytał jeszcze. – Zwykle wyjaśniasz swoje przypadki?

– Większość – odparł Van Veeteren.

– Są też niewyjaśnione?

– Jeden – stwierdził komisarz. – Ale może lepiej o tym nie rozmawiajmy. Jak to się mówi... każdy dzień przynosi nowe zmartwienia.

– Z pewnością – rzekł Przebuda, a Van Veeteren miał wrażenie, że widzi, jak dziennikarz uśmiecha się w ciemnościach. – Dobranoc, ko-

misarzu. Niech aniołowie ukołyszają cię do snu.

Nie, nie, pomyślał ponuro Van Veeteren, byle tylko nie deliberować teraz nad przypadkiem G. Było, jak było, i koniec.

Kiedy przekroczył hotelowe drzwi z mlecznego szkła, zły nastrój już całkowicie nim zawładnął.

Mogłem zahaczyć o inne rzeczy, pomyślał. Mogłem skierować uwagę na co innego.

Na Katarinę Schwartz, na przykład. Albo Ewę Siguerę. Czy na potencjalnych gwałcicieli krążących po okolicy. Poza tym miał, do diabła, też się czym pochwalić!

Ale może ta jego samokrytyka jest w ogóle nieuzasadniona. W końcu fakt zniknięcia tej małej Schwartz – mimo pozostawania przez cały tydzień w świetle reflektorów – wciąż udawało się utrzymać w tajemnicy przed dziennikarzami. Lecz to należało raczej przypisać szczęściu, a nie czyjemuś sprytowi, poza tym czy to właściwie miało jakieś większe znaczenie. Może tak, a może nie.

A od francuskiej policji nic nie przyszło.

Flauta, pomyślał komisarz (który siedział na żaglówce zaledwie dwa razy w życiu – w obu przypadkach w towarzystwie Renate). Przez całą sobotę w Sorbinowie nie wiał nawet lekki wiatr, toteż śledztwo nie posunęło się ani o milimetr do przodu.

Zatem flauta.

Przypomniał sobie sugestywną ciszę wczoraj w Wolgershuus i zrozumiał, że kwestia przemijania i śmierci ma chyba więcej aspektów, niż zazwyczaj ludzie sobie wyobrażają.

Madeleine Zander i Ulriche Fischer! – pomyślał z odrazą, stojąc przy ladzie recepcji w oczekiwaniu na klucz. Czy on rzeczywiście musi zaprzętać sobie głowę także nimi?

Kiedy pojawił się młody recepcjonista z nocnej zmiany, okazało się, że jest jeszcze jedno kobiece imię, które psuje mu szyki.

Choć w trochę odmienny sposób.

Reinhart przysłał bowiem wiadomość. Krótką i zwięzłą:

Nie ma ani jednej Ewy Siguerę w całym kraju. Czy mam sprawdzić resztę świata?

Odpowiedź Van Veeterena była równie rzeczowa:

Wystarczy Europa. Dziękuję z góry.

No tak, pomyślał, gdy już znalazł się w łóżku. Właściwie mogę robić dalej tak, jak zaplanowałem.

Druga ofiara mordercy z sekty – jak kilka tygodni później nazwie go wiele gazet – została znaleziona o szóstej rano w niedzielę przez dwójce harcerzy, szesnastoletniego chłopaka i piętnastoletnią dziewczynę, którzy odbywali długi marsz przez lasy na północny zachód od Sorbinowa. Na usilną prośbę obojga nigdy nie ujawniono, dlaczego akurat o tej porze dnia znajdowali się ponad cztery kilometry od obozu, ale komendant policji Kluuge – który znowu jako pierwszy przybył na miejsce – miał oczywiście swoje przypuszczenia.

Ciało dziewczynki leżało pod stosem zielska i suchych gałęzi około dwudziestu metrów od wąskiej drogi biegnącej z Waldingen na Limbus i Sorbinowo, a od najbliższego budynku obozowego nie dzieliło jej więcej niż sto pięćdziesiąt metrów. Odległość między nowym a starym miejscem znalezienia zwłok wynosiła – jak ustalono później – trzykrotność tego odcinka. Mieli więc wszelkie powody, by zakładać, że ekipa, która przez dwa dni przeczesywała okolicę po pierwszym zabójstwie, powinna była natrafić na tę ofiarę, poza tym być może – pomyślał jeszcze Kluuge zupełnie bez związku – trupia bladość na twarzy harcerki wynikała z tego, że dziewczyna nie mogła zapomnieć, co kryje się tuż przed nią pod górą gałęzi.

W każdym razie takie miał wrażenie, kiedy się jej przyglądał, oprócz tego wiedział także, że gdy tak siedzieli we troje na stercie belek i czekali na zespół lekarzy oraz techników kryminalnych, widząc, jak słońce wschodzi nad lasem, te zupełnie nieistotne spekulacje pojawiły się w jego głowie tylko po to, żeby powstrzymać inne myśli.

Kiedy porównał Katarinę Schwartz, której martwe ciało niemal przez dwa tygodnie leżało porzucone w lesie, zredukowane do procesów chemicznych, ze zdjęciem uśmiechniętej dziewczynki z jasnymi warkoczami, które miał w swojej teczce, nie miał wątpliwości, że jego myśli potrzebują jakiegokolwiek odskoczni.

Postarzałem się, pomyślał. Mimo że minął dopiero tydzień, od kie-

dy stałem się dorosły.

Pierwsze informacje ze sporządzonej wstępnie ekspertyzy były dostępne tuż po pierwszej po południu. Wynikało z nich niezbicie, że ofiarą była niejaka Katarina Emilie Schwartz, lat trzynaście, zamieszkała w Stambergu. Została zgwałcona (brak śladów spermy) i uduszona; miała w przybliżeniu identyczne obrażenia jak pierwsza ofiara, Clarissa Heerenmacht, i prawdopodobnie spotkała swojego oprawcę od dwunastu do szesnastu dni temu. Ani w miejscu znalezienia zwłok, ani w jego pobliżu nie natrafiono na żadne ubrania czy ich pozostałości, w związku z czym uznano za prawdopodobne, że dziewczynka została pozbawiona życia gdzie indziej. W komunikacie prasowym rozesłanym po południu podano do wiadomości wszystkie znane okoliczności dotyczące tego tragicznego odkrycia – oprócz tego, że policja już wcześniej miała pewną wiedzę o zniknięciu nastolatki.

Wraz z komunikatem prasowym opublikowano też dwa listy gończe.

Ponowny za przywódcą sekty Oscarem Jellinkiem.

I nowy – za rodzicami ofiary.

Tak się złożyło, że nieco później w to samo popołudnie przyszedł faks z francuskiej policji – odnaleziono pana i panią Schwartz na tak zwanym *gîte* na farmie w Bretanii – i zanim w tę długą niedzielę nad Sorbinowem zaszło słońce, owa biedna para wyruszyła w drogę powrotną do domu, by jak najszybciej ujrzeć ziemskie szczątki swojej córki.

A kiedy stara pani Grimm – właścicielka hotelu, właściwie obojętna na wszystko, co nie miało związku z królewskim majestatem albo z czeską porcelaną – późno wieczorem sprawdzała książkę gości, stwierdziła, że po pierwsze, wszystkie pokoje są zajęte, a po drugie, że liczba gości, którzy w rubryce „zawód” podali „dziennikarz” lub pokrewne mu profesje, była oszałamiająco duża.

Co się zaś tyczy pana Van Veeterena (zegarmistrza i horologa), który mieszkał od dziesięciu dni pod numerem 22, jeszcze o północy nie wrócił ze swojej wycieczki, na którą udał się przed południem.

Ponieważ jednak zostawił znaczną część swego bagażu w pokoju,

nie żywiła żadnych obaw, że mógłby się ulotnić, nie zamierzając wrócić i uregulować rachunku.

Ogólnie rzecz biorąc, sprawiał przecież wrażenie porządnego człowieka.

V

28-31 lipca

Przez pierwsze dziesięć kilometrów czuł się niemal jak zbieg, któremu udało się uciec.

Nie miał specjalnie dużych wyrzutów sumienia. Mniej więcej takie jak za czasów gimnazjalnych, kiedy, jak sobie przypominał, w letnie przedpołudnie zrywał się z francuskiego czy fizyki i wraz z podobnymi sobie pedałowal rowerem nad kanał, aby obserwować trening pływacki dziewczyn. Albo nad Oudenzee, żeby po prostu wylegiwać się na plaży i po kryjomu palić.

A więc wagary. Nie miał wątpliwości, że Kluugego i resztę zostawił na pastwę losu. I w rezultacie nabrał też pewności, że Krantze w gruncie rzeczy jest dosyć dobrą alternatywą.

Dosyć zabawne, że potrafił zachować taki dystans. Przynajmniej tak mu się zdawało, kiedy siedząc za kierownicą, jechał dosyć pustą jeszcze drogą. Było dopiero przedpołudnie. Servinus poinformował go przez telefon o nowym znalezisku już o ósmej rano. Kolejne zwłoki dziewczynki. Zwalczywszy pierwszy odruch obrzydzenia, rozmawiał potem przez telefon na zmianę z Kluugem, Lauremą i Suijderbeckiem, ale nie zdradził im swoich planów.

Nie wrócił do Waldingen, żeby mieć własny ogląd sytuacji, i nie dręczyły go z tego powodu wyrzuty sumienia... no, może odrobinę. Czuł jednak, jak narasta w nim zmęczenie, a teraz chodziło o to, aby stawić mu czoło... tej ławie chmur, które wdzierały się w krajobraz jego duszy i przesłaniały go śmiertelnym cieniem – pomyślał w kolejnym przyływie krasomówczym... ciemne niebo znużenia i smutku. Przecież wiedział. Przez wszystkie ostatnie dni czekał tylko na to odkrycie i właśnie dostał potwierdzenie.

Tak więc ów dystans nie był chyba niczym więcej niż obroną przed bezsilnością. Teraz czuł się przygotowany i zdolny do obrony. W końcu nie jest już młodzieniaszkiem. Niemało przeszedł do tej pory.

Może nawet za dużo.

– Mam parę tropów – oznajmił. – Przypuszczalnie nie są jakoś szczególnie istotne, ale mimo wszystko lepiej będzie, jeśli je sprawdzę. A wy dacie sobie radę beze mnie. Przecież tak naprawdę na to czekaliśmy, czyż nie?

Kluuge nie ośmielił się zaprotestować. Bąknął, że właśnie spodziewają się dodatkowego wsparcia i że ma nadzieję, iż komisarz niedługo wróci.

– Zobaczymy – powiedział Van Veeteren. – Jeśli moje poszukiwania nic nie dadzą, może pojawię się już dziś wieczorem.

Bezczelne kłamstwo. Miał zamiar zostać w Stambiegu co najmniej dwie noce, a z Grimm's nie wymeldował się całkowicie tylko dlatego, że się wstydził.

Ale wolał już zdecydować się na dublowanie noclegów, co na pewno wywołał niejedną komentarz w dziale płac, niż znowu znaleźć się przed kolejnym zmaltratowanym ciałem dziecka.

Albo wyjaśniać, dlaczego nie mógł znieść samej myśli o tym. Po prostu tak jest, i koniec.

A kiedy zaczął zastanawiać się nad swoją decyzją – pokonując kolejne kilometry i słuchając rozbrzmiewającego z głośników Boccheriniego – zadziwił się trochę samym sobą, było to jednak zadziwienie naznaczone piętnem zaspokożenia pomieszanego z rezygnacją. Właśnie takie. Ani go nie irytowało, ani nie mógł nic na nie poradzić.

Mam już tego po dziurki w nosie, stwierdził w duchu. Nie chcę znowu stać i gapić się na martwą trzynastolatkę. Dotarłem do pewnego punktu, nareszcie. Teraz jest wszystko jasne. W końcu mnie dopadło.

Decyzja podjęta.

Zatrzymał się mniej więcej w połowie drogi, gdzieś po osiemdziesięciu kilometrach, na parkingu w okolicy Aarlach. Zasłona chmur gęstniała przez całe przedpołudnie, znad otwartych pól wiał silny północno-zachodni wiatr, spodziewał się więc, że jeszcze przed wieczorem spadnie deszcz. Mimo to usiadł na zewnątrz przy stoliku, żeby przy kawie i wodzie mineralnej zajrzeć do pierwszych wydań wieczornych gazet. Miał przed sobą „Poost” i „Neuwe Gazett”.

Na razie nie było w nich nic o nowym zabójstwie w Waldingen, jed-

nak na pewno już niedługo dopadną go wielkie tytuły. Z łatwością potrafił sobie wyobrazić, jak będą brzmiały. A także jak nerwowa atmosfera musi teraz panować w zespole dochodzeniowym.

Znał też nieposkromiony apetyt hordy dziennikarzy, którzy właśnie w tej chwili zmierzali w kierunku sorbinowskich lasów, aby wbić zęby w nowe, świeże zwłoki zamordowanej dziewczynki.

No, niezupełnie świeże, poprawił się. Mają przecież co najmniej dwa tygodnie.

Co nie czyniło sprawy prostszą.

Aż zatrzęsł się z obrzydzenia i wypił do dna wodę z butelki.

Potem zapalił papierosa, próbując się skoncentrować na tym, co mogło go czekać w Stambiegu.

Dosyć już myślenia o ucieczce.

Rozmowa z komendantem Puttemansem zajęła mu około godziny. Przez cały czas przyglądał się kroplom deszczu spływającym powoli po lekko falowanej okiennej szybie. Właściwie nie wiadomo dlaczego, ale w tych cienkich, nieregularnych strumieniach było coś, co mu się podobało, i nie mógł oderwać od nich oczu. Nie chciał przegapić nieprzewidywalnego momentu, kiedy niekończące się krople będą wreszcie miały dość i zdecydują się płynąć do góry; tak, zdaje się, że coś takiego roilo mu się w głowie. Coś mającego związek z rewoltą i pokrewieństwem dusz.

Albo z pierwszymi objawami alzheimera, pomyślał przerażony.

Po skończonej rozmowie uścisnęli sobie dłonie. Puttemans wrócił do domu, do rodziny i czekającej na niego niedzielnej kaczki (za którą Van Veeteren uprzejmie, ale stanowczo podziękował), podczas gdy on sam został jeszcze trochę na komendzie i zadzwonił do kilku osób wyszukanych specjalnie dla niego przez kolegę.

Poumawiał się na spotkania następnego dnia, a kiedy odłożył słuchawkę po ostatnim połączeniu, stwierdził, że nadal pada.

I że krople pozostały przy swoim kierunku – z góry w dół.

Siedział jeszcze na miejscu przez dwadzieścia minut, przeglądając notatki z rozmowy z Puttemansem. Następnie zapalił papierosa. Deszcz wreszcie ustał i komisarz opuścił komendę. Przez kilka minut

krążył niezdecydowanie po centrum, dwa razy zawrócił w drzwiach barów, które wyglądały równie nędznie, jak jego motyw, by się w nich zaszyć, aż wreszcie tuż po szóstej natrafił na hotel o standardzie zbliżonym do tego, czego oczekiwał.

Nazywał się Glossmann's. Zacisznie położony. Niewielki. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat.

Dyskretna jadalnia z białymi obrusami na stołach i telewizor w pokoju.

Telewizor był w tej sytuacji dużym atutem. Komisarz zameldował się i oznajmił, że zamierza zostać na dwie noce. Ewentualnie jedną albo kilka więcej. Poprosił w recepcji o dwa piwa, a potem zafundował sobie długą, orzeźwiająca kąpiel, nie mogąc się uwolnić od powracających myśli mniej lub bardziej wywrotowej natury.

Stosownie do swego wieku i znaczenia miasto Stamborg posiadało kilka kościołów wywodzących się z różnych stuleci i stylów (między innymi bazylikę Moriska w samym centrum starego miasta, z ołtarzem dzieła Despré albo jednego z jego uczniów). Kiedy jednak Van Veeteren dotarł w końcu do świątyni Czystego Życia, zrozumiał, że chodzi tu o zupełnie inny rodzaj duchowości.

Z gruntu inny. Architektura późnych lat sześćdziesiątych – jeśli w owych latach w ogóle istnieli architekci. Brudnoszary beton ze wstawkami z czerwonawobrazowej cegły, nieproporcjonalne okna w poziomych i wyciętych według własnego widzimisię segmentach. Hala sportowa albo zamknięte na lato gimnazjum – to było pierwsze skojarzenie, jakie nasunęło się Van Veeterenowi. Obezwładniające wrażenie smutku i rezygnacji; zaniedbane rabaty i mniszek w szczelinach między płytami chodnika świadczyły jednoznacznie, że zawieszono działalność. I to bardzo. Że jest lato i że uprawa pól ducha leży odłogiem.

Miejsce opuszczone przez Boga i ludzi! – stwierdził i kopnął jakąś puszkę po piwie w wyschnięty krzew tawuły. Przybytek leżał poza tym zupełnie na uboczu. Na terenie, który przypominał dzielnicę przemysłową – z niemymi, czworokątnymi kompleksami fabrycznymi i opustoszałymi ulicami bez chodników. To nie był kościół w środku

wsi. Kiedy obszedł wkoło podłużny budynek, zauważył, że nie brak zewnętrznych sił, które postawiły sobie za cel trzymać wiernych z daleka.

„Przeklęci mordercy” – widniał ukośny napis na drzwiach wejściowych na frontonie, zrobiony sprejem z wysokich na pół metra, nierównych liter. „Śmierć kanalii” – przeczytał nieco niżej – co razem ze sporą liczbą „fucków” i innych powszechnie znanych wulgaryzmów sprawiało w sumie dość przygnębiające wrażenie. Zauważył także, że znaczna część tej twórczości była całkiem świeżej daty; młodzi, anonimowi artyści *al fresco* oddali się swojej pasji prawdopodobnie w któryś z ostatnich dni.

Albo raczej nocy.

Inny Świat, pomyślał i oddalił się z tego miejsca nędzy.

Jeśli to prawda, że paralela z pierwszymi chrześcijanami i ich prześladowaniem stanowi rodzaj dogmatu w katechezie Czystego Życia, to te napisy oznaczały dla członków sekty wodę na ich młyn.

Co w panujących okolicznościach nie było żadnym pocieszeniem.

Po długiej kolacji w niemal pustej jadalni wrócił na górę do pokoju dokładnie na wiadomości o dziesiątej. Włączył telewizor i rozsiadł się wygodnie na łóżku.

Dziennik trwał dwadzieścia minut. Z nieskrywanym obrzydzeniem stwierdził, że prawie połowę czasu poświęcono wydarzeniom w sorbińskich lasach.

Zdjęcia z miejsc znalezienia zwłok – ostatnich i pierwszych. Obrazy zabudowań obozowych i fotografie obu zabitych dziewczynek – za życia, pogodnie uśmiechniętych. Informacje o ich wieku, miejscu zamieszkania i zainteresowaniach. Karty pedagogiczne z wyraźnymi krzyżykami i strzałkami. Zawile podsumowanie dotychczasowych prac dochodzeniowych i na koniec wywiady.

Najpierw Kluuge, który wyglądał na spoconego i zakłopotanego i nie robił wrażenia osoby wiarygodnej, jak z przykrością stwierdził komisarz. Następnie Suijderbeck, który w ciągu pół minuty zdążył cztery razy zakląć i którego wyraźnie sporo wysiłku kosztowało powstrzymanie się od tego, by nie posłać przylizanego reportera do

wszystkich diabłów.

Na koniec migawka z konferencji prasowej i dopiero tutaj po raz pierwszy dało się dostrzec jakieś światelko na horyzoncie.

Przynajmniej z punktu widzenia Van Veeterena. Bo dwa miejsca z samego brzegu po prawej stronie podium zajmowali nie nikt inny, tylko komisarz Reinhart i aspirant Jung – przepraszam, już inspektor Jung. I chociaż żaden z nich nie był skłonny do uśmiechu (Reinhart wyglądał raczej, jakby przeżuwał kawałki potłuczonej szklanej butelki), uwadze komisarza nie uszło kilkakrotne drgnięcie mięśni policzka. Własnego, prawego.

Co prawda minęło, gdy tylko koledzy zniknęli z ekranu, ale ich nieoczekiwane pojawienie się na scenie wywołało nieuchronnie lekkie uczucie ulgi i ostrożnego optymizmu. Po raz pierwszy od dawna.

Ciekawe, czy wprowadzą się do Grimm's, pomyślał Van Veeteren. Może powinienem się do nich odezwać?

Jednak po głębszym zastanowieniu się dał spokój. Za to całe dwie godziny poświęcił na studiowanie wszystkich papierów o Czystym Życiu i jego wyznawcach, które dostał od Puttemansa, kiedy zaś skończył, doszedł do wniosku, że to był chyba próżny wysiłek.

Znowu.

Ale rano jednak zadzwonił.

– My nie mamy nic wspólnego ze śledztwem – wyjaśnił Reinhart. – Przyjechaliśmy, żeby znaleźć pewnego starego komisarza policji kryminalnej, który gdzieś przepadł.

– Nie martwcie się, cały czas depczę mu po piętach.

– To dobrze – ucieszył się Reinhart. – A gdzie ty się, u diabła, podziewasz?

– Sprawdzam kilka niepewnych tropów.

– To brzmi jak cytat.

– Możliwe. Tak czy inaczej, wracam jutro albo pojutrze. Jak to wygląda?

– Koszmarnie – rzekł Reinhart. – Zresztą sam wiesz najlepiej. Kto to mógł zrobić? Ten błazen mesjasz?

– Niewykluczone – powiedział Van Veeteren. – Nie mam pojęcia.

– A gdzie on się ukrywa?

– Cholera wie. Może gdzieś tutaj. W Stambergu jest co najmniej pięćset rodzin, które byłyby gotowe go przechować. Większość wprawdzie już sprawdzono, ale nigdy nic nie wiadomo.

– To prawda – potwierdził Reinhart i zakaszlał jak zwykle rano. – Jakoś trudno mi sobie ciebie wyobrazić, jak biegasz tam od drzwi do drzwi, ale to nie mój problem. No dobrze, a jeśli to jednak nie on, to kto?

– Ktoś inny – odparł Van Veeteren.

– Zapiszę to sobie – rzekł Reinhart. – A jak zdaniem pana komisarza powinienem wykorzystać swoje nędzne szare komórki w taki dzień jak dzisiaj?

Van Veeteren zastanowił się chwilę.

– Znajdź mordercę – powiedział zdecydowanie. – Tak, to trochę by poprawiło twoje notowania.

– To też sobie zapiszę. Jak zadzwonisz wieczorem, zdam ci raport.

Ale mówiąc całkiem poważnie...

– Tak?

Minęły trzy sekundy.

– Nie podoba mi się ta historia.

– Mnie też nie – rzucił Van Veeteren.

Kolejna chwila milczenia, podczas której Reinhart prawdopodobnie szukał fajki i tytoniu.

– Nie ma nic gorszego niż morderca dzieci.

– Tym bardziej trzeba go złapać – powiedział komisarz.

– Jasne – potwierdził Reinhart. – Zrobię, co w mojej mocy. Aha, a jacy są ci tutejsi koledzy?

– W porządku – rzekł Van Veeteren. – Najlepszy jest chyba Suijderbeck.

– Ten z protezą?

– Tak.

– No dobrze, to tyle na dzisiaj – podsumował Reinhart i odłożył słuchawkę.

Kobieta lustrowała go najpierw dosyć długo przez judasza. Potem kazała mu pokazać legitymację przez szparę w drzwiach i dopiero wtedy zaczęła z oporem otwierać. Cała procedura trwała kolejne pół minuty, aż w końcu przemknęło mu przez myśl pytanie, czy ona na pewno ma po kolei w głowie.

Może oni wszyscy są trochę pokręceni, zastanawiał się, gdy wreszcie mógł wejść do ciasnego przedpokoju.

Wszystkie te świętoszkowate owieczki z zakłamanej trzódki.

Choć z drugiej strony – biorąc pod uwagę to, co wypisywały niektóre gazety i co bazgrano na murach – być może takie barykadowanie się w tych dniach nie powinno dziwić. Jeśli chciało się uniknąć zbyt bliskiego kontaktu z Innym Światem. Nie jemu o tym rozstrzygać.

Jej dłoń była zimna i wilgotna. Kobieta weszła pierwsza do salonu i wskazała mu ręką kwiciastą kanapę za owalnym stolikiem, na którym już czekały herbata i drobne ciasteczka.

– Proszę – powiedziała niezbyt pewnym głosem.

– Dziękuję – odparł Van Veeteren.

Obserwował ją ukradkiem, kiedy nalewała z czajniczka ciekłą herbatę. Była chuda i jakby trochę anemiczna. Na oko czterdzieści kilka lat. Tak samo blada jak Norny z Waldingen, zauważył, jednocześnie nie umiając odpowiedzieć sobie na pytanie, na czym to mogło polegać.

Duchowość tłumi wszelkie funkcje i potrzeby fizyczne? Triumf woli?

A może to tylko jego zwykłe uprzedzenia i tradycyjne pojmowanie roli płci? Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej, przed jego oczami na ułamek sekundy pojawiła się Renate, mrugnęła do niego z wyrzutem i zniknęła.

– Czy mogłaby mi pani trochę opowiedzieć o waszej wspólnoty? – zwrócił się do kobiety. – Czym się zajmujecie, czym różnicie się od innych społeczności wyznaniowych... i tak dalej.

Jej filiżanka zaklekotała o spodeczek.

– No więc... – zaczęła, odchrząkując kilka razy – wierzymy w żywego Boga.

– Tak? – Komisarz pokiwał zachęcająco głową.

– W żywego Boga...

Van Veeteren sięgnął po ciastko.

– Jezus jest pośród nas.

– Słyszałem już o tym.

– Ten, kto dojrzał światło wiary...

– ...?

– ... dostępuje łaski, mogąc w nim przebywać.

– Rozumiem – odezwał się komisarz. – A od jak dawna należy pani do Czystego Życia?

– Od dwóch lat – odpowiedziała bez wahania. – Od dwóch lat, dwóch miesięcy i jedenastu dni... Chrystus objawił mi się w czasie kampanii wiosennej.

Van Veeteren popił łyk herbaty, która smakowała jak ciepła woda o lekkim zapachu mięty. Przełknął z trudem. Uniósł wzrok i spojrzał na obraz za plecami gospodyni. Duże olejne malowidło przedstawiało ubrane na biało postacie na tle jasnych pni brzoź oraz blade, słabo połyskujące niebo. No, mów, kobieto, dalej, na litość boską!

– Pan nie może sobie tego nawet wyobrazić – oświadczyła z lekkim namaszczeniem w głosie – nie jest pan w stanie! Gdyby pan naprawdę wiedział, co to znaczy żyć w świetle, to jeszcze dzisiaj porzuciłby pan swoje dotychczasowe życie.

– Alleluja – rzucił Van Veeteren.

– Słucham?

– Przepraszam. Wolałbym, żeby opowiedziała mi pani o Oscarze Jellinku. Słyszała pani pewnie, co stało się w Waldingen?

Kobieta spłotła ręce na podołku, ale nic nie powiedziała. Jej ożywczy optymizm zniknął jak zdmuchnięty. Domyślił się, że ją zranił. Już na wstępie.

– Czy była tam pani kiedyś?

Pokręciła głową.

– Więc co ma pani do powiedzenia o Jellinku?

– Oscar Jellinek jest naszym duchowym przywódcą.

– To wiem.

– Jest pośrednikiem z żywym Bogiem.

– Jak to możliwe?

– Jak to możliwe? Ma z nim kontakt dzięki swej czystości i szlachetności.

– Rozumiem – powiedział Van Veeteren. – A czy wie pani, gdzie on teraz przebywa?

– Nie.

– Ale wie pani, że uciekł z obozu w Waldingen?

– Tak... to znaczy, nie, nie uciekł.

– A jak by pani to określiła?

– On idzie tylko za głosem Boga.

– Za głosem Boga?

– Tak.

– Czy widziała pani, co piszą gazety? Wielu uważa, że to Jellinek kryje się za tymi morderstwami.

– To niemożliwe. To kłamstwo i pomówienie. Ludzie są pełni zawiści i zła, dlatego wygadują takie rzeczy. Chrystus też był prześladowany...

Na jej szyi i policzkach zaczęły wykwitać rumieńce oburzenia. Ko-

misarz odczekał kilka sekund, a potem próbował zatrzymać na sobie jej rozpalone spojrzenie.

- Jest pani tego pewna?
- Oscar Jellinek to święty człowiek.
- I to daje pani prawo do ochrony mordercy?
- Nie rozumiem, o czym pan mówi.
- Nie rozumie pani? To przecież najprostsza rzecz na świecie. Przyzna mi chyba pani rację, że te dziewczynki zostały zamordowane?
- Tak, tak myślę...
- Że zostały brutalnie zhańbione i zamordowane?
- No tak, ale...
- I uważa pani, że to właściwe, że ich zabójca jest na wolności?
- Nie, oczywiście, że nie...
- Jak więc może pani to uzasadnić, że jedyne osoby, które mogłyby przekazać nam informacje, postanowiły nic nie mówić? Bardzo proszę, chciałbym, żeby pani mi to wyjaśniła.

Kobieta nie odpowiedziała.

- Czy wie pani, gdzie jest Oscar Jellinek?
- Ja?
- Tak.
- Jasne, że nie wiem.
- Sądzi pani, że to właściwe milczeć?
- Nie chcę o tym rozmawiać. Myślę...
- Morderca jest na wolności, bo Czyste Życie odmawia współpracy z policją – kontynuował niestrudzenie komisarz. – Idziecie ramię w ramię z przestępcami, kryminalistami i... tak, z samym diabłem. Swoją drogą niektórzy uważają was za satanistów. Słyszała pani o tym?

Kobieta znowu nie odpowiedziała. Van Veeteren zamilkł. Oparł się plecami o kanapę i przez pół minuty obserwował jej nieme zmieszanie. Zrozumiał, że posunął się za daleko, ale niełatwo było panować nad sobą w każdej sytuacji. Zmienił temat.

- Czy pani zna trzy kobiety, które były na obozie. Ulriche Fischer, Madeleine Zander i Mathilde Ubrecht?

Lekko wzruszyła ramionami.

- Trochę.
- Co to znaczy?
- My wszyscy żyjemy w jednej rodzinie.
- W rodzinie Czyste Życie?
- Tak.
- Ale tamte trzy kobiety nie należą do pani najbliższych przyjaciół?
- Więcej kontaktu mam z innymi.
- A czy ma pani przyjaciół, którzy nie należą do wspólnoty?
- Zawahała się chwilę.
- Prawdziwych przyjaciół – nie.
- Czyli zerwała pani z kręgiem swoich znajomych, kiedy dwa lata temu spotkała pani Jezusa?
- Nie, pan nie rozumie...
Celnicy i grzesznicy, pomyślał Van Veeteren.
- Dlaczego wasz kościół stoi pusty i porzucony, może mi to pani wyjaśnić? Byłem tam wczoraj. Nie macie latem żadnych zgromadzeń?
- Mamy... mamy okres.
- Okres?
- Tak.
- Co za okres?
- Samotności i oczyszczenia.
- Modlitwa, wyrzeczenie i czystość, tak?
- Tak, ale to są nasze filary, podstawowe zasady. One obowiązują zawsze.
- Czyli kiedy nie ma waszego pasterza, nie odbywają się żadne nabożeństwa?
- Nie. Dlaczego...?
- Tak?
- Dlaczego pan jest na mnie taki zły?
- Dlatego że cały czas muszę ze sobą walczyć, pomyślał komisarz.
- Nie jestem zły. Czy mogłaby pani spróbować mi wyjaśnić, dlaczego tamte kobiety zdecydowały się nie współpracować z policją? – spróbował od nowa. – Jeśli Jellinek jest niewinny.
- Kolejny raz wzruszyła ramionami.
- Nie wiem.

– Bo może on im kazał?

Nie odpowiedziała.

– Czy wiadomo pani, że wszystkie utrzymują z nim stosunki seksualne?

Nie zareagowała tak, jak się spodziewał.

Nie zareagowała wcale. Siedziała po prostu w jasnoniebieskim fotelu z filiżanką herbaty na kolanach i ustami zaciśniętymi tak mocno, że zrobiły się wąskie jak ostrze brzytwy.

– A może wszystkie kobiety ze wspólnoty mają z nim coś wspólnego?

Może to jakiś rodzaj inicjacji? – przyszło mu do głowy. Ale przecież ich jest kilkaset! No a poza tym we wspólnocie są też inni mężczyźni, co prawda niewielu. Kobieta przez kilka sekund wodziła w tę i z powrotem wzrokiem między swoją filiżanką a węzłem jego krawata. Potem powiedziała:

– Chciałabym pana prosić, aby zostawił mnie pan już w spokoju. Nie wydaje mi się, aby był pan dobrym człowiekiem.

Van Veeteren chrząknął.

– Dziękuję – powiedział. – Zapewniam panią, że niczego nie pragnę tak bardzo, jak stąd wyjść. Ale muszę niestety wykonywać swoje obowiązki. A moim zadaniem jest znalezienie mordercy, jednak jeśli pani woli, możemy pojechać na komendę i tam dokończymy naszą rozmowę.

Kobieta drgnęła i odstawiła filiżankę. Mocniej splotła dłonie i zamknęła oczy. Van Veeteren zignorował ten gest.

– Jeszcze tylko kilka pytań – wyjaśnił. – Czy ma pani dzieci?

Pokręciła głową.

– Była pani zamężna?

– Nie.

– Czy wie pani coś, co mogłoby być dla nas ważne? Cokolwiek.

Znowu przeczący ruch głową. Komisarz wstał. Czy ty, kobieto, w ogóle miałaś kiedyś faceta? – pomyślał.

Kiedy już znalazł się w przedpokoju, wypalił:

– Aha, Ewa Siguera. Kto to jest?

– Siguera?

– Tak.

– Nie mam pojęcia. Niech pan wreszcie da mi spokój. Chciałabym zostać sama.

Zauważył, że zaczął ją męczyć drobny tik. Lekkie skurcze koło oczu i ust. Czy ona przypadkiem nie cierpi na dodatek na jakąś psychosomatyczną chorobę, przemknęło mu przez głowę.

– W porządku – powiedział. – Nie będę już pani przeszkadzał. Dziękuję za niezwykle pożyteczną rozmowę.

Chciał sam otworzyć drzwi, ale dopiero gdy gospodyni zwolniła dwa zamki, mógł wydostać się na klatkę schodową, na świeże powietrze. Usłyszał za sobą trzask zasuwanych rygli, jednego, a potem drugiego, i głęboko odetchnął.

Niech to szlag, pomyślał. Czy w całym tym towarzystwie nie ma żadnego człowieka o zdrowych zmysłach?

W tym momencie przypomniał sobie, że kobieta, która właśnie się zarygłowała, podała w książce telefonicznej jako swój zawód „nauczycielka szkoły podstawowej”. Przez sekundę zrobiło mu się czarno przed oczami.

Nauczycielka?

Istniała jednak nadzieja, że owa nauczycielka przeniosła swoją działalność do placówki należącej do sekty. Prywatnej placówki dydaktycznej wspólnoty. Co przynajmniej trochę ograniczało szkodliwe skutki.

Ale mimo wszystko miała do czynienia z dziećmi. Pokonywał schody długimi, niemal desperackimi krokami. Niezależnie od tego, czy te dzieci żyją w Świetle czy w Innym Świecie, jakim piętnem zostaną obarczone po tego rodzaju szkolnej edukacji? Niezatartym po wsze czasy.

Nieświadomości, przyjmij mnie w swe objęcia! – pomyślał Van Veteren i wybiegł pospiesznie na ulicę. Niech to szlag!

Z liberalnej tolerancji religijnej, ku której skłaniał się jeszcze kilka dni temu, nie pozostał najmniejszy ślad.

Czerwone wino, postanowił. Wprawdzie dochodziła dopiero jedenasta przed południem, ale doprawdy nie było ani minutę za wcześnie na kieliszek wina i jednego papierosa. Boże drogi.

Bar nazywał się Jaskinia Platona. Kiedy siedział w nim w mroku, skupił się głównie na kwestiach, które wyłoniły się podczas ostatniej rozmowy z Andrejem Przebudą.

Na tym, że porywanie się na dzieci – wystawianie ich na niebezpieczeństwo i pozbawianie ich w taki czy inny sposób dzieciństwa – było właściwie jedyną zbrodnią, jedynym czynem, którego nigdy nie można wybaczyć.

Może z wyjątkiem niesłusznego oskarżenia kogoś o takie przestępstwo.

Co za równowaga, pomyślał. Co za cholernie delikatna równowaga! Na jednej szali wszystkie wykorzystane dzieci i ich krzywda, której sprawca nie poniósł kary.

Na drugiej wszyscy, którzy otrzymali karę, mimo że byli niewinni.

Bo przecież dochodziło do procesów czarownic. Wszędzie.

Nie był to bynajmniej nowy problem, lecz ten dotkliwy paradoks, który zdawał się tkwić zarówno w nim samym, jak i w tym przypadku, z każdą upływającą godziną wydawał mu się coraz bardziej odstręczający.

Z każdą godziną i każdym kolejnym bezsensownym przesłuchaniem.

Gdyby tak być tylko cieniem, pomyślał sobie i rozejrzał się po ścianach.

Albo gdyby tak siedzieć w Spili pod platanem.

Po południu rozmawiał jeszcze z dwoma innymi oświeconymi. Z mężczyzną i z kobietą, po kolei. Oboje mieli mniej więcej po trzydzieści pięć lat, byli samotni i należeli do sekty od czterech i sześciu lat. Mężczyzna – niejaki Alexander Fitze – sprawiał wrażenie, jakby przestał być dzieckiem dopiero po przekroczeniu dwudziestki. Mówił z wyjątkową ostrożnością, jak gdyby głoski były z porcelany, ale potrafił też

być nerwowy i władczy. Przypominał komisarzowi jego dawnego nauczyciela języków z czasów wczesnej młodości, który zachowywał się podobnie kilka miesięcy przed tym, jak kompletnie się załamał i powiesił się na poddaszu.

Kobieta nazywała się Marlene Kochel i miała wyraźnie flegmatyczną naturę – a jednocześnie posturę foki i sepleniła. Co się tyczy samych ich zeznań, których komisarz był zmuszony wysłuchać w to coraz bardziej upalne popołudnie, oboje wykazali się zaskakującą zgodnością.

Tą samą, wręcz podręcznikową nieumiejętnością opisaną nauk i przesłania Czystego Życia.

Jednakowymi świętoszkowatymi wypowiedziami o Oscarze Jellinku, o jego boskich przymiotach i niezwykłej świętości.

Jednakowymi nudnymi kazaniem. Za każdym razem Van Veeteren łapał się na tym, że myśli o czymś innym, podczas gdy te tyrady płynęły jedna za drugą nieprzerwanym strumieniem. Albo po prostu siedział i obserwował – studiował – ofiary swoich przesłuchań z całkowicie innego punktu widzenia, niż to było wskazane w takich sytuacjach. Zachowywał się jak rozkojarzony i zmęczony słuchacz, który zdecydowanie bardziej niż usiłowaniem wyrobienia sobie zdania na temat tego, co mówiono (i na temat ewentualnej wiarygodności danej osoby), zajmował się własnym zadziwieniem tym, cóż to za oryginalne stworzenie siedzi naprzeciw niego i tak trajkocze (lub sepleni). Recytuje i deklamuje te swoje absurdalne litanie niemające najmniejszego osadzenia ani w rzeczywistości, ani w jakichkolwiek logicznych strukturach. Słowa, słowa, słowa. Język, którego nie rozumiał.

Jak obca sztuka. Coś całkiem niepojętego.

Choć z drugiej strony równie dobrze to on mógł być tym zwierzęciem w klatce. Obiektem obserwacji. Samotnym i porzuconym, i zerkałym przez kraty na cały świat z... tak, no właśnie, niepojętości. *Folie à deux*, pomyślał. Nie istnieje obiektywna rzeczywistość.

– Jak jest pana zdanie na temat teodycei? – spytał w którymś momencie.

– Jak się nazywał ten, co to wymyślił? – powiedział pan Fitze i uśmiechnął się nerwowo.

Jeśli chodzi o bardziej konkretne kwestie – jak nagość, wypędzanie szatana, przygotowanie do konfirmacji i temu podobne – udało się rozwiązać część mgieł, ale dalece nie wszystkie. Rzeczywiście dochodziło do zgromadzeń nago. Wyjście naprzeciw Bogu w takiej samej naturalnej i nieskrępowanej postaci, w jakiej człowiek przychodzi na świat, wydawało się ulubioną koncepcją Jellinka. A kiedy trzeba było wypędzić z kogoś grzechy lub nawet szatana przez chłostę, to oczywiście lepiej, jeśli grzesznik miał na sobie jak najmniej warstw ubrania. Po prostu mocniej czuł smagnięcia, to chyba powinien zrozumieć nawet zeświecczony komisarz policji kryminalnej.

Stwierdziła Marlene Kochel z chytrym uśmiechem.

To, że zarówno aniołowie, jak i sam Bóg Ojciec mają w zwyczaju nago spacerować po niebieskich błoniach, stanowiło fakt przyjmowany z dogmatyczną oczywistością. Dlaczego więc nie zacząć się do tego przyzwyczajać już po tej stronie granicy, skoro i tak należy się do wybranych? I dorośli, i dzieci.

Faktycznie, dlaczego nie?

A cielesna żądza? Nie. Erotyka, rozpasanie i niekontrolowane bzykanka (określenie komisarza, niewypowiedziane głośno)? Ależ skąd, nie ma mowy. W tej kwestii stanowczo zaprzeczono, i to tak gwałtownie i wściekle sepleniąc, że z jednej strony od razu zrozumiał, że tym tropem nie uda mu się pójść dalej, z drugiej zaś poczuł, że nie wszystko odbywa się tak niewinnie, jak twierdzono.

A co się tyczy proroka i jego obozowych konkubin, ani Alexander Fitze, ani Marlene Kochel nie skomentowali tego ani słowem. Ten problem wydawał się według nich dalece wykraczać poza ciasne horyzonty poznawcze kogoś takiego jak komisarz policji kryminalnej; duchowość o wymiarze przyprawiającym o zawrót głowy. Zawrót głowy i trzymanie buzi na kłódkę. By ująć to trywialnie.

Podsumowując: Van Veeteren nie czuł się wcale wiele mądrzejszy, kiedy po ostatniej rozmowie mógł wreszcie znaleźć się znowu w ożywczym ludzkim tłumie. Ale i nie znacząco głupszy. Nie pozostało mu więc nic innego, jak wziąć całe to popołudnie w nawias i odłożyć do akt. Których już trochę się nazbierało.

Zwłaszcza że również tutaj nie uzyskał żadnej wskazówki w kwestii

Ewy Siguery.

No cóż, pomyślał Van Veeteren z błyskotliwą przenikliwością. Ze stosowną godnością człowiek postarzał się o kolejne kilka godzin.

Potem jednak zobaczył, że jest już prawie szósta i została mu niecała godzina, aby pójść za sygnałami własnego organizmu domagającego się kolacji.

Bo na wpół do ósmej był umówiony na spotkanie z Uri Zanderem, a jeśli dobrze zrozumiał, jego dom leżał gdzieś na przedmieściach.

Jeść! Jeść! Bez żadnego długiego deliberowania nad kartą.

Niecałe pięć minut zajęło mu usadowienie się i zamówienie słusznego kawałka mięsa w jednej z restauracji naprzeciwko dworca kolejowego.

Dosyć już tej eteryczności i ulotności, postanowił i sięgnął po wykałaczkę, czekając na jedzenie. Moja potrzeba duchowości została zaspokojona na dwa lata z góry.

Na przekór jego dobrym zamiarom drugi wieczór w Stambiegu ułożył się inaczej, niż planował.

Nieco żyłasty stek podstępnie wszedł w sojusz z ciemnym winem i jego własnym zmęczeniem, w konsekwencji czego komisarz zamiast udać się na nieznane peryferie, zadzwonił z aparatu przy wejściu do pana Zandera i przełożył spotkanie na dzień następny. Potem przesiedział jeszcze z godzinę w restauracji przy desce serów i kilku wrzaskliwych wieczornych gazetach, by w końcu wśród granatowego zmierzchu ruszyć z powrotem do hotelu.

Dwa piwa, wiadomości telewizyjne o dziesiątej (tym razem wydarzenia z Sorbinowa ściśnięte do półtorej minuty) i cztery rozdziały *Rozważań* Klimkego zajęły mu czas do północy, aż w końcu zasnął ze słabymi, ale dobrze mu znanymi wyrzutami sumienia i z brudnymi zębami.

Oznaka upadku, bez wątplenia. Na dodatek przez cały dzień nie poświęcił choćby jednej myśli ani Ulrike Fremdli, ani antykwariatowi Frantzego. Ale gdy tylko zawładnęły nim marzenia senne, to właśnie te dwie sprawy domagały się uwagi. Resztką trzeźwego umysłu ocenił, że być może tylko one się liczą.

Marzenia.

Reinhart opróżnił szklanekę wody z cytryną i kiwnął na kelnera, aby przyniósł mu drugą.

Po dziesięciu godzinach mniej lub bardziej nieustannego bombardowania informacjami (z przerwami na krótki sen w nocy i kilka wizyt w toalecie) razem z Jungiem zaszyli się w odległym i w miarę chłodnym kącie jadalni hotelu Grimm's. Dochodziło wpół do jedenastej i na razie nie widać było jeszcze chętnych na lunch. Kilku dziennikarzy z telewizji siedziało przy stoliku pod oknem, popijając poranne piwo. Najwyraźniej nie mieli od rana nic w ustach.

– No i co – odezwał się Reinhart. – Co o tym myślisz?

– Niezbyt przyjemna historia – powiedział Jung.

– Ani trochę – potwierdził Reinhart. – Nawet z naszego punktu widzenia.

– Owszem. A ty jak uważasz?

Reinhart wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale skoro VV wybrał się do Stamberga, nie da się wykluczyć, że rozwiązanie znajduje się właśnie tam. Kiedy komisarz jest w drodze, zwykle się na coś natyka.

Jung kiwnął głową.

– Albo tylko dostał porażenia słonecznego – kontynuował swoje dywagacje Reinhart, biorąc od kelnera kolejną butelkę wody z cytryną.

– Lub ma wszystko w nosie.

Reinhart wyjął fajkę i tytoń.

– Hmm – mruknął. – To do niego raczej niepodobne, żeby przepuścić coś takiego, choć słyszałem pewne plotki...

– No właśnie – powiedział Jung i ziewnął. – To co robimy? Wydaje mi się, że ten Kluuge nie rzucał swoich poleceń na wiatr. Sprawiał wrażenie, jakby liczył na to, że my zrobimy tu za niego porządek... my albo VV. Albo ci pozostali, choć, mówiąc szczerze, w to bym wątpił.

– Pobożne życzenia – podsumował Reinhart – Tak czy inaczej, nie ma co zwlekać. Podobnie jak zastępca komendanta mam ciężarną żonę i nie zamierzam zostać tutaj ani chwili dłużej niż to konieczne.

– Nie wiedziałem – rzekł Jung. – Gratuluje.

– To teraz już wiesz. No to od czego chcesz zacząć?

Jung zastanowił się chwilę.

– Byłoby super, gdybyśmy znaleźli Jellinka.

– Genialne. Gdzie zamierzasz go szukać?

– No właśnie w tym sęk – stwierdził Jung. – Przecież on już jest poszukiwany, więc może sprawa się wyjaśni bez naszej pomocy... jego gębę widać w telewizji na każdym kanale. Trzeba tylko poczekać, aż gdzieś się wyłoni.

– Albo wyłoni się coś innego – rzucił Reinhart, patrząc na swoją fajkę. – Muszę przyznać, cholera jasna, że od całego tego gówna robi mi się niedobrze... no to skoro nie chcesz węszyć za tym fałszywym prokiem, to co jeszcze jest na twojej liście życzeń?

Jung wypił pół litra wody mineralnej, zanim odpowiedział:

– Ten ośrodek, Wolgershuus, czy jak on się nazywa – zaproponował. – Może warto byłoby sobie obejrzeć te kobitki.

– I posłuchać ciszy? – dodał Reinhart.

– No właśnie. W ciszy można tyle znaleźć.

Aby podkreślić mądrość swej ostatniej wypowiedzi, Reinhart zamilkł na pół minuty i zmrużywszy oczy, patrzył pod słońce, jednocześnie czyszcząc rogiem serwetki główkę swojej fajki.

– Znowu dzisiaj gorąco – stwierdził wreszcie w zamyśleniu. – No dobrze, to rozgryź te kapłanki. Podejź je w tym swoim powściągliwym stylu, zobaczymy, co to da. Bo nasi koledzy do tej pory raczej nie odnieśli żadnych psychologicznych sukcesów.

– No tak – odezwał się Jung. – Ma się ten talent. A ty co będziesz robił?

– Hm. Wobec tego mnie zostają chyba tylko młodsze roczniki – powiedział Reinhart.

– To powodzenia! – rzucił Jung i podniósł się z krzesła.

– Dzięki. Widzimy się wieczorem.

Belle Moulder wyglądała na przygnębioną i wystraszoną. Poza tym była dosyć niepozorna, stwierdził Reinhart, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że aby do niej dotrzeć, musiał spędzić ponad dwie godziny przy telefonie i w samochodzie.

Po nagłym wyjeździe z obozu w Waldingen dziewczynka spędziła dwa dni w jakimś domu opieki w Stambergu, skąd została odesłana do podobnych zapatrywań ciotki w Aabergen, gdzie miała spędzić pozostałe tygodnie wakacji na modlitwach, kąpielach w rzece, a także na podejmowaniu długich, krzepiących wypraw rowerowych pod okiem dwóch otyłych kuzynów... aby – jak należało przypuszczać – mogła w ten sposób zaleczyć swoje rany i przetrwać traumatyczne dni w sorbinowskich lasach.

Oczywiście nie słysząc ani jednego złego słowa na temat Czystego Życia, boże Broń.

Edwina Moulder, ubrana w szorty, przywitała go na dużej żółtej ogrodowej huśtawce. Nietrudno było się domyślić, że nie zamierzała zostawić swojej bratanicy samej z nieznanym funkcjonariuszem policji kryminalnej.

Ani na sekundę; Reinhart odczytał to z jej zaciśniętych ust. Przez chwilę zastanowił się nad sytuacją i ewentualną strategią, po czym przysiadł skromnie na przygotowanym krześle pod parasolem.

– Przykro mi, że znowu musimy pani przeszkodzić – zaczął – ale mamy obowiązek złapać tego szaleńca.

– Rozumiem – powiedziała Edwina Moulder.

– To dobrze – rzekł Reinhart i spojrzał na dziewczynkę. – Tak naprawdę zamierzałem zabrać Belle na komisariat, ale oczywiście było by lepiej, gdybyśmy mogli załatwić to tutaj.

– Belle powiedziała już wszystko, co wie, poza tym...

Reinhart uniósł do góry palec wskazujący.

– Powoli, powoli. Pani bratanica należała do osób, które najbardziej utrudniały pracę policji na początku, tak więc teraz wszystko zależy od jej woli współpracy.

– Słucham?

– Jeśli przestanie się pani wtrącać, może pani zostać – oznajmił Reinhart. – Żądam jednak, aby się pani nie odzywała. Czy się rozumie-

my?

- Co takiego? Przychodzi pan tu tak po prostu i...
- Czy się rozumiemy? – powtórzył Reinhart.
- Hm – bąknęła Edwina Moulder.

Reinhart przełknął łyk cienkiej kawy. Przesunął swoje krzesło, aby nie musieć patrzeć w samo słońce, i teraz miał na wprost siebie małą bratanicę Edwiny.

- Belle Moulder?
- Tak.

– Rozmawiałaś z policją już kilka razy o tych nieprzyjemnych sprawach...

Dziewczynka kiwnęła głową, unikając jego wzroku.

- ...i na początku zachowywałaś się bardzo głupio.

Belle Moulder wpatrywała się w paznokieć swojego kciuka.

– Ale teraz to nieważne. Mam nadzieję, że będziesz mówić prawdę i zechcesz mi pomóc najlepiej, jak potrafisz. Jeśli zauważę, że zmyślasz albo nie chcesz mi czegoś powiedzieć, wtedy będę musiał zabrać cię do miasta i przesłuchać na komisariacie policji. Rozumiesz to, prawda?

- Tak, ale...

– Świetnie. Najbardziej mnie interesuje, co zdarzyło się w tamten niedzielny wieczór, kiedy zaginęła Clarissa Heerenmacht. Przypuszczam, że doskonale to pamiętasz.

- W miarę.

Dziewczynka wzruszyła ramionami i starała się przybrać nonszalancką minę. Reinhart pomyślał przelotnie o Winnifred i oczekiwanym przez nich dziecku.

Chyba nie będzie takie jak ta pannica?

Odchrząknął, aby odsunąć od siebie tę myśl, i kontynuował:

- Dlaczego zostawiłaś Clarissę samą na klifie?
- Bo chciała być sama.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Pokłóciłyście się?
- Nie.

- Na pewno?
- Tak.
- Czy jak odchodziłaś, Clarissa była smutna?
- Nie.
- Wesoła?
- Była taka jak zawsze.
- To znaczy jaka?
- No... jak zawsze.

Reinhart znowu popił kawę. Nie stała się lepsza.

- A potem rozmawiałaś z Jellinkiem?
 - Słucham?
 - Później wieczorem miałaś jeszcze rozmowę z Jellinkiem. Kiedy to było?
 - No... tak... tak po wieczornej modlitwie.
 - O której godzinie?
 - Wpół do dziesiątej... może za piętnaście, nie pamiętam. Pytali mnie o to poprzednim razem, a my w Waldingen nie zwracamy... nie zwracaliśmy tak bardzo uwagi na godzinę. Nie musiałyśmy, bo zawsze nas wołano... ale to było mniej więcej o tej porze.
 - Między wpół do dziesiątej a za piętnaście dziesiąta?
 - Tak.
 - O czym rozmawialiście?
 - O Clarissie.
 - Dlaczego?
 - No bo zniknęła.
 - Wiedzieliście, że zniknęła?
 - No jasne. Przecież nie było jej na kolacji. Ani na ćwiczeniach i modlitwie.
 - Czego Jellinek chciał się od ciebie dowiedzieć?
- Belle Moulder zawahała się chwilę.
- Czy coś wiem. Bo nikt jej nie widział po tym, jak byłyśmy na skale, ja widziałam ją ostatnia.
 - Czy pamiętasz, co dokładnie powiedział Jellinek?
 - Spytał, czy wiem, gdzie ona jest.
 - I co mu powiedziałaś?

- Że oczywiście nie wiem.
- A potem? Przecież rozmawialiście dziesięć minut, czy tak?
- Nie, nie tak długo. On siedział cicho i tylko się zastanawiał.
- Ale chyba pytał o coś jeszcze?
- Tak, co robiłyśmy po południu i w ogóle, o nic specjalnego.
- O nic specjalnego?
- Belle już raz to wszystko mówiła – wtrąciła się Edwina Moulder.
- Skąd pani to wie? – spytał Reinhart.
- Co?
- Pytam, skąd pani może to wiedzieć – powtórzył z irytacją. – Ma pani dostęp do policyjnych protokołów? Jeśli nie potrafi pani być cicho, to proszę, żeby pani poszła i przystrzygła sobie żywopłot czy zrobiła coś innego. Czy to jasne?
- Edwina Moulder otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Potem opuściła wzrok i chyba uznała, że najlepiej będzie w ogóle nie odpowiadać.
- No więc – Reinhart zwrócił się do Belle. – Co jeszcze?
- Jak to co jeszcze?
- Znowu ta sama beczelna arogancja, zauważył. Mimo że wciąż wyglądała na wystraszoną. Ale może w tym wieku tak po prostu jest?
- O czym poza tym mówił Jellinek? Nie udawaj głupiej, dziewczyno.
- Co? – rzuciła Belle Moulder. – On naprawdę niewiele mówił.
- Czy prosił cię, żebyś nic nikomu nie opowiadała?
- Tak, jasne... chociaż właściwie to raczej siostry mi to później powiedziały.
- A co było potem?
- Potem odmówiliśmy modlitwę.
- Ty i Jellinek?
- Tak.
- Co to za modlitwa? Czego dotyczyła?
- Ona... nie rozumiem, o co panu chodzi.
- Powiedz mi tę modlitwę!
- To niemożliwe.
- Dlaczego?
- No bo to on się modlił. Ja tylko w duchu powtarzałam.

- Czyli nie pamiętasz tamtych słów?
- Nie... nie pamiętam.
- I to zajęło dziesięć minut?
- Już mówiłam, że on oprócz tego po prostu siedział i myślał.
Reinhart zapalił fajkę i odczekał chwilę.
- No dobrze – powiedział i spojrzał na ciotkę. – Czy on cię dotykał?
- Co takiego? – odezwała się Edwina Moulder.
Reinhart wydmuchnął obłok dymu prosto w jej twarz.
- Ostatnie ostrzeżenie – oznajmił i ponownie wlepił wzrok w dziewczynkę. – No więc, dotykał cię?
- Tylko mnie objął.
- Tylko cię objął?
- Tak.
- W jaki sposób?
- Pokazała trochę nieporadnie.
- Czyli od tyłu?
- Tak.
- Reinhart przygryzł fajkę.
- Kiedy się modliliście?
- Tak.
- I tylko wtedy?
- Tak.
- Opalenizna Edwiny Moulder nagle zlała się z żółtą huśtawką, a jej szczęki poruszały się z lekkim zgrzytaniem.
- A potem?
- Potem? Poszedł.
- Dokąd?
- Wzruszenie ramionami.
- Nie wiem. Chyba nad jezioro.
- Na skałę?
- Może.
- Ale nie jesteś pewna? Nie powiedział ci, co zamierza?
- Nie, ale...
- Tak?
- Chyba chciał iść na skałę... zresztą zdaje się, że coś takiego mó-

wił... nie, nie pamiętam.

Reinhart zrobił pauzę, lecz nie usłyszał nic ani od dziewczynki, ani od jej ciotki.

– Czyli myślisz – podjął znowu – że Oscar Jellinek tuż przed dziesiątą w niedzielę wieczór poszedł na skałę?

– Tak. Mogło tak być.

– Czy widziałaś go jeszcze później?

Zastanowiła się.

– Nie... nie widziałam.

– A nie wiesz, czy ktoś inny go widział?

– Nie wiem. Ale na pewno żadna z koleżanek...

Znowu odczekał kilka sekund, lecz Belle Moulder jedynie siedziała i przyglądała się swoim kolanom, zwłaszcza prawemu, na którym wiadać było brudne ślady po plastrze. Reinhart odłożył fajkę.

– Czyli ty byłaś ostatnią osobą, która widziała Clarisę Heerenmacht żywą, i być może ostatnią, która widziała też Oscara Jellinka przed jego zniknięciem... czy powiedziałaś wcześniej policji, że on mógł wybrać się na skałę?

– Nie, chyba nie.

– Dlaczego?

– Nikt mnie o to nie pytał.

– Nikt nie pytał?

– Nie.

Typowe, stwierdził w duchu Reinhart.

Po czym zostawił ciotkę i jej bratanicę własnemu losowi i poszedł do samochodu.

Uri Zander był ubrany w stylu lat sześćdziesiątych, a w dużym pokoju, nad kanapą obitą sztruksem, wisiał plakat popowego zespołu o nazwie Arthur and the Motherfuckers z podpisami jego członków. Niewykluczone, że pan Zander był jednym z tych mrocznych młodzieńców z szopą włosów na głowie i w przeciwsłonecznych okularach, ale Van Veeteren nie zwracał sobie teraz głowy zgłębianiem tej kwestii.

Tak czy siak, po Urim Zanderze dosyć wyraźnie było widać upływ czasu. Włosy miał już tylko z boków i z tyłu – na czubku był zupełnie łysy – a sterzcący z przodu brzuch w połączeniu z dosyć krzywymi plecami sprawiał, że jego sylwetka przypominała niedbale nabazgrany znak zapytania.

Mężczyzna nie wyglądał na szczególnie szczęśliwego.

– Napije się pan czegoś? – spytał, kiedy komisarz usiadł ostrożnie na jakimś dziwolągu z czerwonego plastiku.

Van Veeteren pokręcił głową.

– Zresztą i tak nie mam nic w domu.

Gospodarz zdjął okrągłe okulary i zaczął je wycierać rogiem koszuli, która była obcisła i kwaciasta. Komisarz przypominał sobie identyczny wzór z któregoś lata w zamierzchłych czasach – może w sześćdziesiątym siódmym albo ósmym – kiedy był jeszcze na tyle świeży w policji kryminalnej, że raz czy dwa został wydelegowany jako umundurowany przedstawiciel służb porządkowych. Zdarzało się to wtedy, kiedy w oddziałach policji mundurowej brakowało ludzi, a takie sytuacje nie były rzadkie.

Wysyłano go wtedy na skąpane w oparach haszyszu festiwale muzyczne i parady miłości, które – przynajmniej tak wydawało się z perspektywy czasu – były jak dopust boży.

Bywały milsze wspomnienia, nawet w jego życiu.

– Jak już mówiłem – zaczął Van Veeteren – nie chodzi nam o pana, tylko o pana byłą żonę, Madeleine Zander.

– O Boże – powiedział mężczyzna.

– Zakładam, że zna pan sytuację – kontynuował komisarz. – Pracujemy właśnie nad sprawą zabójstw dwóch dziewczynek w okolicy Sorbinowa, a w te zabójstwa w taki czy inny sposób zamieszana jest sekta, do której należy pana eksmałżonka. Na obozie były trzy kobiety, Madeleine jest jedną z nich... i jak pan pewnie słyszał, wszystkie od pierwszej chwili odmówiły współpracy z policją. Nie wiem, jak pan się zapatruje...

– Cholerni idioci – rzekł Uri Zander.

No proszę, pomyślał Van Veeteren. Jaka niespodzianka. Co prawda specjalnie się tego nie obawiał, ale istniało przecież ryzyko, że Uri Zander stanie po stronie swojej byłej żony. Okazuje się, że tego rodzaju przypuszczenia nie miały najmniejszych podstaw.

– Ten przeklęty kościół – kontynuował gospodarz. – I ten ich ksiądz... według mnie powinno zamknąć się całą tę zgraję, to hańba dla miasta. I dla całej ludzkości.

– Czyli pan ich dobrze zna? – spytał komisarz.

– A czy dzisiaj da się o nich nie słyszeć? – odparł Uri Zander i z powrotem nałożył sobie okulary. Jednak chyba nie był zadowolony z rezultatu czyszczenia, bo od razu je zdjął i zaczął wycierać od nowa.

– Jak długo trwało pana małżeństwo z Madeleine?

– Osiem lat – odpowiedział. – Od siedemdziesiątego czwartego do osiemdziesiątego drugiego. Kiedy się poznaliśmy, ona miała zaledwie dwadzieścia lat... i od razu za pierwszym razem zaszła w ciążę. Byliśmy z zespołem w trasie i myślałem, że ona jest zwykłą *groupie*, ale okazało się, że to prawie dziewica, no i skończyło się tak, jak się skończyło...

– Pobraliście się, zanim jeszcze urodziło się dziecko?

– Jasne. W końcu wtedy nawet ją lubiłem. Poza tym i tak musiałem skończyć z graniem. Trochę za dużo tego wszystkiego się nzbierało, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Van Veeteren potaknął odruchowo.

– Można powiedzieć, że się ustatkowaliśmy. Ja miałem normalną pracę, a Madeleine zajmowała się Janis, naszą córką, no i... może wszystko by się nawet dobrze ułożyło, ostatecznie wytrzymaliśmy ze

sobą przez osiem lat, a większość małżeństw rozpada się dużo wcześniej, prawda?

– Możliwe – potwierdził Van Veeteren, który miał za sobą trzykrotnie dłuższy staż małżeński. – Nie zdecydowaliście się już na więcej dzieci?

Uri Zander pokręcił głową.

– Nie. Ale jak się tak teraz zastanowić, to od samego początku była przegrana sprawa.

– Co pan ma na myśli?

– Czy ja wiem? Ona była strasznie młoda i niedoświadczona, siedem lat młodsza ode mnie. Sprawiała wrażenie, jakby za wszelką cenę musiała wszystkiego spróbować, jak tylko minęła macierzyńska euforia... a skończyła się bardzo szybko, niech mi pan wierzy.

– Proszę opowiedzieć – powiedział Van Veeteren.

Uri Zander założył w końcu okulary i zaczął szukać papierosów. Wreszcie znalazł paczkę pod stosem gazet i papierów na stole. Dyskretnie przeliczył, ile mu zostało, po czym poczęstował komisarza i podsunął mu też ogień.

– No więc – podjął na nowo – nie była specjalnie zachwycona siedzeniem w domu z dzieckiem... to znaczy z Janis. Mówiąc szczerze, tak naprawdę z niczego nie była zadowolona. Miała całą masę różnych pomysłów, ale przy niczym nie umiała wytrwać.

– Co to były za pomysły? – spytał Van Veeteren.

– Najrozmaitsze – prychnął Uri Zander, aż z jego owłosionych dziurerek w nosie buchnął dym. – Najprzeróżniejsze! Była feministką, budystką, spirytystką i na sam koniec nawet lesbijką.

– Naprawdę?

– Ale potem jej to przeszło. Wszystko jej przechodziło, czasami po kilku miesiącach, czasami trwało to trochę dłużej, i za każdym razem rzucała się na coś nowego, a to, co było wcześniej, już w ogóle się nie liczyło. Zupełnie... zupełnie jakby miała jakiś przymus dwa razy w roku zaczynać życie do nowa. Dla dziecka to nie najlepsza sytuacja, brak poczucia bezpieczeństwa, prawda? To przeklęte szamotanie się, raz w tę, raz w tę, w końcu miałem dość.

– Rozumiem – odezwał się Van Veeteren i rzeczywiście rozumiał. –

Ale zainteresowanie Czystym Życiem wyraźnie utrzymało się dłużej, prawda?

Uri Zander skinął głową i pociągnął papierosa.

– Na to wygląda. Można zadać sobie pytanie dlaczego. Wydaje mi się, że akurat z nimi jest od samego początku... czyli od ponad dziesięciu lat. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby zaangażowała się w coś innego, ale teraz guzik mnie to obchodzi. Janis się wyprowadziła i nie zamierza sprawić sobie nowej matki.

– Kto się nią zajmował? – spytał komisarz. – Po waszym rozwodzie?

– Ja, oczywiście – powiedział Uri Zander, a w jego głosie dało się słyszeć cień skromnej dumy. – Przecież nie mogła, do diabła, mieszkać u tej wariatki! Przez pierwsze lata spotykały się w weekendy, ale potem Madeleine wyjechała na pół roku do Stanów – z kolejną sektą wyzwolicieli, zdaje się, że ci ludzie byli później wplątani w jakiś skandal, ale wtedy ona już od nich odeszła – i od tamtej pory one dwie właściwie nie miały ze sobą już żadnego kontaktu. Janis nie chciała, a ta nawiedzona raczej też nie...

Van Veeteren zadumał się przez chwilę nad opisywaną rodzinną idyllą.

– Czy dużo pan wie o Czystym Życiu? – spytał po chwili. – Co oni robią, i tak w ogóle?

Uri Zander zaciągnął się kilka razy łąpczywie papierosem i spojrzał przez okno.

– Nie – odparł. – Nie więcej, niż można przeczytać w gazetach... i co gadają ludzie, teraz, po tej historii z morderstwami. Według mnie to gromada oszustów i bardzo niedobrze, że przyciągają do siebie mnóstwo biednych ludzi, tak głupich, że nie potrafią odróżnić własnego tyłka od dziury w ziemi... i młodych, i starych, i to tylko po to, żeby bzykać się z tym księdzem i pieprzyć się jedni z drugimi.

– Myśli pan, że o to w tym chodzi?

– Tak, tak – potwierdził Uri Zander. – Tak myślę. Zresztą nie tylko ja.

Van Veeteren zamilkł na chwilę.

– A co pan sądzi o tych morderstwach? – spytał potem.

Uri Zander zgasił papierosa i przybrał poważną minę.

– Nie wiem – rzekł. – Ten Jellinek to musi być jakiś psychopata, tego jestem pewien... kiedy się tak głębiej zastanowić, to on wygląda na mordercę, tak, on mógł to zrobić. A teraz pewnie ukrył się gdzieś w mieście u którejś z tamtych opętanych bab ze wspólnoty, bo przecież ich nie brakuje... albo jest z nią w łóżku i ją dyma, mówiąc wprost. Ale gnój. Czyste Życie, *fuck me!*

– Hm. – Komisarz spojrział przelotnie na plakat. – A dlaczego pana zdaniem Madeleine i pozostałe siostry milczą?

– Bo on im tak kazał, to jasne. On jest przecież najwyższym bóstwem od pieprzenia, a one są posłuszne każdemu słowu, które z siebie wypluje. Pewnie pan słyszał o procesie przeciwko niemu sprzed kilku lat?

– Naturalnie – przyznał Van Veeteren.

– Mam nadzieję, że go znajdziecie i ta jego pozał się Boże działalność i tej całej jego bandy wreszcie się skończy – stwierdził Uri Zander. – To skandal, że oni ciągle istnieją... i jeszcze mają swoją szkołę. Nie sposób sobie wyobrazić, że oni zmuszają dzieci do takich bezeceństw!

Van Veeteren uznał, że niemal wszystko zostało już powiedziane i że nie ma większego sensu siedzieć tu dłużej i wysłuchiwać wynurzeń pana Zandera, który właśnie znowu zaczął grzebać w swojej paczce papierosów. Widocznie nie starczyłoby już na poczęstowanie gościa, bo wsunął ją z powrotem pod gazetę.

– Pana była żona...? – powiedział Van Veeteren. – To znaczy Madeleine... Nie ożenił się pan po raz drugi?

Uri Zander zdecydowanie pokręcił głową.

– Czy chciałby jej pan coś przekazać, może ją pozdrowić? Trzymamy je na razie pod nadzorem w Sorbinowie, pewnie jutro albo pojutrze będę się z nią widział...

Uri Zander spojrział zdziwiony na niego.

– Pozdrowić Madeleine? Kogo jak kogo, ale jej na pewno nie mam ochoty pozdrawiać.

– A może pana córka miałaby ochotę coś jej powiedzieć?

– One nie mają ze sobą żadnego kontaktu, już panu mówiłem.

– Tak, racja – rzekł komisarz.

Postanowił więc skończyć i miał zamiar podnieść się z niewygodnego siedziska. Chyba mu na dzisiaj wystarczy. Przynajmniej wyrobił sobie dosyć pełny obraz Madeleine Zander – zwłaszcza w porównaniu z osobliwie niekonkretnym wrażeniem, jakie wyniósł po spotkaniach w Waldingen.

Czy to mu się do czegoś przyda, to już zupełnie inne pytanie.

– A Ewa Siguera? – przypomniał sobie, kiedy obaj stali już w przedpokoju. – Wie pan, kto to jest?

– Siguera? – powtórzył Uri Zander i podrapał się po swej łysej czaszce. – Nie, nie znam nikogo takiego... chyba że ma pan na myśli Figuerę. Zdaje się, że był ktoś taki, co się tak nazywał...

– Figuera?

– Tak.

– I kim była ta Ewa Figuera?

Uri Zander wzruszył ramionami.

– Ja jej rzecz jasna nie znam – wyjaśnił – ale jeśli dobrze pamiętam, to była baba, z którą Madeleine przez jakiś czas mieszkała... może też lesbijka, nic więcej o niej nie wiem.

– Kiedy to było?

Uri Zander zastanowił się.

– Czy ja wiem... To Janis ją zobaczyła, chyba jakieś parę lat temu. Spotkaliśmy je obie przez przypadek, nad stawem.

– Czy ona jest nadal w mieście? – spytał Van Veeteren.

– A skąd ja mam wiedzieć? – rzekł Uri Zander. – Niech pan sprawdzi w książce telefonicznej.

Właściwie czemu nie, pomyślał komisarz i pożegnał się z ponurym gospodarzem.

Kolejny obraz ciekawego życia, podsumował, kiedy już znalazł się w blasku słońca. Uzmysłował sobie, że nawet nie spytał, czym Uri Zander zajmuje się obecnie. Jeśli w ogóle ma jakieś zajęcie.

Ale tego rodzaju informację da się pewnie znaleźć w książce telefonicznej, jeśli potrzeba zgłębienia tej kwestii okaże się nieprzeparta.

– Figuera? – bąknął po chwili i włożył sobie między zęby świeżą mentolową wykałaczkę. Czyżby cała ta historia miała się opierać tylko na śmiesznej literówce?

F zamiast S.

Wprawdzie nic nie przemawiało za takim rozwiązaniem, ale zaskoczeniem bynajmniej by nie było.

Ani trochę. Jeszcze dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

Ponieważ inspektor Jung zgodnie ze swoim zwyczajem wyjechał trochę wcześniej, teraz musiał siedzieć i czekać na Ulriche Fischer.

W gruncie rzeczy nie odgrywało to specjalnie dużej roli. Uprzejmie, ale zdecydowanie podziękował aspirantowi Matthorstowi za towarzysztwo. Usiadł przy stole pod jednym z kasztanów otaczających rozległy trawnik (po którym od czasu do czasu bez celu przechadzał się jakiś pacjent albo ten i ów pielęgniarz) – i miał świetną okazję, by zaplanować i doprecyzować swoją taktykę przed czekającą go rozmową.

Tyle że nie potrafił się skoncentrować. W każdym razie nie na dłużej niż na trzy sekundy. Choć bardzo się starał poskromić swoje myśli i nimi pokierować, one tymczasem z lunatycznym uporem wracały za każdym razem do tego samego.

Do urlopu.

Czekającego go urlopu z Maureen i Sophie. A więc tu jest pies pogrzebany, pomyślał zaskoczony.

Maureen. Pomijając kilka krótkich przerw, był z nią już od czterech lat i w ciągu całego tego czasu ani razu nie zamieszkali razem – tak normalnie. Na co miał naturalnie wpływ szereg czynników i okoliczności, ale przede wszystkim – i to nie ulegało najmniejszej wątpliwości – jego tchórzostwo i widoczna jak na dłoni ambiwalencja.

Jeśli ambiwalencja w ogóle może być widoczna.

U mnie w każdym razie jest, pomyślał Jung.

Ale teraz naprawdę już niewiele brakowało, zdawał sobie z tego sprawę. Potrzebna była decyzja. Są momenty w życiu, gdy albo trzeba iść do przodu, albo na wszystko machnąć ręką i zrezygnować. Tego był świadom nawet świeżo mianowany inspektor policji kryminalnej. I właśnie ta wspólna wakacyjna podróż – trzy tygodnie jazdy samochodem po Anglii i Szkocji z Maureen i jej piętnastoletnią córką – to był taki moment. Bez dwóch zdań. Co prawda nikt głośno tego nie powiedział, jak zresztą o wielu innych rzeczach w ich związku, ale to

było jasne jak... słońce. Porażająco jasne.

Westchnął i wypił łyk soku, którym uszczęśliwiła go jakaś jasnowłosa pielęgniarka.

Przecież je lubił. Obie. Może nawet kochał Maureen; przynajmniej od czasu do czasu, i raczej nigdy, przenigdy, do nikogo nie będzie żywił intensywniejszych uczuć niż do niej; w każdym razie tak przypuszczał. Więc po co zwlekać? No po co?

Ale czy gdyby rzeczywiście wiedział, dlaczego zwleka, to sprawa byłaby łatwiejsza?

Być może wcale nie, pomyślał, a kiedy próbował wyobrazić sobie przyszłość – i zbliżający się wiek średni – bez Maureen i Sophie, to przed jego posępными oczami starego kawalera nie ukazywały się specjalnie budujące obrazki.

Piłka nożna. Piwo. *One-night-stands*, jak zwykł wyrażać się Rooth. Samotne wieczory przed telewizorem i smutne stosy prania, z którymi nigdy nie mógł się uporać. I wkurzające rozmowy przez telefon z wiekową matką, wciąż dopytującą się, dlaczego nie doczekała się wnuków, którym mogłaby zrobić pod choinkę szaliki na drutach.

Możesz zacząć już robić, odpowiadał jej zwykle. Pracuję nad tym. (Ona i tak nie pamiętała, co mówił).

Czyli identyczne obrazy jak w czasach, kiedy jeszcze nie spotkał Maureen. Tylko teraz nieco starsze i poszarzałe o parę odcieni.

Więc po co zwlekać?

Mocna strona Maureen? Jej spokojna konsekwencja w działaniu? Czy mogła być zagrożeniem? Niechęć Sophie do szkoły i jej okresy nieuzasadnionego złego nastroju?

Strach przed dominacją?

Trudno uznać to za powód.

Rezygnacja z czegoś, czego tak naprawdę już od dawna nie umiał nawet sformułować? Czy o to chodziło?

Rozmycie się? Twoje życie jest jak ślad stopy na wodzie, zwykł mawiać Reinhart. Więc jakie to mogło mieć znaczenie?

Niech to diabli wezmą, pomyślał Jung i wypił sok do końca. Muszę rzucić monetą. Albo po prostu spytam Maureen i zdam się na jej ocenę, która na pewno będzie mądrzejsza od mojej. To byłoby eleganckie

rozwiązanie.

I lepiej zrobić to jeszcze przed podróżą, postanowił akurat w tym samym momencie, kiedy Matthorst wyszedł na zewnątrz i oznajmił mu, że Ulriche Fischer jest gotowa go przyjąć.

Teraz trzeba by było się jednak trochę skoncentrować. Co mówił Reinhart? Reinhart, który na dodatek miał zostać ojcem.

Powściągliwość?

No to do dzieła.

– Przepraszam – powiedział, upuszczając swój notes na podłogę. – Przepraszam, że się pani narzucam, ale zostałem tu, że tak powiem, wydelegowany przez innych.

Nie odezwała się ani słowem. Niewykluczone jednak, że obie zmarszczki między skrzydełkami nosa a kącikami ust nieco się wygładziły, choć równie dobrze mogło to być tylko złudzenie.

– Mam kilka pytań, ale oczywiście nie musi pani na nie odpowiadać, jeśli nie ma pani ochoty...

Włożył długopis w poprzek między zęby i zaczął przewracać strony w notesie, szukając czystej kartki.

– ...kiedy byłem młody, też należałem do Kościoła, ale potem mama zabroniła mi tam chodzić.

– Zabroniła?

– Tak... Nazywam się Jung, tak na marginesie.

Popatrzyła na niego nieufnie, lecz po chwili jej spojrzenie nieco złagodniało.

Pierwsze wrażenie, pomyślał Jung. Jak to, u diabła, możliwe, że ona jest taka blada przy tej pogodzie?

– To, co najbardziej mi się tam podobało, to wolność – wyjaśnił. – Że człowiek mógł się tak całkowicie oddać... miałem wtedy dopiero piętnaście, szesnaście lat, przypuszczalnie nie rozumiałem do końca samego sedna wiary, ale lubiłem tamtą atmosferę. Takie jakby światło... ale nie o tym mieliśmy rozmawiać...

– Żartuje pan sobie ze mnie? – odezwała się Ulriche Fischer.

Jung się zaczerwienił. Nauczył się tej sztuczki stopniowo w ciągu lat pracy i teraz potrafił się nią posłużyć dosłownie w ciągu jednej se-

kundy.

– Przepraszam – powiedział. – Nie zamierzałem... wobec tego przejdę do swoich pytań.

Ulriche Fischer mruknęła coś, czego nie zdołał zrozumieć.

– Obawiam się, że te same pytania słyszała już pani wcześniej. A przynajmniej część z nich. Jak wspomniałem, zostałem dopiero włączony do tego śledztwa... ale oczywiście jestem o wszystkim poinformowany. To straszne, naprawdę straszne, i mam nadzieję, że uda nam się go złapać, zanim zrobi to samo znowu... czy pani nie ma dzieci, pani Fisch? To znaczy Fischer?

Chyba chciała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

– Ja też nie – rzekł Jung. – Ale byłoby miło kiedyś mieć. No więc jeśli chodzi o dochodzenie, najbardziej zależy mi na ustaleniu, kiedy – dokładnie kiedy – pani kapłan zniknął tamtej nocy w niedzielę... czy też było to w poniedziałek rano?

Kobieta znowu przełknęła. I trochę uniosła wzrok.

– I czy wspominał coś pani o swoich planach...

– ...

– Na razie policja przyjmuje oczywiście, że pani nie wie, gdzie on się podziewa. Że Jellinek ukrywa to przed panią i pani koleżankami, żeby was chronić... co byłoby w pewnej mierze szlachetnym gestem.

– ...

– Myślę, że to mimo wszystko wcale nie jest takie dziwne, że się nie ujawnia. Może policja byłaby gotowa udzielić mu czegoś w rodzaju amnestii.

– Co takiego? – spytała Ulriche Fischer.

– Oczywiście nie wiem tego na pewno – ciągnął dalej Jung. – Próbuję tylko interpretować nastroje. Nikt nie powiedział niczego takiego wprost.

Odczekał. Starał się na nią nie patrzeć, tylko podrapał się trochę nerwowo po grzbiecie dłoni. Ona pewnie nawet nie piśnie, pomyślał. Dlaczego, u diabła, miałyby zdecydować się odezwać właśnie do mnie, skoro siedzi tu i milczy już... jak długo właściwie?

Od tygodnia?

Nie, dłużej. Chyba prawie dziesięć dni.

Bez szans. Westchnął.

– To było wieczorem – powiedziała nieoczekiwanie.

Jung drgnął i nie miał odwagi się odezwać. Minęło pięć sekund.

– Wieczorem – powtórzyła. – Potem już go nie widziałyśmy.

– Tak? – Jung otworzył jednak usta.

– On nie ma nic wspólnego ze śmiercią tych dziewczynek – oznajmiła Ulriche Fischer po kolejnej przerwie, tak długiej, że Jung był przekonany, iż żaden dalszy ciąg już nie nastąpi.

– Zupełnie nic? – spytał.

– Nic.

Znowu milczenie. Zastanawiał się, czy ma znowu upuścić notes, dostać ataku kaszlu albo się zaczerwienić, jednak żadna z tych sztuczek nie wydawała się odpowiednia, a jego repertuar był mimo wszystko dosyć ograniczony.

– O której mniej więcej godzinie widziała go pani ostatni raz? – spytał w końcu.

Wykonała dziwny ruch rękami. Albo raczej ramionami... jakby zatrzepotała skrzydłami, pomyślał Jung i niewiele brakowało, żeby się roześmiał. Anielskie wprawki.

– Około wpół do dziesiątej.

– Ale skąd może pani wiedzieć, czy pani koleżanki nie spotkały go potem?

– Dlatego że stanowimy jedno ciało i jednego ducha.

– Słucham?

To wariatka, pomyślał Jung. Cholera jasna, jak mogłem zapomnieć, że ona jest obłąkana.

– Chyba rozumiem – powiedział. – Pani ma na myśli Trójcę Świętą.

Kąciki jej ust nagle uniosły się do góry w uśmiechu, jego twarz zaś oblał okazały rumieniec.

– Ups – rzekł. – Jednak nie rozumiem. To było już tak dawno temu.

Jej uśmiech stopniowo zgasł.

– Boże drogi – podjął kolejną próbę. – Czyli to oznacza, że nikt faktycznie nie wie, gdzie on się znajduje? Chyba że pani coś o nim słyszała?

Ulriche Fischer nie odpowiedziała.

– Zatem o wpół do dziesiątej wieczorem w niedzielę – kontynuował. – A gdzie go pani widziała?

Nie ulegało wątpliwości, że kobieta uznała swoją rozmowę z nim za zakończoną. To zdanie o jednym ciele i duchu miało być chyba końcową klamrą. Uśmiech, który potem pokazała, był na pewno tylko wyrazem jej ogólnego obłąkania.

Zastanowił się chwilę. Następnie zaczął spokojnie i monotonnie odczytywać z notesu pytania, jedno za drugim – w sumie osiemnaście – jednak na żadne z nich nie udało mu się wydobyć z niej odpowiedzi.

Ani jednej. Żadnej reakcji, nawet zmarszczenia czoła.

Pewnie żałuje, że w ogóle otworzyła usta, pomyślał Jung.

Przez cały czas zachowywał nienaganną poprawność i ostrożność, choć robiło mu się od tego niedobrze. W reakcji na jej milczenie po każdym zignorowanym przez nią pytaniu głośno stawiał mocną kresekę w swoim notesie. I w tym krótkim, wysokim dźwięku – powtarzającym się i przeszywającym jak ostrze brzytwy – było coś bardzo wymownego.

Chirurgiczne cięcie, pomyślał.

Dziesięć minut później opuścił Wolgershuss – cała wizyta, włącznie z jego prywatnymi refleksjami pod kasztanem, zajęła niecałą godzinę i trudno było powiedzieć, jaką wartość miały te okruchy, które zdołał wydobyć z Ulriche Fischer.

Inni będą potrafili to ocenić lepiej niż on.

Pomyślał inspektor Jung z typową dla siebie skromnością, z którą było mu tak do twarzy, i zaczął iść z powrotem przez las. Sosny pachniały rozgrzaną żywicą. Jeszcze na długo zanim pojawiły się zarysy zabudowań Sorbinowa, zauważył, że koszula przykleiła mu się do pleców i że ma zakłócony bilans płynów w organizmie.

Jeśli Reinharta jeszcze nie będzie z powrotem, popływam w jeziorze, postanowił.

A potem piwo.

Po rozmowie z Urim Zanderem komisarz Van Veeteren najpierw pojechał z powrotem do miasta i zjadł obiad w restauracji Stamberger Hof. Kiedy zaczął, było prawie wpół do drugiej, a ponieważ tego dnia nie zadowoliliby go posiłek złożony z mniej niż trzech dań – pasztetu, soli i gruszki w koniaku – minęła już trzecia, kiedy skończył jeść.

Z pewnym wahaniem (ulegając jednak w końcu głosowi rozsądku w kwestii zdrowego trawienia) znowu wsiadł po obiedzie do samochodu i ruszył za miasto. Przez piętnaście minut jechał cały czas na wschód, a potem bez specjalnego wysiłku znalazł przyjemny, pełen cienia lasek bukowy nad rzeką Czarna. Korzystając z koca i poduszki, przygotował sobie proste legowisko, zdjął buty i położył się na poobiednią drzemkę.

Znowu śnił mu się przytulny antykwariat, kobieta o kasztanowych włosach i lazurowe morze, a kiedy obudził się po czterdziestu minutach, uświadomił sobie, że przecież ma wykupiony bilet na samolot, który odlatuje z Maardam zaledwie za dwa dni. Usiadł na kocu.

Nie mógł zaprzeczyć, że trochę niezwykle były i te jego sny, i plany na przyszłość. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że oto teraz siedzi nad obcą, leniwą rzeką i przygląda się równie leniwym i obcym krowom, które gapią się na niego z wysokiej trawy na drugim brzegu.

Co ja właściwie tutaj robię? – zadał sobie w duchu pytanie, dobrze mu znane i sprawdzone, ale pozostające bez odpowiedzi.

Sto pięćdziesiąt kilometrów stąd grupa dochodzeniowa i chmara dziennikarzy czekają, kiedy wreszcie wyraźniej zarysują się kontury podwójnego mordercy.

Albo na to, żeby właśnie on – słynny komisarz Van Veeteren, który miał na swoim koncie tylko jeden niewyjaśniony przypadek – wyko-pał go spod ziemi.

Lub ją?

Przesunął się dwa metry dalej, oparł się plecami o pień drzewa i na-

gle przypomniał sobie ulubiony cytat Mahlera:

Życie nie jest spacerem po otwartym polu.

To pewnie rosyjska myśl, pomyślał. Była w niej jakaś doniosłość.

Zapalił papierosa i usiłował skierować swe myśli w odpowiednią stronę.

Dwie dziewczynki.

Dwanaście i trzynaście lat. Zhańbione i zamordowane.

W odstępie mniej więcej tygodnia. Najpierw Katarina Schwartz. Później Clarissa Heeremnacht. Ale znaleziono je w odwrotnej kolejności.

Obie zamieszkałe w Stambergu. Obie uczestniczki obozu letniego podejrzanej sekty o nazwie Czyste Życie.

W pięknej, trochę dzikiej okolicy Sorbinowa.

No i ten ksiądz.

Tuż przed odkryciem martwego ciała młodszej dziewczynki ów osławiony wybraniec niebios, duchowy przywódca wspólnoty, Oscar Jellinek, rozplywa się w powietrzu. Pozostałe osoby, czyli członkinie sekty, nabierają wody w usta. Jednak młodsze pokolenie – tuzin nastolatek w okresie dojrzewania – zaczyna stopniowo mięknąć, lecz to, co mają do powiedzenia, nie ma właściwie większego znaczenia dla rozwiązania zagadki morderstwa.

A może jednak ma? – zastanowił się Van Veeteren, przyglądając się jednej z krów, która akurat odwróciła się tyłem do niego i zademonstrowała efekt perfekcyjnie działającego procesu trawienia.

Prawdopodobnie nie jadła gruszki w koniaku na obiad, domyślił się komisarz i kontynuował swój tok myślenia.

Czy przeoczyli coś istotnego w tych przerywanych płaczem opowiadaniach dziewczynek? Czy w owych zapewnieniach o czystości i wyrzeczeniach tkwiło coś więcej – coś głębiej ukrytego? Wykraczającego poza te wątpliwe wypowiedzi?

Nie miał pojęcia. Znowu przypomniał mu się nastrojowy obraz kąpiących się na brzegu dziewczynek tamtego pierwszego dnia i zaczął się zastanawiać, czy dokładnie takiego obrazu nie niósł w swojej wyobraźni morderca.

Jako motyw. Jeśli w takim przypadku można w ogóle mówić o motywie. Może tak, a może nie; tak czy inaczej, na czymś takim nie dało się budować żadnych teorii.

A kobiety? Te czuwające kapłanki, które przypuszczalnie miały sporo do powiedzenia, ale zdecydowały się milczeć. Czy jedna z nich mogła istotnie być sprawcą? Taką możliwość miał z tyłu głowy od samego początku. Tak czy inaczej. As w rękawie. Sprawczyńi?

Wprawdzie z upływem czasu karta nie nabrała wartości, ale z drugiej strony też nie straciła.

Czy nie można przynajmniej założyć, że to jedna z nich zadzwoniła na policję i przekazała ważną informację?

Może.

W każdym razie ich współwina wydawała się oczywista.

Wysoco prawdopodobna, uściślił.

Pytanie tylko: współwina w czym?

– Niech to szlag! – mruknął komisarz Van Veeteren. – Wciąż stoję w miejscu.

I w momencie owej gorzkiej samokrytyki doszedł do wniosku, że krowy po drugiej stronie rzeki są nie tylko symbolem nieosiągalnej mądrości – budowniczych świata, demiurgów czy czegoś w tym rodzaju – ale także odzwierciedleniem jego nieprzezwyciężonej ociążłości.

Zapalił papierosa i zmienił przedmiot myśli.

A Figuera? – zadał sobie pytanie.

Ewa Figuera? Tak czy inaczej, musi ją odszukać i dowiedzieć się, dlaczego znajduje się razem z innymi kapłankami na zdjęciu Przebudry. Co ubiegłego lata robiła w Waldingen na obozie.

Skoro już rozwiązał kwestię literówki.

I skoro uległ swej słynnej intuicji i przyjechał do Stamberga. Jednak do tej pory jego wysiłki niespecjalnie się opłaciły.

A może w rozmowach z ostatnich dni mimo wszystko tkwi jakieś ziarno prawdy? Może ci ogłupiali członkowie wspólnoty coś wniesli, tylko on nie jest w stanie tego dostrzec?

Niech to szlag trafi, pomyślał znowu Van Veeteren. Ale ze mnie analityk! Najpierw mówię A, a potem mówię nie A. I tak cały czas.

Westchnął. Lecz na nic więcej poza tą dialektyką nad ciemną rzeką, która dzieliła go od krów, nie potrafił wpaść w tej chwili.

Ergo? – pomyślał posepnie. Czy można wyobrazić sobie bardziej jednoznaczne znaki, że pora oddać legitymację? Chyba nie.

Czy były jakieś inne? Wskazujące w innym kierunku? Chyba też nie.

Podniósł się z koca i zdecydował się na półgodzinną jazdę samochodem w towarzystwie Faurégo zamiast tego bezsensownego delibrowania.

Potem przyjdzie kolej na książkę telefoniczną.

Dokładnie. Wszystko ma swój czas.

Z pół godziny zrobiła się cała godzina, a Fauré zyskał kontynuację pod postacią Pergolesiego. Kiedy komisarz zaparkował za Glosmann's, była już siódma i upał wyraźnie zelżał. W recepcji czekał na niego faks od Reinharta, zawierający tylko kiepski dowcip, że ci z grupy dochodzeniowej, którzy nie mają drewnianej nogi, zdają się mieć za to drewniane głowy. Van Veeteren cisnął kartkę do kosza i poprosił, by pozwolono mu wziąć do pokoju książkę telefoniczną miasta Stamberg. I obowiązkowo zamówił dwa piwa.

– Książka telefoniczna leży w szufladzie biurka – wyjaśnił wciąż jednakowo zaspany portier. – W każdym pokoju. Jasne czy ciemne?

– Jak zawsze – odpowiedział Van Veeteren i dostał po jednym każdego rodzaju.

Na górze w pokoju wyciągnął się na łóżku, mając w jednej ręce pierwszą butelkę, jasną, a w drugiej książkę telefoniczną – która rzeczywiście znajdowała się w biurku wraz z Biblią i papierem listowym z logo hotelu.

Pociągnął łyk i zaczął przerzucać kartki. To nie była jedna z tych opasłych cegieł; Stamberg to miasto o zaledwie – no właśnie, ilu? – pięćdziesięciu tysiącach mieszkańców? Niemal od razu trafił na właściwą stronę. A jednak pamiętał jeszcze alfabet.

Przebiegł wzrokiem rzędy nazwisk. I wtedy to poczuł.

Właściwie tylko drobne drgnięcie. Krótkie, lekkie palenie w głębokich zakamarkach jego starego, zmęczonego mózgu, ale od razu zro-

zumiał, że wreszcie coś zaskoczyło.

Albo raczej zostało puszczone w ruch.

Najwyższy czas, cholera jasna, pomyślał.

Patrzył na dane przez kilka sekund. Potem zmrużył oczy i oparł głowę o poduszki, starając się oczyścić umysł z osadu i śmieci. Krów, księży i innych rzeczy. Leżał tak przez dłuższą chwilę, ani się nie ruszając, ani nie snując żadnych myśli.

I wtedy wyłoniły się z bagna zapomnienia dwie rzucone odpowiedzi, które usłyszał już prawie dwa tygodnie temu.

A może to było w dwa różne popołudnia?

Nie pamiętał, ale to nie grało żadnej roli.

Upłynęło kilka kolejnych minut, podczas których właściwie już nic się nie wydarzyło. Były tylko dane z książki i te dwie wypowiedzi – a kiedy ponownie otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z niczym więcej jak tylko z przecuciem.

Lecz jednocześnie musiał przyznać, że jeśli w ogóle czegokolwiek się nauczył w czasie minionych lat, to właśnie owej sztuki doceniania przecuć.

Wypił oba piwa, a potem zaczął dzwonić i umawiać się na spotkania następnego dnia.

Kiedy skończył, przeczytał jeszcze dwa rozdziały Klimkego, wziął prysznic i położył się spać.

Rano dwie minuty po siódmej zadzwonił telefon.

To był Reinhart. Zanim jednak komisarz zdążył odesłać go do wszystkich diabłów, tamten przejął inicjatywę.

– Masz telewizor w pokoju?

– Tak...

– To włącz! Kanał czwarty.

I odłożył słuchawkę. Van Veeteren sięgnął po pilota i nawet udało mu się przycisnąć właściwy guzik. Trzy sekundy później był już całkowicie trzeźwy.

Leciały wiadomości poranne. Podniecony głos spikera. Migoczące obrazy budynku, który stał w płomieniach. Strażacy i syreny. Bardzo sugestywny wywiad z pokrytym sadzą dowódcą strażaków.

Od razu rozpoznał okolicę. Kamera przez kilka sekund pokazywała mocne słowa na murze, które on wczoraj widział i czytał.

„Mordercy” i inne.

Wyglądało na to, że większość budynku doszczętnie się spaliła. Szef strażaków nie miał raczej nadziei, że cokolwiek uda się ocalić. Wyjaśnił, że ich wysiłki skupiają się na tym, aby nie dopuścić do przeniesienia się płomieni na sąsiednie domy. Bo wiał wiatr. Z kościołem już koniec, stwierdził.

Ale poza tym wszystko jest pod kontrolą.

Podpalenie?

Jasne, że ktoś podłożył ogień. Strażaków zaalarmowano o czwartej nad ranem, przyjechali dwadzieścia minut później i cały budynek już płonął.

Bez dwóch zdań podpalenie. Bo jak inaczej zrozumieć...

Van Veeteren wyłączył telewizor. Leżał jeszcze pół minuty w łóżku i myślał. Potem założył koszulę i spodnie, zjechał na dół do recepcji i wysłał faks do biura podróży Wickers w Maardam.

Odwołał rezerwację biletu czarterowego na pierwszy sierpnia.

Następnie wrócił do pokoju i wziął najdłuższy prysznic w swoim życiu.

Pod względem czysto fizycznym pełniący obowiązki komendanta policji Kluuge był tego ranka zupełnym wrakiem.

Kiedy w rześkim porannym powietrzu zsiadł z roweru przed komisarzatem, stwierdził, że dyszy i że serce wali mu dwa razy szybciej niż zwykle; jeśli chodzi o samopoczucie psychiczne też nie był w najlepszej formie. W gruncie rzeczy trudno się dziwić; przez ostatnie trzy noce spał w sumie może dziesięć godzin. A w którymś momencie dochodzi się w końcu do jakiejś granicy. Albo do ściany.

Muszę z tym wreszcie skończyć, postanowił. Jeszcze dwie takie doby i pójdę na zwolnienie.

Z drugiej strony zostało już tylko pięć dni do powrotu Malijsena na służbę, więc może warto wytrzymać chociaż tyle.

Swoją drogą dziwne, że w on ogóle się nie odzywa, pomyślał Kluuge, mocując się z zamkiem rowerowym. Niezależnie od tego, na jakim pustkowiu się zaszył, żeby łowić te swoje ryby, aż trudno sobie wyobrazić, by nie dotarło do niego zupełnie nic, co się tutaj wydarzyło. By w ogóle w całym kraju był chociaż jeden człowiek, który nie wiedział, co się dzieje w Sorbinowie w te gorące tygodnie lata... tak, to naprawdę dziwne.

A jeszcze bardziej niewyobrażalne, jeśli akurat jest się komendantem policji w tej miejscowości.

Ale Malijsen to Malijsen. Pewnie zakopał się gdzieś w oczekiwaniu na Japończyków, stwierdził Kluuge i otarł pot z czoła.

W drzwiach spotkał wychodzącego Suijderbecka.

– Nie będzie cię na odprawie?

– Zapomniałem papierosów – bąknął Suijderbeck pod nosem i splunął na rabatkę. – Idę tylko do kiosku, wrócę, zanim zdążysz się wysikać.

Świetnie, pomyślał Kluuge. Życzliwi koledzy i miła atmosfera, dokładnie tak, jak uczyli nas w szkole policyjnej. Wkroczył do pokoju

komendanta, który w ostatnim czasie przeszedł kilka przemeblowań stosownie do potrzeb toczącego się śledztwa. Ale biurko nadal stało na swoim miejscu, więc usiadł za nim, gdy tylko powitał wszystkich skinieniem głowy.

Servinus siedział tam, gdzie zawsze. Obecne były też Tolltse i Lauremaa, podobnie jak dodatkowe siły w osobie inspektora policji kryminalnej Junga z komendy w Maardam. Drugi, ten osobliwy komisarz Reinhart, stał w otwartym oknie i palił fajkę, krzesło komisarza Van Veeterena natomiast było jak zwykle puste.

No dobrze, uznał Kluuge, kiedy Suijderbeck pojawił się z powrotem. Pora zacząć od nowa.

– Pora zacząć od nowa – powiedział na głos.

– Niegłupi pomysł – rzucił Reinhart.

– Muszę przyznać – odezwał się Servinus – że trochę mnie to niepokoi, kiedy ludzie biorą się za podpalanie kościołów. Mimo mojego głęboko zakorzonego ateizmu.

– Faktycznie to już trochę przesada – zgodził się Kluuge.

– Tłum zaczyna dominować – wtrąciła Lauremaa. – Słyszeliście, co mówił psycholog w telewizji? Takie sprawy zawsze znajdują naśladowców... a my przecież doskonale wiemy, jaki jest mechanizm działania piromanów, prawda?

– Jasne – rzekł Reinhart. – Ale dajmy sobie spokój ze Stambergiem. Chyba mają tam własny oddział policji, przynajmniej mam nadzieję.

– No właśnie, poza tym pozbyliśmy się pięćdziesięciu dziennikarzy, więc nie powinniśmy narzekać...

– To prawda, ale chcę być poinformowany – przerwał mu Reinhart.

– Informacja przede wszystkim, jeśli mogę wyrazić swoje życzenie.

– No dobrze – powiedział Kluuge i się wyprostował. – Wszelkie spekulacje są uprawnione. Tak można by podsumować nasze dotychczasowe rezultaty. Katarina Schwartz nie żyła od dwóch tygodni, kiedy znaleziono jej ciało... czyli można przyjąć, że została zamordowana około szesnastego lipca. O ile rozumiem, to by się zgadzało z pozostałymi informacjami. Czy tak, Tolltse?

Inspektor Tolltse zaczęła kartkować w swoim notesie.

– Tak, mniej więcej – potwierdziła. – My, to znaczy inspektor Lau-

remaa i ja, rozmawialiśmy znowu z dziewczynkami, i wydaje się, że Katarina Schwartz zniknęła właśnie wtedy. Być może dzień wcześniej, piętnastego czy czternastego, ale one wszystkie kiepsko orientują się w datach. Żadna nie prowadziła dziennika, a na terenie obozu raczej nie było kalendarza. W każdym razie na pewno nie w ich pokoju.

– Poza czasem i przestrzenią – bąknął Servinus.

– A okoliczności zniknięcia? – niecierpliwił się Reinhart. – Przecież można chyba się spodziewać, że ta mała przepadła w określonym momencie dnia. Czy po prostu rozplynęła się w przestrzeni?

– Oczywiście, że są konkretne okoliczności – powiedziała z naciśkiem Lauremaa. – Ale, po pierwsze, w Waldingen chciano, aby wszyscy zapomnieli, że Katarina Schwartz kiedykolwiek tam była... to pewnie o jej zniknięciu mówiła tamta anonimowa kobieta, kiedy zadzwoniła pierwszy raz. Tyle że i od kierownictwa obozu, i od jego uczestniczek od samego początku słyszeliśmy, że grupa konfirmantek cały czas liczyła dokładnie dwanaście osób. Trudno jest oczywiście pojąć motywy i logikę takiego postępowania – osobiście uważam, że to właśnie mocniej niż cokolwiek innego świadczy o obłędzie Jellinka – ale kiedy te małe zaczynają w końcu przyznawać, że mniej więcej do... powiedzmy piętnastego lipca znajdowała się między nimi niejaka Katarina Schwartz, wtedy stopniowo wyłaniają się pewne szczegóły.

– Na przykład? – spytał Reinhart.

– Konkrety dotyczące zniknięcia – przejęła pałeczkę Tolltse. – Katarina Schwartz zniknęła w nocy. Wieczorem jak zwykle położyła się do łóżka, a rano już jej nie było.

– To pewne? – wtrącił Suijderbeck.

– Pewne – potwierdziła Lauremaa.

– Cholera jasna – powiedział Suijderbeck. – To by znaczyło, że sprawca praktycznie wyciągnął ją z łóżka. Czy to nie ogranicza nam kręgu podejrzanych?

– Owszem, jeśli przyjmiemy, że nie wyszła sama – odparła Lauremaa.

– Wyszła sama? – zdziwił się Suijderbeck. – A co niby miałyby robić na dworze?

Lauremaa wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie jest to jednak niemożliwe, choć rzeczywiście wydaje się mało prawdopodobne.

– Nie mniej niż wszystko w tej historii – dodał Servinus. – I co dalej?

Tolltse przewróciła kartkę.

– Jest jeszcze jedna rzecz – rzekła. – Może to nieistotny szczegół, ale nigdy nie wiadomo. Zdaje się, że doszło do jakiegoś konfliktu, w który zamieszana była Katarina. Coś takiego zasugerowała już Marieke Bergson... pierwsza z dziewczynek przesłuchiwanym przez komisarza.

– Konfliktu? – powtórzył Reinhart. – Jakiego konfliktu?

– Między nią a Jellinkiem – wyjaśniła Lauremaa. – Ta mała chyba mu odpyskowała albo coś w tym rodzaju. Niestety nie udało się wyciągnąć żadnych konkretów od którejkolwiek z nich.

– One wyraźnie się boją – uzupełniła Tolltse.

– Rozumiem – powiedział Reinhart. – Czyli mały bunt w raju?

– Mniej więcej coś takiego – potwierdziła Lauremaa. – Własne, krytyczne myślenie nie było tam raczej mile widziane i bynajmniej nie zachęcano do niego. Tak czy inaczej, Jellinek odbył z Katariną Schwartz indywidualną rozmowę bezpośrednio przed jej zniknięciem...

Na chwilę zaległa cisza. Potem Suijderbeck chrząknął i oparł się rękami o stół.

– Czyli obie... to znaczy te dwie biedne dziewczynki... trochę wyszły poza wytyczone ramy? – podsumował. – Clarissa mimo zakazu rozmawiała z komisarzem, zgadza się?

– Tak – rzekł Kluuge. – Co do tego nie ma wątpliwości.

Znowu na kilka sekund wszyscy zamilkli. Nagle Servinus uderzył pięścią w stół.

– Jellinek! – jęknął. – Gdybym teraz dorwał tego przekłętą jezusa, to tak obiłbym mu pysk, że własna matka by go nie poznała!

– Może oświadcysz coś takiego na konferencji prasowej? – wtrącił Reinhart.

– Myślę, że możemy przejść do kolejnego punktu – zaproponował

Kluuge. – Chyba że Lauremaa i Tiltse jeszcze coś mają.

– Nie – odezwała się Lauremaa. – Nic poza tym, że chyba widziałyśmy komisarza Van Veeterena w restauracji w Stambergu... kiedy tam byliśmy, żeby porozmawiać z dziewczynkami.

No proszę, proszę – rzucił Suijderbeck. – A zauważyłyście może, co wcinał?

Nie otrzymał odpowiedzi, zapalił zatem papierosa.

– Jeśli chodzi o obrażenia ciała i tak dalej – kontynuował Kluuge – to właściwie nie pojawiło się nic nowego. Ogólnie rzecz biorąc, sposób dokonania zbrodni był podobny w obu przypadkach... i raczej trudno podejrzewać, że mamy tu do czynienia z dwoma różnymi sprawcami.

– To fakt, trudno – potwierdził Servinus.

– Więc może skupimy się teraz przede wszystkim na niedzielnym wieczorze – zasugerował Kluuge. – O nim przynajmniej coś wiemy. Który z was...?

Powiódł wzrokiem od Reinharta do Junga i z powrotem.

– Niech Jung powie – oznajmił Reinhart. – Bo inaczej zaraz zaśnie...

– Dzięki – odezwał się Jung. – Podsumowując moje i Reinharta rezultaty, możemy odważyć się wyciągnąć kilka wniosków. Wygląda na to, że Oscar Jellinek rzeczywiście zniknął z Waldingen dosyć wcześniej w niedzielę wieczorem. Jeśli to prawda, co powiedziały nam wczoraj Belle Moulder i Ulriche Fischer, prawdopodobnie opuścił teren obozu tuż przed dziesiątą. Po wieczornej modlitwie rozmawiał jeszcze chwilę z nimi, a potem podobno udał się na skałę... gdzie Moulder mniej więcej cztery godziny wcześniej zostawiła Clarisę Heerenmacht samą. Później... no tak, później już nikt go nie widział.

– W tym wszystkim jest jednak spora porcja przypuszczeń, jak rozumiem? – rzekł Servinus z powątpiewaniem.

– Z pewnością – odpowiedział Reinhart – ale my zazwyczaj nie mylimy się w naszych przypuszczeniach. To zależy oczywiście od tego, na ile trafnie ocenimy zawartość prawdy w przedstawieniu odegranym przez panią Fischer, ale jeśli porównamy to z tym, co komisarzowi udało się wycisnąć z tej drugiej... jakżeż ona się nazywała?

– Mathilde Ubrecht – odpowiedział Kluuge.

– No właśnie. Jeśli przyjrzymy się dokładnie tym dwom komicznym wypowiedziom, to stwierdzimy, że obie wskazują na to samo. Żadna z tych kobiet rzeczywiście nie wie, gdzie on się podziewa.

– Czyli cała ta historia, że spotkał Boga i dostał od niego zadanie, i że to jest czas próby, to tylko ich wymysł? – spytała Lauremaa.

Reinhart wzruszył ramionami.

– A dlaczego by nie? – odparł. – Według mnie najbardziej zależało im na tym, żeby zmusić te małe do milczenia. Tak, moim zdaniem to trzyma się kupy.

Ponownie zrobiło się cicho.

– A trzecia z nich? – dociekała Tolltse. – Madeleine Zander? Nie zominajmy, że było ich trzy. Myślę, że to zbyt duże uproszczenie, by sprowadzać je wszystkie do jednego mianownika. Jasne, że trzymają wspólny front, ale to nie znaczy, że nie ma między nimi różnic... są, i to sporo.

– Na dodatek głębokich – dodał Servinus. – Moim zdaniem to wręcz przeczy prawom natury, żeby trzy kobiety mogły aż do tego stopnia się zgadzać. I jeszcze milczeć.

– Męski szowinizm – wtrąciła Lauremaa.

– Zachowanie macho – uzupełniła Tolltse.

– Chyba że chcą upolować jakiegoś faceta – nie dawał za wygraną Servinus.

Kluuge robił się coraz bardziej niespokojny.

– No dobrze, dobrze – przerwał ostrożnie. – Jestem skłonny przychylić się raczej do opinii kolegi Reinharta. To ma sens. Pytanie tylko, czy to, że one zupełnie nic nie wiedzą, dokądkolwiek nas zaprowadzi. Jak myślicie?

Nikt nic nie myślał, bo w tej samej chwili uchyliły się drzwi i do środka zajrzała panna Miller.

– Przepraszam – powiedziała. – Telefon do pana komendanta.

– Nie teraz – zaczął Kluuge. – Przecież mówiłem...

– Obawiam się, że to ważne – przerwała mu panna Miller.

– W porządku – westchnął Kluuge. – Odbiorę na zewnątrz.

Przeprósł wszystkich i wyszedł.

– Pewnie dzwonił zabójca, żeby się przyznać? – zażartował Suijderbeck, kiedy Kluuge pojawił się z powrotem.

– Niezupełnie – odpowiedział.

– Dlaczego jesteś taki blady? – spytał Servinus. – Żle się czujesz?

– Zielony – poprawił go Suijderbeck. – Moim zdaniem bardziej wpada w zielony.

Kluuge usiadł.

– To była pani Kuijpers z Waldingen – wyjaśnił. – Twierdzi, że znalazła kolejne zwłoki... a właściwie to bardziej jej psy.

– Boże drogi – odezwała się Tolltse.

– Jeszcze jedno? – powiedział Reinhart. – Co, u diabła...?

– Te bestie? – spytał Suijderbeck.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął dalej Kluuge. – Ona raczej nie ma wątpliwości, kto to jest.

– No kto? – nie wytrzymała Lauremaa.

– Oscar Jellinek – powiedział Kluuge i westchnął. – Jeśli to nazwisko coś wam mówi.

VI

31 lipca - 1 sierpnia

Czwartą osobą, która straciła życie tego lata w następstwie wydarzeń związanych z obozem Czystego Życia w lasach pod Sorbinowem, był niejaki Gerald deGroot.

DeGroot miał pięćdziesiąt siedem lat i od ponad dwudziestu pracował jako redaktor działu wiadomości w gazecie „Telegraaf” – przez ostatnie trzy lata na stanowisku szefa. Miał żonę i dwoje dzieci i cieszył się opinią dobrego męża oraz ojca, a także doświadczonego i kompetentnego dziennikarza – choć nieco cholerycznego w stresujących sytuacjach w redakcji. Tak więc zawał, który położył kres jego życiu i dziennikarskiej karierze, właściwie nie stanowił dla bliskiego kręgu współpracowników żadnego zaskoczenia. Zapanowanie wraz ze zdziśiatkowanym przez urlopy zespołem nad takimi dwiema bombami newsowymi jak podpalenie kościoła w Stambergu i odkrycie zabitego księdza w Sorbinowie – i to jeszcze tego samego dnia! – okazało się po prostu kroplą, która przelała czarę życia redaktora naczelnego deGroota.

Dlatego właśnie „Telegraaf” chyba jako jedyna codzienna gazeta nie miał w tę gorącą środę żadnego wysłannika na miejscu w Waldingen.

Ale Reinhart i tak odniósł wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie widział tylu pismaków naraz. A przynajmniej w lesie. Podczas gdy zespół zabezpieczający miejsce zbrodni wciąż krążył po zagrodzonym terenie w południowym upale i szukał śladów, on ocenił stosunek sił między władzą porządkową a tak zwaną czwartą władzą na 25:75. Procentowo oczywiście. W liczbach rzeczywistych wartości były dwa razy większe. Sprowadzono dwudziestu funkcjonariuszy z jednostek policji w Oostwerdingen, Remborku i Haaldam; ekipa poszukiwawcza, która nie tak dawno okazała się mało skuteczna, znowu znalazła się na miejscu. Uwzględniając oprócz niej także zespół kierujący dochodzeniem oraz lekarzy i techników, zupełnie słusznie we wszyst-

kich specjalnych transmisjach telewizyjnych i radiowych mówiono o zaangażowaniu wszelkich dostępnych sił. Jeśli jednym z przymiotów Czystego Życia było faktycznie dążenie do praktykowania swojej religii w zaciszu i bez rozgłosu (tak przynajmniej twierdzili członkowie sekty, odkąd zaczęto przygotowywać przeciwko niej proces), to tego dnia wszystko zostało postawione na głowie w sposób wręcz parodystyczny. Przez całe popołudnie i wieczór podekscytowani reporterzy ogłaszali w jednym za drugim programie informacyjnym najświeższe nowiny z Waldingen, Sorbinowa i Stambergu. Z pół tuzina psychologów i badaczy zachowań z różnych szkół wypowiadało się ze swadą na ten temat – podobnie jak gromada kryminologów, paru członków sekty (niekoniecznie związanych z Czystym Życiem), dwóch brodatych teoretyków religii oraz dawny piroman i biskup na urlopie.

W samym Waldingen było niewiele lepiej. W odległości dogodnej na krótki spacer do miejsc znalezienia zwłok (około czterystu metrów na zachód od miejsca numer jeden i około sześciuset metrów od tak zwanego klifu) zainstalowano od razu różne urządzenia dla wygody wszystkich zainteresowanych: dwie przenośne toalety (po jednej dla kobiet i mężczyzn), niewielki namiot z piwem i napojami, stoisko z przekąskami i dwa stoiska z kiełbaskami. Miasto Sorbinowo było elastyczne i miało praktykę w przyjmowaniu nagłego napływu turystów.

Pierwsza konferencja prasowa (przekazana, jak ktoś potem dokładnie policzył, za pośrednictwem stu jedenastu krajowych mediów) odbyła się między godziną drugą a wpół do trzeciej na tarasie głównego budynku kolonijnego i nie okazała się bynajmniej sukcesem. Kilkakrotnie skierowano pod adresem nadzorujących śledztwo tak ostrą krytykę, że Suijderbeck poczuł się zmuszony zbesztać przewyższającego go zarówno fizycznie, jak i duchowo reportera radiowego – i to przy użyciu takich epitetów, że później dostał upomnienie od samego ministra sprawiedliwości.

Tak, to była szatańska środa.

Około osiemnastej ciężko doświadczony zespół dowodzący śledztwem postanowił pozostawić Waldingen pracownikom policji z Oostwerdin-

gen, a także ewentualnym dziennikarzom oraz ogółowi, czyli gawie-
dzi. Ślady i wskazówki, które można było zabezpieczyć, zabezpieczo-
no. Badania, które należało wykonać, wykonano, przesłuchania sąsia-
dów (rodzin Fingherów i Kuijpersów) przeprowadzono (przynajmniej
pierwszy etap), a ziemskie szczątki pastora Jellinka włożono do spe-
cjalnego worka na zwłoki i przewieziono karawanem do Sorbinowa.

Za radą Reinharta Kluuge zarządził dwie godziny odpoczynku, za-
nim znowu zasiądą wszyscy razem, aby dalej pracować i jeszcze in-
tensywniej myśleć – decyzja ta została przyjęta jednomyślnie.

Podczas tego zawieszenia broni Reinhart wycofał się do swojego
pokoju. Jung poszedł na obiad do Florian's razem z Suijderbeckiem
i Servinusem, podczas gdy Tolltse i Lauremaa wołały, jak oświadczy-
ły, wziąć prowiant i pozwolić sobie na krótką przejażdżkę po jeziorze.

Tymczasem sam komendant pojechał do domu do Deborah i wyznał
jej, że ją kocha oraz że jeśli tylko znajdzie czas, zamierza rozpocząć
studia o kierunku zupełnie innym niż jego obecny zawód. Może być
latarnikiem morskim, mnichem franciszkańskim albo kimkolwiek in-
nym.

Po trzeciej rozmowie z recepcją hotelu Glossmann's w Stambergu
i otrzymaniu za każdym razem negatywnej odpowiedzi w sprawie
pana Van Veeterena (podróżującego w interesach znawcy drewnia-
nych instrumentów dętych i librett) Reinhart poddał się w końcu
i wobec tego zadzwonił do Winnifred Lynch. Przez dwadzieścia minut
mówili o miłości, metodach rodzenia, ładnych imionach i o tym, czy
picie czerwonego wina w ciąży jest rozsądne, czy raczej nie. A kiedy
odłożył słuchawkę, przez kilka zupełnie pustych sekund miał poczu-
cie, że zupełnie nie wie, gdzie się znajduje.

I dlatego.

Ale potem sobie przypomniał.

– *All right*, spróbuję wszystko podsumować – powiedział Suijderbeck.

– Nie mam już siły siedzieć i słuchać innych, wybaczenie... i nie popra-
wiają mnie, jeśli się w czymś pomylę.

– Zamieniamy się w słuch – rzekł Reinhart, lecz Suijderbeck w ogó-
le nie zwrócił na niego uwagi.

– Oscar Augustinus Jellinek leżał martwy w lesie w Waldingen przez mniej więcej dziesięć dni. Właściwie nic nie przemawia przeciw hipotezie, że zmarł dokładnie w tamten niedzielny wieczór, kiedy zdarzyła się druga zbrodnia. Czyli dwudziestego pierwszego lipca. Dlaczego najpierw zwiął, żeby się ukryć, a potem wrócił, żeby paść ofiarą mordercy, no cóż, ja tego nie pojmuję... choć przyznaję bez bicia, że w całym tym bałaganie jest jeszcze wiele więcej rzeczy, których nie ogarniam.

– To jesteś w dobrym towarzystwie – powiedziała Lauremaa.

– W przeciwieństwie do zabitych konfirmantek – ciągnął dalej Suijderbeck – na ciele pastora Jellinka nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na dokonanie na nim gwałtu... posługując się eleganckim sformułowaniem Servinusa z telewizji.

– Pocałuj mnie gdzieś – odparował Servinus.

– Również w odróżnieniu od nich został zabity uderzeniem w głowę. Co wynika z ostatnich ekspertyz?

Kluuge zaczął szukać odpowiedniego dokumentu.

– Kilka mocnych uderzeń zadanych ostrym narzędziem – zacytował.

– Na razie nie zidentyfikowano narzędzia zbrodni... wiadomo tylko, że było ciężkie i o ostrych kantach... albo przynajmniej jednym ostrym kancie.

– Ile dostał ciosów? – spytał Jung.

– Więcej niż trzeba – odpowiedział Reinhart. – Dziesięć, jedenaście uderzeń. Prawdopodobnie sprawca walił jeszcze, kiedy Jellinek już nie żył. Może nawet zabił go za pierwszym razem, ale na razie tego nie wiadomo...

– Innymi słowy, to nie wygląda na rękę zawodowca – podjął znowu Suijderbeck. – Raczej na działanie w panice. Poza tym, jeśli wierzyć ekspertyzom... były też liczne uderzenia w klatkę piersiową i w okolicę ramion... co świadczy wyraźnie o niemałej desperacji...

– I braku oporu – rzucił Jung.

– Wygląda na to, że go nie było – potwierdził Jung. – Ale to się wyjaśni dopiero za kilka dni, kiedy będą wyniki wszystkich ekspertyz.

– A czego oni szukają? – spytał Kluuge. – Materiału pod paznokciami i tak dalej?

– Tak – odpowiedział Reinhart. – Poza tym włosów, łupieżu, odci-
sków palców.

– Po dziesięciu dniach? – zdziwiła się Tolltse. – Czy to ma sens?

– Łupieżu prawie nie sposób się pozbyć – zauważył Jung, drapiąc
się w głowę.

– Tyle że w tym czasie była ta okropna ulewa – wtrącił Kluuge. –
Niezależnie od tego, kiedy...

– Pozwólcie, że będę kontynuował – przerwał mu Suijderbeck. –
Nasz drogi pastor prawdopodobnie został zamordowany w innym
miejscu, niż go znaleziono. Ale tym razem zabójca pomyślał o tym,
żeby ukryć ciało... To czysty przypadek, że te kundle je wywęszyły.
Zwłoki leżały pod całą górą starych gałęzi i igieł, sami widzieliście...
mimo wszystko, gdyby się postarał, mógłby ukryć je jeszcze lepiej.

– Gdyby miał czas – zwrócił uwagę Servinus.

– No tak, czas – rzekł Suijderbeck z zamyśloną miną.

– Może panna Miller mogłaby postarać się o kawę i jakieś kanapki?

– spytał Reinhart, skubiąc niezdecydowanie swoją fajkę i woreczek
z tytoniem.

– Przyjdzie o dziesiątej – obiecał Kluuge. – Jeszcze pół godziny. I co
dalej? Jak sądzicie?

Suijderbeck wyglądał na zmęczonego tym podsumowaniem. Wstał
i zaczął krążyć po pokoju.

– Proteza mnie swędzi – wyjaśnił. – Zawsze tak jest, jak mózg od-
mawia mi posłuszeństwa.

– A ci Kuijpersowie – zaczął Servinus – to chyba dosyć oryginalna
para?

– Widziałam dziwniejsze – wtrąciła Tolltse. – Moim zdaniem Fin-
gherowie nie są wiele lepsi.

Na kilka sekund zaległa cisza.

– Chyba nie myślicie, że oni są w to jakoś zamieszani? – odezwała
się Lauremaa, marszcząc czoło.

Suijderbeck stanął w miejscu.

– Skąd – powiedział. – Ale jakkolwiek by na to patrzeć, ktoś musiał
to zrobić.

– Trafna uwaga – stwierdziła Lauremaa.

– Czy nie ma nikogo, kto mógłby wyciągnąć kilka innych... sensownych wniosków? – spytała Tolltse i potoczyła wzrokiem wokół stołu. – Wobec tego ja to zrobię.

– Bardzo proszę – rzekł Reinhart i zapalił fajkę.

– To nie Jellinek zamordował tamte dziewczynki – oznajmiła Tolltse.

– Czyżby? – powiedział Jung. – Jesteś tego pewna? Co prawda sam siebie na pewno nie zabił, z tym się zgadzam, ale, o ile dobrze rozumiem, mimo wszystko może być winien tamtych morderstw.

Tolltse zastanowiła się.

– No dobrze – powiedziała. – To powiem inaczej. Kto go zamordował? Czy to nie jest pytanie, na które powinniśmy odpowiedzieć?

– Dobrze pytanie – odezwał się Servinus. – Jak wy, kobiety, to robicie?

Reinhart dla odwrócenia uwagi wydmuchnął obłok dymu na pole bitwy.

– Nie wiem, kto zabił Jellinka – powiedział. – Ale wiem, że pora skonfrontować z tym faktem jego konkubiny w Wolgershuus. Im szybciej, tym lepiej. Jeśli w tej chwili nie mamy czegoś sensowniejszego do roboty, proponuję zabrać się za to natychmiast.

Kluuge rozejrzał się, czy nikt nie ma innych wniosków w jednym albo drugim kierunku. Gdy żadnych nie zauważył, chrząknął i szybko podjął decyzję:

– No właśnie – powiedział. – Wobec tego zrobimy tak: Reinhart i Jung pojedą tam od razu, to powinno wystarczyć... może najlepiej rozmawiać z każdą z nich po kolei, czy jak uważacie?

– A jak inaczej to sobie wyobrażasz? – zachnął się Reinhart. – Zwłok też im na razie nie pokażemy. Musi wystarczyć nagranie wiadomości telewizyjnych i parę gazet... na wypadek gdyby nam nie uwierzyły.

– Czy mamy jakieś nagranie wiadomości? – spytał Jung.

Kluuge pokręcił głową i zrobił nieszczęśliwą minę.

– To da się załatwić, tyle że nie tak od razu.

– Pal sześć wideo – stwierdził Reinhart. – Radio też będzie okej. Przecież mówią o tym osiem razy na godzinę. Już nasza w tym głowa,

żeby do nich dotarło, że księżę światła nie żyje.

– Księżę światła – powtórzył Suijderbeck. – Cholera jasna.

– Poczekajcie chwilę – wtrącił Servinus. – A może one już wszystko wiedzą?

– Przecież są odizolowane – powiedział Kluuge. – Zadzwońm do Schencka i wydałem mu ściśle dyspozycje, zanim wyjechaliśmy przed południem.

– To dobrze – uznał Reinhart.

– A kto to jest Schenck? – spytał Servinus.

– Od czasu do czasu zastępuje Matthorsta – wyjaśnił Kluuge. – Przydaje się nam, bo Matthorst mówi, że powoli zaczyna się czuć w tym zakładzie trochę dziwnie.

– Doskonale go rozumiem – powiedziała Tolltse. – W końcu siedzi tam tak samo długo jak one.

– Niektórzy są tam od piętnastu lat – zauważył Suijderbeck.

– Tak czy inaczej... – zaczęła Lauremaa – jeśli się okaże, że te trzy damy wiedzą o śmierci Jellinka, to według mnie znaczy, że wiedziały przez cały czas.

– Słusznie – powiedział Reinhart. – Niech wtedy Bóg je ma w opiece. No, inspektorze, jedziemy.

– Zostawcie nam kilka kanapek – poprosił Jung i wstał z krzesła.

– Czy nikt nic nie wie o komisarzu? – spytała Lauremaa, gdy Reinhart i Jung już wyszli.

– Nic a nic – powiedział Suijderbeck. – Muszę powiedzieć, że nawet miałem do niego zaufanie, ale teraz powoli zaczynam go uważać za zwykłego dezertera. Co on, u licha, wyprawia?

– Też nie mam pojęcia – westchnął Kluuge. – Ale tak czy inaczej, musimy starać się iść do przodu. Byłoby dobrze, żebyśmy na jutrzejszej konferencji prasowej wypadli trochę lepiej.

– Dołożę starań – zadeklarował Suijderbeck.

– Właśnie chciałam to zaproponować – powiedziała Lauremaa i pierwszy raz tego dnia się uśmiechnęła.

Van Veeteren spotkał się z Marie-Louise Schwartz w jednym z szeregowców na południowym krańcu Stamberga. Wizyta trwała godzinę, z czego pięćdziesiąt minut spędził zatopiony w obitym kretonowym materiałem fotelu, przyglądając się gospodyni szlochającej w drugim identycznym fotelu.

Co jakiś czas udawało się jej opanować, ale gdy tylko komisarz zadał jakieś pytanie, wybuchała płaczem na nowo. Stopniowo odechciało mu się nawet próbować; po prostu siedział i pozwalał mówić jej rozpaczy.

Może mimo wszystko jest w tym jakiś sens, pomyślał, kiedy zaś od niej wychodził, kobieta chwyciła obie jego dłonie i spojrzała na niego załzawionymi oczami. Jakby rzeczywiście zrobił coś pożytecznego – zdał egzamin ze współczucia i zrozumienia czy coś w tym rodzaju. Niewykluczone, że nawet nie dotarło do niej, że on jest z policji. W każdym razie na koniec zdołała mu oznajmić, że jest bardzo wdzięczna za to, że przyszedł, a teraz pójdzie do sypialni na piętro, żeby zajrzeć do męża, który nie potrafi poradzić sobie ze swym smutkiem.

Boże drogi, pomyślał Van Veeteren.

Pożegnał się i wyszedł. Potem wsiadł do samochodu i przez pół godziny jeździł bez celu przy akompaniamencie Pergolesiego i Händla. Kiedy wreszcie zaparkował za hotelem, żeby pójść po swoją torbę, włączył na moment radio i usłyszał, że w Waldingen znaleziono zamordowanego Oscara Jellinka.

Przez chwilę nie wiedział, czy to sen, czy jawa.

Potem uznał, że to wszystko jedno.

Następne spotkanie miał umówione na godzinę dziewiętnastą (to była jedyna pora, która jej pasowała, wcześniej musiała odebrać dziecko, wsadzić je do pociągu i poinstruować stroiciela pianina), więc całe

popołudnie spędził, przesiadując w różnych kawiarniach, przeglądając Klimkego i śledząc programy radiowe i telewizyjne. Potem ukazały się też pierwsze gazety wieczorne, co jak zwykle nie ułatwiło sprawy.

Kilka razy zadzwonił na komisariat w Sorbinowie, ale uzyskał tylko od panny Miller informację, że wszyscy pojechali do lasu. Zrezygnował zatem z zostawienia wiadomości.

W gruncie rzeczy nie miał nic do przekazania.

Nic poza przecuciem, którego nie udało mu się jeszcze potwierdzić. I które nie zgadzało się z ostatnimi wydarzeniami. Z zabójstwem Oscara Jellinka. A może jednak?

Niech pracują w spokoju, pomyślał.

Lepiej trzymać się z boku i pozwolić innym być na pierwszym planie. Czyż nie na to właśnie się zdecydował?

Siedziała w kawiarni i czekała zgodnie z umową, on zaś znowu zadał sobie pytanie, dlaczego wołała się z nim spotkać tutaj, a nie w domu.

Żeby ochronić swoją prywatność? – przeszło mu przez głowę, gdy usiadł naprzeciw niej. Żeby ocalić coś świętego? Byłoby to nawet zrozumiałe.

Przedstawił się, na co ona nerwowo wyciągnęła rękę nad stołem.

– Dzień dobry – powiedziała. – Przepraszam, że nie mogłam spotkać się z panem wcześniej. Ale dzisiaj sporo się działo.

Skinął głową i sięgnął po wykałaczkę. Wszystko się zgadza, stwierdził nagle. Poznaje to po niej. Jak ja, u diabła, na to wpadłem.

– Domyśla się pani, o czym chcę z panią rozmawiać?

To było dosyć brutalne, ale już wcześniej zdecydował się na takie otwarcie tej gry. Poza tym właściwie nie było żadnej innej drogi. Alternatywnych ruchów.

– Tak sędzę...

Zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu na nią naciskać. Lepiej dać jej czas i pozwolić toczyć się wszystkiemu naturalnym torem. Albo przynajmniej tak, aby zminimalizować niezręczność.

– Byliśmy ze sobą od ośmiu lat, kiedy to odkryłam – zaczęła. – Osiem lat... pięć lat w małżeństwie.

– Coś takiego może również pojawić się nagle – powiedział. – To nie musiało trwać cały czas.

Kiwnęła głową.

– Próbowałam też myśleć w ten sposób, ale nie wiem, czy to byłoby dla mnie jakimś pocieszeniem... to jest... takie niepojęte. Tego nie da się zrozumieć, to jedyny wniosek, do jakiego doszłam. Nie potrafię się od tego uwolnić. Chciałam o tym zapomnieć i zostawić za sobą... myślałam, że tak będzie dla mnie najlepiej, ale teraz wiem, że się myliłam.

Zrobiła pauzę i zaczęła szukać czegoś w torebce. Gdy pojawił się kelner, Van Veeteren bez pytania zamówił dla nich dwojga po kawie i koniaku.

– Proszę opowiedzieć – zwrócił się do niej, podczas gdy ona zapaliła papierosa.

Zdrapywała paznokciem palca wskazującego plamę po wosku na obrusie i kilka razy zatrzepotała powiekami. Komisarz zauważył, że on sam mimowolnie wstrzymuje oddech, jakby już jego obecność wywoływała te okropne wspomnienia albo jakby chciał zminimalizować wpływ swojej osoby na nią.

– To zaszło za daleko – powiedziała. – Nie mogę sobie dzisiaj wybaczyć, że pozwoliłam, aby to trwało tak długo, zamiast od razu zareagować przy pierwszych oznakach. Ponad sześć miesięcy... po prostu nie mogłam uwierzyć, że to prawda. O czymś takim się czyta i... wie pan, jak to jest.

Van Veeteren skinął głową.

– Przyłapałam go w wannie. Judith miała wtedy dopiero pięć lat, ale była już na tyle duża, żeby zrozumieć, o co chodzi... i żeby się wystraszyć. Najbardziej niepojęte dla mnie było to, że w ogóle się nie krępował.

– Przyznał się?

Zanim odpowiedziała, zaciągnęła się papierosem i popiła koniak.

– Nie – odparła. – A właściwie i tak, i nie. Udawał, że nie wie, o czym ja mówię... a z drugiej strony od razu się zgodził, żebyśmy się rozstali. Wyprowadził się... kazałam mu się wynieść jeszcze tego samego dnia.

– Nie widujecie się?

– Nie. Kiedy uporałam się z szokiem, oczywiście wzięłam adwokata. Spodziewałam się walki, ale nigdy do niej nie doszło. Zostawił wszystko i opuścił nas bez słowa... uważam to za przyznanie się do winy.

Znowu zaległa cisza. Van Veeteren złamał wykałaczkę i sięgnął po papierosa.

– Jak daleko się posunął? – spytał.

– Daleko – odpowiedziała tylko tyle.

– Czy poddała ją pani badaniom?

Kiwnęła głową.

– Tak, chciałam wiedzieć... on posunął się najdalej, jak to możliwe. Co do tego nie było wątpliwości.

Komisarz po raz kolejny poczuł wzbierającą w sobie odrazę. Wychylił koniak jednym haustem jak odtrutkę.

– A kiedy to się stało? – spytał.

– Cztery lata temu – odpowiedziała. – Cztery lata i dwa miesiące....

– Nie złożyła pani na niego doniesienia?

– Nie – westchnęła ciężko. – Nie zrobiłam tego...

Van Veeteren przyglądał się jej dłoniom kurczowo obejmującym kieliszek. Mógłby jej teraz robić wyrzuty. Mógłby podnieść głos i spytać, dlaczego, do cholery, pozwoliła na to, żeby tego nie zgłosić, ale nie miał oczywiście prawa.

Nie miał prawa dłużej jej dręczyć; cała rozmowa nie trwała więcej niż dziesięć minut i przebiegła dokładnie tak, jak sobie wyobrażał.

Albo właściwie się obawiał.

Wiedział?

– Postaram się dopilnować, aby nie została pani włączona w tę sprawę – powiedział. – Trudno jednak przewidzieć, jak się wszystko potoczy...

Przerwała mu.

– Nie będę się uchylać – oznajmiła. – Nie musi się pan niepokoić, nie chcę jeszcze raz popełnić tego samego błędu.

– No dobrze – rzekł Van Veeteren. – Wobec tego odezwę się, kiedy będzie trzeba.

Znowu podali sobie dłonie i komisarz wyszedł. Na dworze spo-

strzegł, że trzęsie się z zimna, ale ten chłód nie miał nic wspólnego z ciągle jeszcze ciepłym i przyjemnym letnim wieczorem. Ani trochę.

Poszukał budki telefonicznej i znowu zadzwonił do Sorbinowa, lecz usłyszał jedynie nagraną przez pannę Miller informację, że komisariat jest dzisiaj zamknięty i że można dzwonić na dwa inne numery, jeśli ktoś ma do przekazania jakiejś informacji związanej ze sprawą z Waldingen.

No cóż, pomyślał Van Veeteren. Można powiedzieć, że mam.

Jednak nie wybrał kolejnego numeru. Mimo wszystko pozostało jeszcze kilka znaków zapytania – na przykład dotyczących śmierci Jellinka – a oczywiście najbardziej by mu odpowiadało, gdyby mógł zaserwować kolegom kompletne rozwiązanie na tacy. Do końca przyrządzone i doprawione.

Taki argument naturalnie zalatywał próżnością, ale jeśli to faktycznie miała być jego ostatnia sprawa, to chyba będą mogli mu wybaczyć.

A skoro chciał wyjaśnić te ostatnie znaki zapytania, to oczywiście nie było lepszego sposobu, niż wsiąść do samochodu i ruszyć w drogę. Odbyć długą, spokojną przejażdżkę przez noc.

Zastanowił się chwilę. Razem z Pendereckim, postanowił w końcu.

Czyli znowu Penderecki.

– Jest za pięć dwunasta – powiedział Reinhart. – Chyba lepiej pojechać prosto do hotelu. Nie sądzę, żeby oni dalej tam tkwili i omawiali plany.

– Możemy zadzwonić i sprawdzić – rzekł Jung. – Tylko co im powiemy o tych damach, to naprawdę nie wiem.

– Rany boskie – jęknął Reinhart. – Lauremaa miała rację, że one są ulepione z innej gliny.

– To prawda – potwierdził Jung, tłumiąc ziewnięcie. – Jednak trzeba przyznać, że zachowaliśmy się trochę nie po chrześcijańsku.

Wizyta w Wolgershuus została odfajkowana, a określenie „nie po chrześcijańsku” nie wydawało się najbardziej adekwatne w tym kontekście. Lecz kiedy Jung usiłował na szybko podsumować swoje wrażenia, nie przyszło mu nic lepszego do głowy. Wiedział jedynie, że nigdy dotąd nie przeżył czegoś podobnego. Ani razu.

Tak więc nie po chrześcijańsku. Ale przestrzegali co do najdrobniejszego szczegółu ustalonej wcześniej taktyki. Dyskrecja. Profesjonalizm; nie robili więcej zamieszania, niż wymagała tego sytuacja. Bez większego kłopotu znaleźli neutralne, położone nieco z boku pomieszczenie, dokąd zaprosili kobiety, by bez większych wstępów oznajmić im nowinę.

Poinformować o śmierci Oscara Jellinka.

Każdą po kolei. Najpierw Madeleine Zander.

Reakcja: zerowa. Wysłuchała ich przez pół minuty, po czym odwróciła się na pięcie i opuściła pokój. Jung miał wrażenie, że coś drgnęło w jednym kąciku jej ust, ale to wszystko. Zarówno on, jak i Reinhart poczuli się po tej pierwszej rundzie odrobinę nieswojo – toteż kiedy do środka została wpuszczona Mathilde Ubrecht i skonfrontowana z tą samą okrutną wiadomością co jej koleżanka, Jung podejrzewał, że drugi raz z rzędu przyjdzie im obserwować identyczne nieme za-

chowanie. Jednakowy niewzruszony autyzm.

Jednak stało się inaczej. U Ubrecht po prostu pękła tama. Zanim zdążyli zrozumieć, co się dzieje, ona zaczęła okładać ich pięściami i wymierzać im kopniaki: Jung dostał w głowę, Reinhart w łydkę, znowu Jung w plecy – potem cisnęła krzesłem i wazonem przez cały pokój, a na koniec z krzykiem rzuciła się prosto na ścianę. Ten ostatni gest był – jak należało przypuszczać – desperacką próbą znokautowania samej siebie. Po chwili udało się ją zmusić, by usiadła na podłodze, a gdy do pokoju wkroczyli zdecydowanie bardziej doświadczeni pielęgniarze, jej wrzask przeszedł w rodzaj epileptycznego bulgotu. Starszy z dwóch mężczyzn wyjął od razu strzykawkę, wbił ją kobiecie prosto w brzuch, w konsekwencji czego po dziesięciu sekundach bledaczka zasnęła.

Przed trzecią konfrontacją – z Ulriche Fischer, z którą Jung rozmawiał już przecież wcześniej – pielęgniarze weszli do pokoju obok i tam czekali w pogotowiu. Jednak gdy Reinhart cisnął jej informację w twarz, tym razem z wyraźną ostrożnością i czujnością, ona najpierw przyjęła ją takim samym milczeniem jak Madeleine Zander, dopiero później osunęła się na krzesło przy stole, zasłoniła sobie głowę rękami i wybuchła płaczem.

Głośny, pełen żalu szloch, jakby ogromny smutek chowany od zbyt dawna w jej piersi wreszcie znalazł ujście – tę analizę potwierdzały też pojedyncze krótkie zdania, które po chwili jej się wyrwały.

– Wiedziałam! – lamentowała, jeżdżąc w tę i z powrotem zaciśniętymi pięściami po swojej twarzy i czole. – Nie mogło się stać inaczej! On nigdy nie opuściłby nas w ten sposób! Nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

Wiele więcej nie usłyszeli. Inspektor Jung tak się przejął całą tą sytuacją, że z ogromną wdzięcznością przywitał lekarza, którego wzywano w związku z napadem pani Ubrecht i który właśnie wkroczył do środka, dziwiąc się, co tu się, u diabła, dzieje.

– Rutynowe przesłuchanie – oznajmił Reinhart – właśnie skończyliśmy.

Wykończony za to czuł się Jung, kiedy wysiedli z samochodu na parking przed hotelem Grimm's. Do tego stopnia, że zdecydowanie

odmówił Reinhartowi, gdy ten zaproponował, aby wypili coś na dobranoc, i poszedł prosto do swojego pokoju, gdzie od razu padł, nawet nie zdjawszy z siebie butów i marynarki.

Szatańska środa. Zdaje się, że ktoś już dzisiaj to powiedział.

Coś było w tym Pendereckim.

W przesyconym bólem polskim requiem, które nie przypominało niczego innego i niemal za każdym razem przepełniało go poczuciem wolności. Było czyste i wzniosłe jak katedra.

Dotknięte boskością, jak powiedziałyby Mahler. Jego dobry przyjaciel poeta. Ale nie kompozytor.

Oczywiście to także kwestia napięć. Napięć, które narastały i ulegały rozładowaniu; rodzaj duchowej akupunktury i ucieczki od udręk fizyczności. To też chyba słowa Mahlera... coś, co dotyczyło pewnie każdej muzyki, ale u żadnego twórcy nie objawiało się tak wyraziście i boleśnie jak u Pendereckiego.

Oślonięty kopułą dźwięków o okrutnej wyrazistości pokonywał właśnie sto sześćdziesiąt kilometrów dzielących Stamborg od Sorbinowa.

I w owej kopule dźwięków rozwiązywał ostatnie znaki zapytania dotyczące przypadku z Waldingen.

Przypadku obliczonego na dwa tygodnie. Bo jakkolwiek by liczył ten przykry, wlokący się czas – nie minęło więcej niż czternaście dni od chwili, kiedy zatrzymał się na parkingu i ogarnął wzrokiem wakacyjną idyllę z ciemną, lśniąca taflą wody w tle.

Dwa tygodnie.

Dwie zgwałcone i zamordowane nastolatki. Zabity ksiądz.

Spalony kościół i sekta w rozkładzie.

Taki był rezultat w skrócie.

Podsumowanie jego ostatniego przypadku. Piękny wynik końcowy, pomyślał. Bez dwóch zdań.

A rozwiązanie, co z nim? Rozwiązanie, które przyszło mu do głowy dzięki zwykłej książce telefonicznej. Dzięki najzwyczajniejszej literówce... Dobrze mu znana stara prawda o liniach i wzorach oraz ingerencji w koleje losu wydawała się tak oczywista, że nawet nie starał się jej przeciwstawić.

Darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby, pomyślał. Przynajmniej jedna różnica między życiem a grą w szachy.

No dobrze, lepiej popatrzeć parę godzin do przodu i skupić się na tym, co jest jeszcze do zrobienia. Została sama faza końcowa. Przedstawić winnym zarzuty. Doprowadzić ich do tego, aby się złamali i przyznali. Rzucić im druzgocące dowody w twarz i patrzeć, jak pękają.

Ostatni wers. Szach przed matem.

Przy jak najmniejszej liczbie ruchów.

Wprawdzie chętnie zostawiłby to innym, ale to była jego sprawa. Dobrze o tym wiedział.

Pozwolił sobie jedynie na piętnastominutową przerwę po drodze i kiedy po czterech dniach nieobecności wszedł znowu do hotelu Grimm's, na zegarze było dopiero wpół do pierwszej w nocy. Poprosił w recepcji, by mógł zajrzeć do książki gości, i pięć minut później zapukał do pokoju Reinharta, trzymając w każdej ręce po dwa piwa.

Dwa jasne i dwa ciemne.

Pierwszy raz od tamtego popołudnia spędzonego na łódce czuł napięcie. Lekkie ciągnięcie w dole brzucha i łądźwiach i wiedział, że znowu nadeszła pora. Pora, żeby się z tym rozprawić.

Po zupełnie nieciekającym krwią thrillerze w telewizji położył się do łóżka około północy; próbował zasnąć, onanizując się najpierw, ale nic to nie dało. Leżał przez kilka godzin i czekał, podczas gdy to ciągnięcie w nim narastało i wypełniało go całego, po każdy najmniejszy zakamarek. Przymus. Zły instynkt.

W końcu wyszedł z łóżka. Jeszcze nie zaczęło świtać. Zawahał się chwilę. Stał w oknie i patrzył na wąską czerwonawą smugę nad lasem na wschodzie. Pomyślał o dziewczynkach. O ich rozłożonych nogach i puszystym łonie. O ich nagiej bezsilności. Założył na siebie ubranie. Sprawdził, czy w kieszeni na piersi ma jeszcze prezerwatywy; ta drobna dodatkowa przyjemność, gdy kazał im naciągać kondom, była nie do przecenienia. Uśmiechnął się do swojego ciemnego odbicia w lustrze, wymknął się bezszelestnie po schodach i wyszedł przez kuchnię.

Wyprowadził rower z szopy. Sprawdził powietrze w oponach i przymocował gumową pałkę na bagażniku. Ruszył przed siebie.

Od głównej drogi dzieliło go dwadzieścia minut. W samym naciskaniu pedałów był rytm, który jednoznacznie przypominał mu inny rytmiczny ruch, a obrazy, które ujrzał w wyobraźni, były mocne i brutalne.

Bez pardonu. Czarna gumowa pałka wdzierała się i torowała drogę. Ich elastyczna błona. Gładka i cudownie sprężysta. Otwór, ten otwór. Rozkosz – niepojęta i niebywała. Dziki strach w ich oczach, zanim on go nie zgasił... raz na zawsze.

Mocne obrazy. Nie sposób im się oprzeć. Spojrzał na zegarek. Dopiero wpół do czwartej. Zdawał sobie sprawę, że najpierw będzie musiał kilka godzin poleżeć w lesie i poczekać, ale to nie stanowiło dla niego problemu. Najważniejsze, że znowu nadeszła pora. Że wcześniej czy później – zanim ten dzień, który właśnie się budzi, dobiegnie końca – spotka nową... z jasnymi włosami; miał nadzieję, że będzie miała jasne, długie włosy, tak, jeśli miałby możliwość wybierać, to musi pamiętać, żeby wybrać sobie właśnie taką.

Pedałował dalej, wsłuchując się we własny puls, który w nim śpiewał.

Były trzy samochody.

W pierwszym jechali Van Veeteren, Reinhart i Kluuge. W następnym Tolltse i Lauremaa. A na końcu Jung i Servinus. Suijderbeck na własną prośbę został na komisariacie; zostawienie kogoś w odwodzie rzeczywiście nie było głupim pomysłem.

Na wypadek gdyby miało coś pójść nie tak, a to się przecież zdarzało.

Wyruszyli dokładnie za piętnaście czwarta, gdy świt dopiero zapowiadał się delikatnym brzaskiem ponad jeziorami i pogrążonymi we śnie lasami. Budzenie, zebranie wszystkich i ustalenie planu gry zajęły trochę czasu; komisarz opowiadał, relacjonował i wyjaśniał bez specjalnego pośpiechu, ale kiedy wreszcie prawda dotarła do każdego z nich po kolei, jednogłośnie uznali, że nie ma powodu, by czekać na dzień.

Lepiej zaatakować od razu – zarówno Reinhart, jak i Van Veeteren doskonale wiedzieli, do czego może doprowadzić kilka godzin dodatkowej i zbędnej zwłoki. W najgorszym razie.

A niejedno przemawiało za tym, że właśnie mieli do czynienia z takim przypadkiem.

Znaleźli się na miejscu dwadzieścia po czwartej. Nad wodą wisiał w powietrzu szary opar, a las rozbrzmiewał śpiewem ptaków. Ustawili samochody jeden za drugim wzdłuż wąskiej żwirowej dróżki i zwartą grupą zeszli w dół w stronę domu; komisarz zapukał dwa razy, ale nigdzie nie dał się zauważyć żaden znak życia.

Nacisnął klamkę. Było otwarte. W absolutnej ciszy cała grupa weszła do środka i znalazła się w mroku dużego pokoju. Jung poszukał kontaktu i włączył światło; komisarz kiwnął na Kluugego, po czym we dwóch zaczęli wchodzić po schodach na piętro.

Zatrzymali się w połowie drogi. Gdzieś na górze otworzyły się drzwi i po chwili naprzeciw nich stanęła pani Fingher.

Była w kapciach i znoszonym niebieskim szlafroku, ale nie wyglądała na wyrwaną ze snu.

Van Veeteren ponownie skinął na Kluugego.

– Pani Fingher – odezwał się aspirant. – Proszę, aby uznała się pani za podejrzaną o zabójstwo Oscara Jellinka i...

Stracił wątek. Proszę, aby uznała się pani? – co to jest, pomyślał Reinhart.

– ...i o współudział w zamordowaniu Clarissy Heerenmacht i Katariiny Schwartz. Ma pani prawo milczeć, ale wszystko, co pani powie, może zostać użyte przeciwko pani.

Pani Fingher wciąż stała na schodach i trzymała się za poręcz. Nagle jej twarz o grubych rysach wykrzywiło przerażenie, po czym kobieta osunęła się na stopień i ukryła głowę w dłoniach. Minęło pięć sekund.

– To koniec – powiedział Van Veeteren i wyciągnął do niej rękę.

Gdy ją chwyciła, komisarz zaprowadził podejrzaną do pokoju. Kazał jej usiąść na jednym z krzeseł o wysokich, prostych oparciach i odczekał jeszcze chwilę. Kobieta wyjęła chustkę i wytarła sobie nos.

– Tak – odezwała się. – To koniec.

– Gdzie jest syn? – spytał Reinhart.

Wykonała ruch głową wskazujący na piętro. Reinhart i Jung weszli na schody i zniknęli w ciemności.

– Dlaczego zabiła pani Oscara Jellinka? – spytał komisarz.

Kobieta ciężko westchnęła.

– Byłam zmuszona – odpowiedziała.

– To znaczy? – kontynuował Van Veeteren.

– On po prostu pojawił się nie wiadomo skąd.

– Pojawił się?

Przeszył ją kolejny dreszcz, ale ona zdawała się tego w ogóle nie zauważać. Komisarz zrozumiał, że połączenie między jej ciałem a duszą zostało na razie przerwane.

– No tam, na drodze... pojawił się.

– Kiedy pani akurat zostawiała ciało Clarissy pod osiką?

Potaknęła.

– Tak. Zobaczyłam... zobaczyłam, że on się domyślił. Nawet to po-

wiedział... co mi pozostało?

– Jak pani to zrobiła?

– Szpadlem – odpowiedziała. – Uderzyłam go szpadlem. Tak mi przykro... mam... to było...

Nie dokończyła. Na podeście schodów na górze stanął Reinhart.

– Nie ma go w łóżku – poinformował. – Pani Fingher, gdzie jest pani syn?

Kobieta zdziwiona podniosła wzrok.

– Nie rozumiem...

– Co tu się, u diabła, dzieje?

Potężna postać Mathiasa Finghera – w jasnoniebieskiej spranej piżamie – odepchnęła na bok Reinharta, za nim zaś stanął Jung.

– Co, do cholery...

– Niech pan nic nie mówi! – przerwał mu Van Veeteren. – Przyszliśmy aresztować pana syna za zabicie dwóch dziewczynek i pana żonę za zamordowanie Oscara Jellinka!

– Co takiego?

– Czy chce pan powiedzieć, że pan o niczym nie wiedział?! – krzyknął Reinhart. – Pan też jest podejrzany o pomoc i ukrywanie przestępstwa.

Przez moment wydawało się, że Mathias Fingher zemdleje. Zatoczył się, ale zaraz odzyskał równowagę. Zszedł po ostatnich stopniach schodów, rozejrzał się zdezorientowany dookoła, aż w końcu Servinus popchnął go na zniszczoną kanapę.

– Co, u licha...? – wymamrotał. – To musi być...

– Tak mi przykro – powtórzyła pani Fingher, nie patrząc na swojego męża. – Po prostu... po prostu nie było innego wyjścia.

– Dostyc tego! – przerwał jej Reinhart. – Gdzie się podziewa wasz syn?

– No? – odezwał się komisarz.

– Powinien spać... – zaczęła pani Fingher.

– To znaczy, że pani nie wie, gdzie on jest?

– Jak to...?

Van Veeteren nie potrzebował dużo czasu, żeby zrozumieć, że jej zdziwienie jest autentyczne.

– Jung i Servinus! – zawołał. – Przeszukajcie całe piętro! Tolltse i Lauremaa, zaprowadźcie panią Fingher do samochodu!

– Ale... – Mathias Fingher usiłował coś powiedzieć.

– Pozwólcie jej się najpierw ubrać!

Komisarz odsunął na bok Servinusa i usiadł naprzeciwko gospodarza. Wbił w niego wzrok z odległości pół metra.

– Panie Fingher – zwrócił się do niego. – Możliwe, że pan o tym wszystkim nie miał pojęcia i to musi być dla pana straszne... ale tak czy inaczej, pana syn jest mordercą. Mordercą i gwałcicielem.

Fingher kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, i znowu wyglądał tak, jakby zaraz miał stracić przytomność. Na zmianę bladł i czerwieniał na twarzy, a jego ręce trzęsły się jak galareta.

– ...musimy go złapać. Gdzie on jest?

– Ja... nie wiem.

– Kiedy pan go widział ostatnio?

– No... wczoraj wieczorem.

– Oglądał jeszcze film w telewizji – rzuciła pani Fingher. – My położyliśmy się wcześniej.

– To dlaczego nie ma go w łóżku?

Mathias Fingher pokręcił swoją dużą głową.

– Widocznie wyszedł – powiedziała jego żona i poszła się ubrać. Tolltse i Lauremaa nie odstępowały jej na krok. Przez chwilę było cicho.

– Ja was proszę – wybuchnął Mathias Fingher – powiedzcie, że wy tylko żartujecie... powiedzcie, na litość boską, że to tylko żart!

– Niestety nie – rzekł komisarz.

– Rower! – rzucił Reinhart. – On uciekł rowerem!

Karawana samochodów zmierzała z powrotem przez las. Ze zmianą obsadą – w pierwszym siedzieli komisarz, Reinhart i Jung, w drugim – Tolltse, Lauremaa i pani Fingher, a w trzecim jechali Kluge, Servinus i pan Fingher.

– Co zrobimy? – spytał Jung.

– Trzeba ogłosić za nim pościg, rzecz jasna! – syknął Reinhart. – Postawić na nogi każdego cholernego policjanta w całym okręgu i do-

paść go! Rower!

Van Veeteren skinął głową.

– Zadzwoń natychmiast do Suijderbecka – powiedział. – Co prawda nie ma jeszcze piątej, ale nie możemy tracić czasu. Trzeba podać jego zdjęcie i rysopis do wszystkich mediów, jakie istnieją!

Reinhart, w ślad za słowami komisarza, przycisnął gaz do dechy.

– Niedobrze mi – rzucił. – Jak ja tego nienawidzę! I znowu jesteśmy w dupie.

Van Veeteren nic nie powiedział.

– Mamy jakąś jego fotografię? – spytał.

– Cholera – odezwał się ponownie Reinhart. – Powinniśmy byli o tym pomyśleć...

– Przebuda ma – poinformował komisarz.

– Słucham? – spytał Jung.

– Lokalna gazeta – wyjaśnił Van Veeteren. – Na pewno muszą jakieś mieć. Jak dojedziemy na miejsce, zadzwonię i obudzę redaktora.

Reinhart chrząknął.

– Myślisz...? – zaczął. – To znaczy, podejrzewasz, że on znowu...?

– A ty jak myślisz? – opowiedział mu pytaniem Van Veeteren.

Przez resztę drogi każdy siedział pogrążony we własnej ciszy.

Van Veeteren sam przyniósł tacę i postawił ją przed Mirjan Fingher.

Herbata. Sok. Kanapki z serem i kiełbasą. Cofnął się i zamknął drzwi. Potem usiadł na drugiej pryczy.

– Proszę – powiedział. – Mam kilka pytań. Liczę na to, że będzie pani z nami współpracować, bo nie ma powodu, aby wszystko komplikować jeszcze bardziej.

Kobieta skinęła głową i wypila łyk herbaty. Komisarz obserwował ją z boku. Jej mocna sylwetka wyraźnie się skurczyła podczas jazdy do Sorbinowa. Zapadła się... Jakby zewnętrzna powłoka była trawiona przez wnętrze, stwierdził w duchu Van Veeteren.

– Jak pani myśli, gdzie on może być?

Kobieta chyba próbowała wzruszyć ramionami, ale jakoś jej się nie udało.

– Musimy go złapać, zanim zrobi to znowu – powiedział. – Naszym zdaniem istnieje duże ryzyko, że pojechał gdzieś właśnie w tym celu... chyba że ma pani jakiś inny pomysł?

Mirjan Fingher pokręciła głową.

– Nie.

– On nie mógł przecież przeczuwać, że przyjdziemy?

– Nie... na pewno nie. Myślę...

– Tak?

– ...że może być tak, jak pan mówi.

Z jej ust wydobywał się ledwie słyszalny szept. Jak długo ona jeszcze wytrzyma? – zastanowił się. Trzeba się z nią delikatnie obchodzić.

– Niech pani zje kanapkę – zaproponował. – Spróbujemy to wszystko jakoś uporządkować.

Spojrzała na niego. Odgarnęła kosmyk wypłowiałych brązowych włosów z twarzy i trochę się wyprostowała. Znowu popiła herbaty, ale niczego poza tym nie tknęła.

– Tak – odezwała się znowu. – To zaczęło się wcześniej... to trwa

już dłużej.

Van Veeteren kiwnął głową, obracając wykałaczkę.

– Ile pani wiedziała?

– Niemało.

– To pani dzwoniła?

– Tak.

– Jak pani poznała, kiedy on to zrobił?

– Widziałam to po nim. Jestem jego matką.

– Dlaczego pani dzwoniła?

– Żeby to się wreszcie skończyło.

– Żeby te małe przestały znikać?

– Nie wiem... chyba tak.

– Pani szukała zwłok i przenosiła je w takie miejsca, żebyśmy mogli je znaleźć?

– Tylko jedną.

– Tej pierwszej pani nie znalazła?

– Najpierw nie. Ale...

– ...

– Myślałam... nie, nie wiem, co ja myślałam. Początkowo nie miałam odwagi, ale potem byłam zmuszona... Tak.

Van Veeteren odczekał chwilę. Zauważył, że ona dygocze, drżą jej ręce i twarz.

– Jego córka?

– Tak. – Odchrząknęła i nabrała powietrza. – Ona... to znaczy moja synowa opowiedziała mi, kiedy się rozstali. To było jak... najpierw nie chciałam jej słuchać, ale potem zrozumiałam. Jeśli to w ogóle można zrozumieć. Myślałam, że minęło... niech mi pan wierzy... przez cały ten czas, kiedy wrócił do domu, nic się nie stało. Dopiero kiedy ta sekta, te przeklęte małolaty...

– W ubiegłe wakacje?

Pokręciła głową.

– Nie. Wim pracował wtedy przez kilka miesięcy w Groenstadt. U mojego brata, w gospodarstwie ogrodniczym... znalazłam u niego kilka takich gazetek, więc...

Zamilkła.

– Rozumiem – powiedział Van Veeteren. – Ale wróćmy do najważniejszej sprawy. Gdzie on według pani może teraz być? Niech pani spróbuje nam pomóc.

Spojrzała przez okno i jakby się zastanawiała.

– Las – rzekła. – W nim czuje się pewnie, może gdzieś się w nim ukrywa... Boże drogi!

I nagle jakby się wypaliła. Padła na kolana na podłogę obok pryczy, złapała się za głowę i zaczęła kołysać się w tę i z powrotem.

– Pomóżcie mu! Proszę! Proszę! Pomóżcie mu!

Komisarz pochylił się i pogłaskał ją trochę nieporadnie po plecach. Potem otworzył drzwi i zawołał inspektor Tolltse.

Nie, pomyślał. Dłużej nie dam rady.

– Chyba o niczym nie zapomnieliśmy? – spytał Reinhart.

– List gończy rozesłany – powiedział Kluuge.

– Po całym kraju! – parsknął Suijderbeck. – A tymczasem on zaszył się tu gdzieś niedaleko. Zapomnieliście, że wziął rower?

– Dwudziestu pięciu ludzi na miejscu – kontynuował niezrażony Kluuge. – Dwudziestu w drodze. Dwa helikoptery w powietrzu.

– Obozy letnie ostrzeżone – uzupełniła Lauremaa.

– Ile ich jest? – spytał Jung.

– O wiele za dużo – westchnął Kluuge. – Obecnie na różnych obozach mamy od trzystu do czterystu dziewcząt w odpowiednim wieku.

– Cholera – powiedział Reinhart.

– Ale przekazaliśmy surowe dyspozycje – powtórzyła Lauremaa.

– To żadna gwarancja – stwierdził Servinus.

– To prawda – zgodził się Reinhart. – W tej naszej przeklętej branży nigdy nie ma żadnych gwarancji.

Inspektor Lauremaa wstała zirytowana i podeszła do okna.

– No cóż – odezwała się. – Jeśli pokaże się w mieście, na ulicy, to go dorwiemy. Tutaj każdy go zna. Dopadniemy go, to tylko kwestia czasu.

– Kwestią czasu jest także co innego – powiedział Reinhart.

– Wiem – odparła Lauremaa. – Nie musisz mi tego przypominać.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Van Veeteren z wykałaczkami.

kami w obu kącikach ust. Usiadł na pustym krześle inspektor Lauremay i rozejrzał się dookoła.

– Las – rzucił. – Jego matka uważa, że on jest w lesie.

Zaległa cisza.

– Okej – odezwał się Suijderbeck. – To brzmi sensownie. Musimy skierować helikoptery nad las. I w okolice jeziora... bo on pewnie tam liczy na kolejny łup.

– Prawdopodobnie – rzekł Jung. – A jak jest z komunikacją?

– Mamy radiowozy – powiedział Suijderbeck. – Razem z Servinusem zaraz się tym zajmujemy. A co robi ta dwudziestka piątka, którą nam tu specjalnie przysłano?

– Czeka na rozkazy – wyjaśnił Kluuge.

– No to wysłać ich do lasu – polecił Suijderbeck. – Najlepiej na drugą stronę jeziora. Czy macie inne pomysły?

– Nie, bardzo dobrze. Na drugą stronę jeziora – powtórzył Kluuge.

– Cholera – odezwał się Jung. – Wiecie co? Przypomniałem sobie... że jak wyjeżdżaliśmy do Waldingen, to widziałem jakiegoś gościa z rowerem. To znaczy dzisiaj w nocy. Stał pod drzewem i sikał... a rower obok. Zobaczyłem tylko jego plecy, ale to mógł być...

– Dobry Boże! – jęknął Reinhart. – I ciebie zrobili inspektorem?

Jung pokręcił głową i bąknął coś pod nosem.

– A ty przypadkiem nie jechałeś tą samą drogą? – spytał Van Veeteren.

– Dajcie spokój – powiedziała Lauremaa. – Jeśli to faktycznie był on, to znaczy, że szukamy we właściwym miejscu.

– Jest za piętnaście ósma – oznajmił Suijderbeck. – Ruszamy, żeby dopaść tego drania!

Obudził się i sprawdził, która godzina.

Za pięć ósma.

Czyli jednak spał kilka godzin. Przyjemne uczucie, przyjemne i pozytywne.

I nie najgorsze miejsce. Osłonięte i ciepłe od słońca. Przez gałęzie mógł widzieć jezioro i z oddali słyszał wesołe dziewczęce głosy. Pewnie słyszał je też, kiedy spał, bo czuł już w sobie mrowienie, a jego

członek zrobił się równie twardy jak gumowa pałka.

Zauważył, że trzyma ją w dłoni. Roześmiał się, objął dłonią swoją własną pałkę i porównał.

Jasnowłosa, pomyślał. Dziesięć punktów za blondynkę.

Ale jeśli trafi się inna, to też będzie w porządku.

Oparł się na łokciach i zaczął obserwować brzeg.

– Zgubiłam ją wczoraj – wyjaśniała Helene Klausner. – Kiedy byliśmy tam wyżej.

Wskazała między drzewa.

– Musi tam gdzieś leżeć. Pójdiesz ze mną?

Ruth Najda pokręciła głową.

– Za dziesięć minut jest śniadanie. Poza tym mówili, że nie wolno nam nigdzie chodzić. Chyba coś się stało i dlatego mają teraz zebranie.

– To zajmie tylko pięć minut.

– Nie chcę.

– Pożyczę ci maskę do nurkowania.

– Mówię ci, że nie chcę.

– To poczekaj tu na mnie, a ja pójde sama, zgoda?

Ruth Najda zeszła z kamienia.

– Powinnyśmy już być w jadalni. Jak wszyscy. Możesz iść po nią potem. W końcu to przecież tylko gumka do włosów!

Helene Klausner potrząsnęła swoimi długimi, jasnymi włosami.

– Ale jest mi potrzebna. Pójdę jej poszukać. Poczekasz tu na mnie?

– No dobra – westchnęła Ruth Najda. – Ale się pospiesz, bo jestem głodna.

– Pięć minutek! – zawołała Helene i pobiegła między drzewa.

Jung zajął miejsce w radiowozie za Suijderbeckiem i Servinusem. Czuł, jak zmęczenie coraz bardziej daje mu się we znaki, podczas gdy on wpatrywał się w czerwone cyfry elektronicznego zegara, odmierzające rozwlekłe minuty dzisiejszego poranka.

08.16

08.17

Ile minut jeszcze minie? – pomyślał. Zanim coś się wydarzy? Sto? Tysiąc?

Czy tak naprawdę cokolwiek przemawia za tym, że Wim Fingher znajduje się rzeczywiście w Sorbinowie? A nie gdzie indziej, cholera wie gdzie?

Jeżeli chociaż przez jedną minutę słuchał dzisiaj rano radia, to musiał wiedzieć, że go szukają. Że jest ściganą zwierzyną – i nawet jeśli jest obłąkanym mordercą, to mimo wszystko ma na tyle rozumu, żeby wiedzieć, że powinien stąd zwiewać.

Rowerem albo piechotą.

Przez lasy.

Czy i u takiego szaleńca nie należy spodziewać się pewnej logiki?

– Jak myślicie? – spytał.

– Nie mam pojęcia, cholera jasna – przyznał Servinus. – A ty?

– Trudno powiedzieć. Najsprytniej by było...

– Cicho! – wrzasnął Suijderbeck i poprawił sobie słuchawki. – Co powiedziałaś? Okej!... Dobra!... Mniej więcej gdzie?... Za mostem? Za którym pieprzonym mostem?... Tak, zrozumiałem. Skieruję tam resztę. Bez odbioru.

– Ha! – zawołał i zsunął słuchawki na szyję. – Znaleźli rower. Czyli zaraz dopadniemy drania!

– Gdzie? – spytał Jung.

– Koło mostu przy drodze między jeziorami. Po drugiej stronie.

– Okej – powiedział Jung. – Pojadę tam i pomogę szukać.

– Co to takiego? – odezwał się Reinhart, poprawiając ostrość.

– O co chodzi? – spytał komisarz.

Przekreślił kluczyk i silnik zamilkł.

– Po drugiej stronie siedzi sama na kamieniu jakaś nieduża dziewczynka. Zobacz!

Reinhart podał lornetkę i wskazał na brzeg. Van Veeteren najpierw błądził po wodzie i lesie, aż wreszcie trafił na właściwe miejsce.

– Faktycznie, niech to szlag... – powiedział. – Widocznie jest tu gdzieś jakiś obóz.

– Ruszaj – rzekł Reinhart. – Przecież nie można jej tam tak zostawić!

Po kilku nieudanych próbach silnik wreszcie zaskoczył i wzięli kurs w poprzek jeziora – Reinhart na wprost leżał na dziobie, a Van Veeteren z tyłu, kuląc się i chowając przed wiatrem i rozpryskującą się wodą.

Wolę kajaki, pomyślał komisarz. I to tysiąc razy.

– Cześć – powiedział mężczyzna i wstał.

Dziewczynka zatrzymała się. Odgarnęła długie włosy z twarzy i spojrzała na niego.

– Cześć – odpowiedziała.

– Co tutaj robisz? – spytał.

– A pan?

Roześmiał się.

– Takie jak ty bardzo mi się podobają – wyjaśnił. – Właściwie nie robię nic specjalnego. Myślałem, że może znajdę jakieś grzyby... chciałem sprawdzić, czy już są.

– Są – potaknęła dziewczynka. – Wczoraj nazbierałyśmy cały kosz... ale potem prawie wszystkie musiałyśmy wyrzucić. Wychowawczynie powiedziały, że większość była niejadalna, ale ja myślę, że im po prostu nie chciało się ich czyścić i obierać... A dlaczego nie ma pan nic na grzyby? A co to takiego?

Wskazała na gumową pałkę, którą trzymał w dłoni.

– To...? – Uśmiechnął się. – Chcesz, żebym ci pokazał, do czego to służy?

Dziewczynka spojrzała na zegarek.

– Nie mam czasu – rzuciła. – Chciałam tylko poszukać swojej gumki do włosów, wczoraj gdzieś ją tu zgubiłam...

– Gumkę do włosów? – powtórzył i przełknął ślinę.

– Tak, to musiało być gdzieś tutaj.

Zrobiła gest ręką.

– Pomogę ci szukać.

Uśmiechnęła się do niego.

– Super, dzięki! To idziemy.

– Co tu robisz? – spytał Reinhart.

Dziewczynka zsunęła się z kamienia.

– Jak to?

Wysiedli z łódki i wciągnęli ją trochę na wąski pas piasku.

– Szukamy pewnego człowieka – wyjaśnił komisarz. – Nikt wam nie powiedział, że dzisiaj nie powinnyście nigdzie chodzić same?

– Nie... to znaczy tak, ale ja czekam na koleżankę.

– Koleżankę? – powtórzył Reinhart.

– Tak. Poszła tylko po jedną rzecz.

– Po co?

– Po gumkę do włosów.

– A gdzie ją zostawiła? – spytał Van Veeteren niecierpliwie.

– Zgubiła ją wczoraj tam, w lesie.

Zrobiła odpowiedni ruch głową.

– Jak się nazywasz? – zwrócił się do niej Reinhart.

– Ruth Najda. A panowie kim są?

– Jesteśmy z policji – wyjaśnił Reinhart. – Czyli mówisz, że twoja koleżanka poszła do lasu szukać swojej wstążki do włosów...

– Gumki, nie wstążki – poprawiła go Ruth Najda.

– Tak, tak. A kiedy tam poszła?

Dziewczynka zerknęła na zegarek i wzruszyła ramionami.

– Jakieś piętnaście minut temu. Mówiła, że będzie za pięć minut, ale minęło już dokładnie trzynaście i pół.

– Cholera! – rzucił Reinhart. – Chodź, pokażesz nam, którądy poszła!

– Dlaczego pan jest taki...? – zaczęła Ruth, ale komisarz jej przerwał.

– Nie marudź! – krzyknął. – Nie mamy czasu, to nie zabawa!

– Dobrze, już dobrze – powiedziała dziewczynka i zaczęła torować sobie drogę między olchami.

– Macie coś?! – Suijderbeck krzyczał do mikrofonu. – Nie możecie wyłączyć tego cholernego silnika, bo nic nie rozumiem, co mówicie?

– Raczej nie dałoby się lecieć bez włączonego silnika – wyjaśnił głos po drugiej stronie. – Ale chwilę temu mignął nam jakiś człowiek między drzewami... to mógł być on. Koledzy na dole depczą mu po piętach.

– To dobrze! – zawołał Suijderbeck. – Tylko porządnie pilnujcie, żeby nam nie prysnął, bo jak nie, to pofrunę tam do was i osobiście skopię wam tyłek. Zrozumiano?

Rozległy się trzaski.

– Ty chyba nazywasz się Suijderbeck, tak?

– Tak. A skąd wiesz?

– Tak mi się zdawało, że to twój styl.

– *Over and out* – powiedział Suijderbeck.

Pierwszy zauważył ich Reinhart.

Jasne, długie włosy dziewczynki połyskiwały między gałęziami, a potem pokazały się plecy Wima Finghera i zaraz zniknęły. Między dwoma potężnymi i porośniętymi mchem głazami narzutowymi wyłoniły się po chwili całe postacie, najpierw dziewczynka i... tuż za nią, z dłonią zaciśniętą na czarnej pałce... szedł morderca.

Van Veeteren przystanął. Reinhart niemal na niego wpadł; szybko odzyskał równowagę i zamierzał sięgnąć po swoją broń. Jednak okazało się to niepotrzebne, bo w tej samej chwili rozległ się trzask gałęzi i dwóch policjantów w mundurach wypadło z zarośli. Jeden rzucił się na Wima Finghera z takim impetem, że mógłby spokojnie wystąpić w dowolnym amerykańskim filmie kategorii B, jak ocenił komisarz. Natychmiast powalił go na ziemię, podczas gdy jego kolega, szeroko rozstawiając nogi, mierzył z odległości metra w głowę zabójcy.

– Wystarczy, że się ruszysz choćby o milimetr, ty potworze, a rozwałę ci czaszkę na miazgę – powiedział z opanowaniem.

Wyjątkowo profesjonalna akcja. Komisarz poczuł nagle, jak ogarnia go zmęczenie.

Bezgraniczne zmęczenie. Przypomniało mu się, że nie spał od co najmniej dwudziestu czterech godzin.

– Dlaczego pan tak zrobił? – spytała Helene Klausner.

– To było konieczne – wyjaśnił Reinhart. – On jest chory.

– Chory?

– Tak – potwierdził. – Czy on cię dotykał?

– Dotykał? Nie, tylko mi pomógł znaleźć moją gumkę do włosów. O, tę.

Podniosła do góry błękitną frotkę. Komisarz skinął głową.

– To dobrze – powiedział. – Ale pewnie w obozie czekają na was ze śniadaniem. Biegnijcie z powrotem!

– No to cześć!

Stali w miejscu i odprowadzali wzrokiem obie dziewczynki, które noga za nogą szły w kierunku czerwonego budynku leżącego kilkadziesiąt metrów od brzegu.

– Pożyczysz mi teraz swoją maskę do nurkowania? – usłyszeli pytanie ciemnowłosej. – Czekałam cały czas, obiecałaś...

– Jasne – odpowiedziała druga, z wprawą zbierając sobie włosy gumką. – Tylko najpierw zjemy śniadanie.

Komisarz chrząknął, po czym wrócił do łódki.

– No – powiedział, gdy już usiadł. – Czy kolega będzie tak uprzejmy i podniesie kotwicę?

Kluuge starał się patrzeć w słuchawkę telefonu.

Była trzecia po południu. Leżał na łóżku, a Deborah właśnie masowała mu ramiona i klatkę piersiową. Gdy siedziała tak na nim okrakiem, czuł jej ciężkie brzemie na swoim brzuchu. Była to chwila błoga pod każdym względem – i fizycznym, i psychicznym. A tu nagle komendant Malijsen przy telefonie!

– Dlaczego, do cholery, mnie nie zawiadomiłeś?! – wrzeszczał. –

Nie przyszło ci do głowy, że to jak na ciebie za poważna sprawa? Mia-
łeś piekielne szczęście, że wszystko się tak skończyło! Osobiście tego
dopilnuję, żebyś...

Kluuge wcisnął słuchawkę pod poduszkę i zastanowił się chwilę.
Potem znowu wziął ją do ręki.

- Zamknij się, ty przeklęty ośle! – oznajmił i się rozłączył.
- Bardzo dobrze – powiedziała Deborah.

O ile dobrze pamiętał, ludzie byli ci sami co poprzednim razem. Upłynęło trochę czasu, zanim zostali z Przebudą sam na sam.

– I co powiesz? – spytał redaktor. – Pewnie już go widziałeś?

Van Veeteren potaknął.

– Owszem – potwierdził. – Wprawdzie Cassavetes nie należy do moich ulubieńców, ale *Burza* to chyba jego najlepszy film.

– Też jestem tego zdania – zgodził się Przebuda. – *Burza* to *Burza*. Poza tym ma trochę wspólnego z Kretą.

– Niewątpliwie – powiedział Van Veeteren. – Dasz się zaprosić na kieliszek wina?

Przebuda pokręcił energicznie głową, po czym się uśmiechnął.

– Nie wchodzi w rachubę – oznajmił. – Bo ja coś przygotowałem... poza tym czeka na nas parę ciekawych butelek. Na przykład margaux, rocznik siedemdziesiąt jeden, i mersault.

– To co my tu jeszcze robimy? – spytał komisarz.

– A więc: *case closed*? – stwierdził Przebuda po pierogach z grzybami, cielecych medalionach w sosie cytrynowym, sałatce z rzeżuchy i półtorej butelki wina.

– Tak – powiedział Van Veeteren. – *Case closed*. Koszmarna historia. Jeśli ofiarami są dzieci, nie ma żadnych okoliczności łagodzących... a niebiosa milczą.

– A niebiosa milczą – powtórzył za nim Przebuda. – Masz rację. A jak na to właściwie wpadłeś, że to on, a nie kto inny?

Komisarz oparł się wygodnie i nie spieszył się z odpowiedzią.

– Dzięki książce telefonicznej – odezwał się w końcu.

– Książce telefonicznej?

– Tak. Pamiętasz Ewę Siguerę?

Redaktor zastanowił się chwilę.

– Tę kobietę ze zdjęcia?

– Tak. Ona nazywała się nie Siguera, ale Figuera. Źle usłyszałeś... albo zapisałeś z błędem, nieważne.

– Boże drogi. – Przebuda zamarł z kieliszkiem uniesionym w połowie drogi do ust. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że...?

Komisarz pokręcił przecząco głową.

– Nie. Bez obawy. Kto miał nie żyć, już nie żył. Co najwyżej wszystko trwałoby trochę krócej...

Kiedy się jednak nad tym głębiej zastanowił, doszedł do wniosku, że to nieprawda. Wręcz przeciwnie. Gdyby od samego początku znał prawidłowe nazwisko, niewykluczone, że nigdy by na to nie wpadł. Albo przynajmniej nie w samą porę... i wtedy ta blondyneczka z gumką do włosów byłaby już... nie, wolał nawet o tym nie myśleć.

Przebuda siedział w milczeniu z zadumaną miną.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu. – Co wspólnego miała, u diabła, Ewa Siguera... przepraszam: Figuera z Wimem Fingherem?

– Nic – odparł komisarz. – Absolutnie nic... Wyśmienite wino. Rzadko się zdarza, żeby przy takim poziomie wytrawności dało się też wy czuć na języku łagodną nutę...

– Mam jeszcze jedną taką butelkę – uspokoił go Przebuda. – Na zdrowie!

Napili się.

– No i co dalej?

– Jak powiedziałem, absolutnie nic – podjął na nowo komisarz. – Ale kiedy miałem dzwonić do tej Figuery, na tej samej stronie natknąłem się na nazwisko Fingher. Było nawet w jednej kolumnie, tylko kilka rzędów niżej. Nie jest to popularne nazwisko...

Przebuda usiłował jednocześnie i potaknąć, i zaprzeczyć ruchem głowy.

– ...i wtedy przypomniały mi się dwie odpowiedzi, które usłyszałem, kiedy wpadłem do Fingherów po raz drugi, w czwartek. Mathias Fingher, czyli ojciec, najpierw powiedział, że mają tylko jednego syna, a potem wspomniał, że żona wybrała się odwiedzić ich wnuka. Albo może to nawet ona sama powiedziała...

Przebuda obracał w palcach swój kieliszek, nie odzywając się ani słowem.

– No i co z tego...? – nie wytrzymał w końcu. – Chyba raczej trudno uznać coś takiego za mocną poszlakę? Dlaczego miałby od razu być mordercą jedynie dlatego, że... kiedyś był żonaty i miał córkę?

Komisarz wzruszył ramionami.

– O ile dobrze pamiętam, ostatnim razem pan redaktor wypowiadał się z entuzjazmem o takim pojęciu jak intuicja. Jego żona zachowała po nim nazwisko; nie bardzo wiedziała dlaczego, ale jak się okazuje, miało to jednak sens.

– To jakiś obłąd – stwierdził po chwili milczenia Przebuda. – To wszystko brzmi jak scenariusz filmu. Ale kim właściwie była ta Ewa Figuera?

Van Veeteren zapalił papierosa.

– Przyjaciółką jednej z tamtych trzech kobiet – wyjaśnił. – Nie ma nic a nic wspólnego z Czystym Życiem. Po prostu któregoś dnia w ubiegłe lato odwiedziła obóz i...

– ...i wtedy przyjechałem tam ja i zrobiłem zdjęcie – uzupełnił Przebuda. – To niesamowite, bo gdybym...

Zamilkł na chwilę i spojrzał w sufit, jakby szukał dalszego ciągu między ciemnymi belkami.

– ...gdybym nie pokazał ci tego zdjęcia i tak dalej. Co za fantastyczny zbieg okoliczności!

– Nie ma zbiegów okoliczności – powiedział komisarz. – To była tylko jedna z nici prowadzących do celu. Potencjalnie są setki innych. Jeśli życie jest drzewem, to w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, za którą gałąź się chwyci... żeby dotrzeć do korzenia.

Przebuda zamyślił się nad tym przez chwilę.

– Pójdę po drugą butelkę – oznajmił.

– A tamte kobiety? – spytał kilka minut później. – Te milczące kapłanki? Dlaczego, u licha, żadna z nich nie otworzyła ust?

– Pewnie myślały, że tak trzeba – powiedział Van Veeteren. – Jellinek prawdopodobnie zakazał im wypowiadać się na temat zniknięcia drugiej dziewczynki – zanim sam został zamordowany i przepadł. No i potem były konsekwentnie posłuszne słowom proroka. Tak to zwykle bywa z wiarą. Jeśli się nie mylę, Mahomet i Jezus nie żyją już od

dosyć dawna.

Przebuda uśmiechnął się nieznacznie.

– A jak one się teraz czują?

Van Veeteren nie odpowiedział od razu.

– Tak naprawdę to nie wiem. Dwie z nich opuściły Wolgershuus wczoraj po południu. Trzecia, Madeleine Zander, chciała zostać dłużej.

– Zostać dłużej?

– Tak.

– To może przynajmniej świadczyć o świadomości własnej choroby – bąknął Przebuda pod nosem i wysączył ostatnie krople kończącego się bourgogne.

– A Wim? – spytał. – Wim Fingher?

Komisarz ponownie wzruszył ramionami.

– To już sprawa lekarzy. Swoją drogą to niesamowite, że on niemal przez cały czas zachowywał się normalnie... o ile mi wiadomo, targnął się tylko na swoją córkę i na te dwie małe. Czy trafi do więzienia, czy do zakładu dla psychicznie chorych – nie mam pojęcia. Zresztą sam nie wiem, za czym bym się opowiadał.

– Ale Mirjan Fingher pójdzie siedzieć?

– Na pewno. Ona była cały czas w pełni władz umysłowych i działała logicznie.

– W pewnej mierze można ją zrozumieć... z punktu widzenia matki, rzecz jasna.

– No tak – powiedział Van Veeteren. – Chyba warto zadać sobie pytanie, kto w tej całej historii jest najbardziej poszkodowany. Oczywiście poza tamtymi dwiema ofiarami i ich rodzinami. Nie sposób zapomnieć o Mathiasie Fingherze. Mógłbyś do niego zajrzeć, jeśli będziesz w okolicy.

– Masz rację – przyznał Andrej Przebuda i uniósł swój kieliszek. – Biedny facet! Wypijmy do dna.

Było wpół do drugiej, kiedy po raz ostatni przeciął Kleinmarckt w drodze do hotelu Grimm's. Bar sąsiadujący z ratuszem wciąż jeszcze był otwarty, ale poza tym nie dało się zauważyć żadnych oznak

intensywnego życia nocnego. Najwyraźniej dziennikarze zostali odwołani, kiedy tylko wszystko się skończyło i rozległ się sygnał do odwrotu. Zawsze tak się działo. Teraz z fantazją będą odmalowywać portret psychologiczny mordercy: dzieciństwo, urazy psychiczne w latach szkolnych, popełnione oszustwa i wiele innych rzeczy.

Ofiary nie żyją, pomyślał Van Veeteren. Ale sprawca żyje i przedstawia wartość medialną. Wszystko ma swój czas.

Reinhart, Jung i inni wyjechali z Sorbinowa już przed południem. Tylko on został dzień dłużej.

Jakby tego wymagała przyzwoitość, przemknęło mu przez głowę. Jakby wszyscy dotknięci tymi wydarzeniami ludzie potrzebowali takiego wyciszenia. Winni i niewinni. Ofiary i sprawcy.

Przeminęli z wiatrem, pomyślał.

Zło. Ta przekłeta, niepoddająca się kontroli ciemność, która od trzydziestu pięciu lat jest polem jego działania. Zawsze obecna i przyczajona, by zaatakować, gdy tylko człowiek odwróci się plecami lub straci czujność. Ten zawsze czyhający wróg, który potrafi zbrukać każdą radość, każdy dobry zamiar uczynić nieprzyzwoitym...

Czy ta ciemność to więcej niż choroba? Z punktu widzenia skutków nie było żadnej różnicy. W każdym razie dla tych, którzy byli jej ofiarami – może właśnie za pomocą takich pojęć należałoby opisywać ten problem. Swoją własną i wszystkich innych.

Podobnie jak różnicę między motywem działania i jego konsekwencjami. Czy jedynie te rzeczy składają się na zło?

Raczej nie. Rozumiał, że to jest tylko jeden punkt widzenia. Jeden spośród setek możliwych. Idąc po schodach w dół nad jezioro, zaczął zastanawiać się także nad tym, czy Czyste Życie jeszcze kiedykolwiek się odrodzi; zdawał sobie jednak sprawę, że nie to stanowi sedno sprawy.

Czy wszyscy ci zwiedzeni na manowce i sprowadzeni z prostej drogi członkowie sekty będą mogli kiedykolwiek się odrodzić – to było pytanie. Odrodzić się jako – ludzie.

A potem przyszło mu do głowy zupełnie inne pojęcie.

Palec boży.

Pora skończyć z tym filozofowaniem, stwierdził. Dosyć teoretyzo-

wania, byle tylko nie myśleć o martwych dziewczęcych ciałach. I tak nigdy się od nich nie uwolnię.

A kiedy przekroczył drzwi hotelu Grimm's, uprzytomnił sobie, że właśnie tego wieczoru, tej nocy, miał leżeć w łóżku w Christos. Sto metrów od dawnego weneckiego portu w Rethymnonie.

Tak albo tak.

Trudno, pomyślał. Zadzwonię do niej, jak wróci. Czas i miejsce to kategorie dla kretynów.

No właśnie, dla kretynów.

VII

10 sierpnia

Kiedy się obudził, nadal pamiętał, co mu się śniło.

Widok bladych dziewczynek w tle; bardzo blisko na brzegu. Chude ciała w grupkach trzy- albo czteroosobowych. Cisza – i niezwykle lśniąca światło ponad jeziorem i skrajem lasu na wschodzie. Poranek, nie ulegało wątpliwości, że to był poranek.

Oba ciała na pierwszym planie.

Nagie i dziwacznie powykręcane. Pełne ran, obrzęków i z dużymi czarnymi dziurami zamiast oczu – które mimo wszystko zdawały się patrzeć i oskarżać.

Zwłoki dziewczynek. Zamordowanych i zgwałconych.

Potem pożar. Od strony wody języki ognia przybliżają się w zawrotnym tempie i po chwili obraz składa się już tylko z płomieni. Morze ognia, który pali go w twarz; wreszcie odwraca się od tego wszystkiego i ucieka.

Ciągle ten sam krótki sen. Sekwencja kilku obrazów. Już trzecią noc z kolei.

I zawsze, kiedy wyłania się postać Wima Finghera, on już nie śpi. Jest niemiłosiernie przytomny. Postać mordercy – który w czasie całego śledztwa znajdował się o rzut kamieniem od miejsca zbrodni i z którym dwa razy stał oko w oko i niczego nie zauważył.

Niewybaczalne.

Ostateczny znak.

Wstał. Otworzył drzwi na balkon; blade niebo, łagodny, niemal nieodczuwalny wiatr.

Kilka odfajkowanych ćwiczeń kręgosłupa przed lustrem.

Potem śniadanie i „Allgemejne”. To zajęło mniej więcej godzinę – rozwiązanie trzema posunięciami zadania szachowego z gazety: kolejne pół – z udziałem skoczka, najtrudniejszej do opanowania figury na szachownicy.

Wziął prysznic, ubrał się i wyszedł. Jeszcze jeden gładki dzień, zauważył. Obojętny i bez znaków szczególnych, i z taką temperaturą, że nie czuje się powietrza na skórze. W mieście niewiele ludzi. Czas wakacji – pewnie gorzej jest w centrum; w okolicy Keymer Plejn i Grote torg, gdzie lubili kręcić się turyści, ale on się tam nie wybierał.

Bo on skierował swoje kroki do Zwille. Przeciął Langgraacht i tym razem wyszedł na Kellnerstraat od innej strony. Była dopiero jedenaśta, toteż najpierw pozwolił sobie na piwo w Yorrick's.

Siedział pod jedną z lip i wcale się nie spieszył. Tylko się przyglądał. Nielicznym snującym się ludziom. Secesyjnym fasadom. Liściom i blademu niebu. Usiłował dosłyszeć wewnętrzne głosy i wątpliwości, ale nic takiego się nie pojawiło.

Czyli tak ma być, pomyślał. Wysączył ostatnie krople piwa i skierował swe kroki na drugą stronę ulicy.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Dzwonek nad drzwiami zaanonsował jego przybycie. Starszy pan – prawie zupełnie siwy i z wypielęgnowaną brodą w tym samym odcieniu – właśnie studiował jakąś mapę za pomocą szkła powiększającego. Podniósł wzrok. Skinął uprzejmie głową, lekko zaskoczony.

– Dzień dobry – powiedział Van Veeteren. – Przychodzę w związku z ogłoszeniem w oknie.

– Witam – odparł mężczyzna.

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[O autorze](#)

[Motto](#)

[I 15 lipca](#)

[1](#)

[II 17–18 lipca](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[III 19–23 lipca](#)

[7](#)

[8](#)

9

10

11

12

13

14

15

IV 23–28 lipca

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

V 28–31 lipca

26

27

28

29

30

31

32

33

VI 31 lipca – 1 sierpnia

34

35

36

37

38

39

40

VII 10 sierpnia

41